

V.S. NAIPAUL
**MIGUEL
STREET**
.....



V. S. Naipaul

MIGUEL STREET

*Z angielskiego tłumaczyła
Maria Zborowska*

Bogart

Każdego poranka Hat rozpoczynał dzień od tego, że siadał na poręczy werandy i wołał: — Hej, Bogart, co u ciebie słyszać?

Bogart przewracał się w łóżku i mamrotał cichutko, tak że go nikt nie mógł usłyszeć: — Hej, Hat, a co u ciebie?

Właściwie nikt nie wiedział, dlaczego przezwano go Bogart. Podejrzewam, że była to sprawa Hata. Nie wiem, czy przypominacie sobie ten rok, w którym nakręcono film pod tytułem Casablanca”. Wtedy to właśnie sława Bogarta w Port of Spain rozprzestrzeniła się jak ogień i setki młodych ludzi zaczęło małpować twarde, męskie gesty tego aktora.

Zanim przezwali go Bogart, nazywali go Pasjans, dlatego że układał pasjansy od rana do nocy. A przecież nie znosił kart.

Kiedykolwiek wchodziło się do małego pokoiku zajmowanego przez Bogarta, zawsze siedział na łóżku stojącym przy stoliku, na którym wyłożone były w siedmiu rzędach karty.

— Co słyszać, człowieku? — pytał spokojnie, po czym nie odzywał się przez jakieś dziesięć czy piętnaście minut. Nie wiadomo dlaczego, ale czułeś, że tak naprawdę to z Bogartem rozmawiać nie można. Był znudzony i pełen wyższości. Oczy miał małe i zawsze zaspane, twarz pełną, włosy lśniące czarne i pulchne ramiona. A przecież nie był to człowiek o wesołym usposobieniu. Wszystkie jego ruchy miały w sobie jakąś urzekającą powolność. Nawet kiedy ślinił kciuk, żeby rozdać karty, czynił to z gracją.

Naprawdę był to najbardziej znudzony człowiek, jakiego znałem.

Udawał, że żyje z krawiectwa, a nawet zapłacił mi, żebym mu zrobił szyld następującej treści:

KRAWIEC
GARNITURY NA MIARĘ
CENY PRZYSTĘPNE I KONKURENCYJNE

Kupił maszynę do szycia i trochę kredy, białej, niebieskiej i brązowej. Ale nigdy nie mogłem wyobrazić sobie Bogarta uganiającego się za klientem i nie przypominam sobie, by uszył komukolwiek garnitur. Przypominał trochę stolarza imieniem Popo, który mieszkał w sąsiedztwie i który nigdy nie zrobił żadnego mebla, mimo że przez cały dzień heblował i rzeźbił mówiąc — jeśli dobrze pamiętam — że robi „na czop”. Za każdym razem, gdy pytałem go: „Panie Popo, co pan tam tworzy?” — on odpowiadał: „Ach, chłopcze, to jest dopiero pytanie. Robię coś, co nie ma nazwy”. Bogart nawet czegoś takiego nie robił.

Będąc dzieckiem nigdy nie zastanawiałem się, skąd Bogart bierze pieniądze. Wydawało mi się, że dorośli zawsze mają pieniądze. Popo miał żonę, która robiła różne rzeczy i skończyła jako przyjaciółka wielu mężczyzn. Nigdy nie mogłem sobie wyobrazić, że Bogart może mieć ojca i matkę. Żadna kobieta nie gościła w jego małym pokoju. Ten mały pokój nazywał się służbówką, ale nie mieszkał w niej nigdy żaden służący, zatrudniony przez głównych lokatorów domu. Był to po prostu wytwór, fantazji architekta.

Wciąż jeszcze wydaje mi się rzeczą niewiarygodną, że Bogart miał przyjaciół. A przecież miał ich wielu; kiedyś był nawet najpopularniejszym człowiekiem na całej ulicy. Często widywałem, jak przesiadywał z wszystkimi prominentami okolicy. A gdy Hat, Edward czy Eddoes zajęci byli mówieniem, Bogart siedział ze spuszczoną głową i rysował palcem kółka na ziemi. Nigdy nie śmiał się głośno. Nigdy nic nie opowiadał. A mimo to, gdy było jakieś święto czy inna uroczystość, zawsze

mówiono: „Trzeba zaprosić Bogarta. Ten facet jest sprytny jak diabli”. Chyba więc znał jakieś sposoby, żeby bawić otoczenie.

Tak więc, jak już wam mówiłem, każdego ranka Hat wołał głośno:

— Co tam u ciebie słyhać, Bogart?

A potem czekał na ten nieartykułowany bełkot Bogarta, który miał znaczyć: — A co u ciebie, Hat?

Ale pewnego poranka na okrzyk Hata nie było żadnej odpowiedzi. Niezmienny, jak się zdało, porządek został nagle zakłócony.

Bogart zniknął; opuścił nas bez słowa.

Ludzie na ulicy chodzili przez dwa dni jak struci. Gromadzili się w malutkim pokoju Bogarta. Hat podnosił leżącą na stoliku talię kart i wykladał dwie lub trzy w zadumie.

— A może pojechał do Wenezueli? — zastanawiał się.

Ale nikt nic nie wiedział. Przecież Bogart mówił tak mało.

Następnego poranka Hat wstał, zapalił papierosa, wyszedł na werandę i już miał zawołać Bogarta, biedy przypomniał sobie, że nie ma po co. Tego poranka wydoił krowy wcześniej niż zwykle, a one tego nie lubiły.

Minął miesiąc, potem drugi, a Bogart wciąż nie wracał.

Hat i jego towarzysze zaczęli używać pokoju Bogarta jako miejsca spotkań. Grali w *wappee*, pili rum, palili papierosy, a czasem sprowadzali jakieś dziewczyny. Hat miał właśnie kłopoty z policją z powodu szulerstwa i organizowania walk kogutów. Musiał dać wiele łapówek, żeby pozostać na wolności.

Zacząło się nam wydawać, że Bogart nigdy nie mieszkał na Miguel Street. Zresztą żył tutaj zaledwie cztery czy pięć lat. Zjawił się kiedyś z jedną jedyną walizką, szukając pokoju, i natknął się na Hata, który siedział przed furtką paląc papierosa i przeglądając wiadomości sportowe w wieczornej gazecie. Nawet wtedy nie powiedział wiele. Według relacji Hata po prostu zapytał: „Czy są jakieś pokoje do wynajęcia?”, a Hat zaprowadził go do następnego domu, gdzie była ta służbówka za osiem dolarów miesięcznie. Bogart zainstalował się tam natychmiast, po czym wyjął talię kart i zaczął układać pasjansa.

To wszystko wywarło na Hacie duże wrażenie.

Dla innych Bogart był zawsze człowiekiem, którego otacza atmosfera tajemnicy. Stał się Pasjanssem.

Bogart wrócił, kiedy Hat i wszyscy inni przestali już o nim myśleć. Zjawił się pewnego poranka około godziny siódmej i zastał Eddoesa w swoim łóżku z jakąś kobietą. Kobieta zerwała się z krzykiem. Eddoes też się zerwał, ale raczej zakłopotany niż przestraszony.

— Pyskaj! Jestem zmęczony i chcę się przespać — rzekł Bogart.

Spał do piątej po południu, a gdy się obudził, spostrzegł, że w pokoju zebrała się cała stara paczka. Eddoes zachowywał się wyjątkowo hałaśliwie, tak jakby chciał, żeby zapomniano o porannym incydencie. Hat przyniósł butelkę rumu.

— Co słyhać, Bogart? — zapytał Hat.

Ucieszył się ogromnie, kiedy stwierdził, że Bogart zrozumiał aluzję.

— A co u ciebie, Hat? — odpowiedział pytaniem.

Hat odkorkował butelkę rumu i krzyknął na Boyee, żeby skoczył po butelkę wody sodowej.

— Jak tam krowy, Hat? — zapytał Bogart.

— W porządku.

— A Boyee?

— Też w porządku. Nie słyszałeś, jak go wołałem?

— A Erral?

— Też w porządku. Ale co się z tobą dzieje, Bogart? Wszystko w porządku?

Bogart kiwnął głową i napił się rumu. Wypił jeszcze jedną szklanekę, potem następną, aż wreszcie butelka była pusta.

— Nie przejmuj się — rzekł Bogart — pójdę po następną.

Nigdy Bogart tyle nie pił i nigdy nie mówił tak dużo. To ich zaniepokoiło. Nikt nie miał odwagi zapytać go, gdzie był.

— Wesoło tu było w moim pokoju przez cały czas, prawda, chłopcy? — rzekł Bogart.

— Ale brakowało nam ciebie — powiedział Hat.

Ogarniał ich coraz większy niepokój. Bogart mówił prawie nie poruszając wargami. Usta miał lekko skrzywione, a jego akcent był trochę amerykański.

— No tak — mówił Bogart, akcentując ostatnią sylabę. Zachowywał się zupełnie jak aktor.

Hat wcale nie był przekonany, że Bogart się upił.

Trzeba wam wiedzieć, że z wyglądu Hat przypominał Rexa Harrisona i że robił wszystko, żeby to podobieństwo podkreślić. Włosy zaczesywał do tyłu, przewracał oczami i mówił prawie jak Harrison.

— Niech cię kule biją, Bogart — rzekł Hat bardzo po harrisonowsku. — Może byś nam od razu opowiedział o wszystkim.

Bogart wyszczerzył zęby i zaśmiał się szyderczo.

— Oczywiście, opowiem wam — rzekł. Wstał i założył kciuki za pasek od spodni. — Oczywiście, wszystko wam opowiem.

Zapalił papierosa, przechylił się do tyłu i patrząc na wszystkich z ukosa zaczął opowiadać.

A więc zaciągnął się na jakiś statek i popłynął do Gujany Brytyjskiej. Tu zdezerterował i wyruszył w głąb lądu. Był cowboyem nad Rupununi, przemycał różne rzeczy do Brazylii (nie powiedział co), zwerbował kilka dziewcząt brazylijskich i zawiózł je do Georgetown. Miał najlepszy burdel w całym mieście, cóż, kiedy policja, nie bacząc na łapówki, zamknęła go w więzieniu.

— To był burdel pierwsza klasa — oznajmił. — Nie dla byle łachudry. Przychodzili do mnie sędziowie, lekarze, urzędnicy... same grube ryby.

— No i co? — zapytał Eddoes. — Skazali cię?

— Co za głupie pytanie — rzekł Hat. — Jak mogli go skazać, skoro jest z nami. Przestańcie się wygłupiać i dajcie mu mówić.

Ale Bogart był obrażony i nie chciał już nic powiedzieć.

Od tej chwili stosunki między nimi zmieniły się. Bogart stał się Bogartem z filmów. Hat stał się Harrisonem. A poranna rozmowa miała przebieg następujący:

— Bogart!

— Zamknij się, Hat!

Bogart był teraz postrachem całej ulicy. Mówiono, że nawet Wielka Stopa się go boi. Pił, kłął i grał w karty z najgorszymi mętami. Rzucił brzydkie słowa pod adresem przechodzących ulicą samotnych dziewcząt. Kupił sobie kapelusz, który nosił naciągnięty na oczy. Można go było często widzieć, jak stał oparty o murowane ogrodzenie podwórka z rękami w kieszeniach, z jedną nogą przy murku i z wiecznie tłącym się papierosem w ustach.

Po pewnym czasie Bogart znów gdzieś zniknął. Grał w karty ze swoimi kompanami w pokoju, nagle wstał i powiedział:

— Idę na stronę.

Nie widzieli go przez całe cztery miesiące.

Wrócił tęższy i jeszcze bardziej agresywny. Mówił teraz akcentem czysto amerykańskim. Żeby się bardziej upodobnić do Amerykanów, był hojny dla dzieci. Zaczepiał je na ulicy i dawał pieniądze

na gumę do żucia i czekoladę. Głaskał je po głowie i dawał dobre rady.

Gdy po raz trzeci zniknął i znów wrócił, urządził huczne przyjęcie w swoim pokoju dla wszystkich dzieci — teraz nazywał je szczeniakami. Zakupił skrzynki Solo, Coca-Coli i Pepsi-Coli oraz cały wór ciasteczek.

Potem przyszedł sierżant Charles, policjant mieszkający na Miguel Street pod numerem 45, i zaarrestował Bogarta.

— Nie stawiaj się, Bogart — rzekł sierżant Charles.

Bogart nie rozumiał, o co chodzi.

— Człowieku, co się dzieje.? Przecież nic nie przeszkrobałem.

Wtedy sierżant Charles powiedział mu...

Pisano o tym trochę w gazetach. Bogarta oskarżono o bigamię. Ale dopiero Hatowi udało się ujawnić wszystkie szczegóły sprawy, o których gazety nigdy nie wspomniały.

— Powiem wam, co i jak — rzekł tego wieczora Hat, siedząc na ulicy. — Ten facet opuścił swoją pierwszą żonę w Tunapuna i przyjechał do Port of Spain. Nie mogli mieć dzieci. Tu było mu smutno i czuł się samotny. Wyjechał więc stąd, znalazł sobie kobietę w Caroni i zrobił jej dziecko. W Caroni takie sprawy to nie żarty i Bogart musiał się z nią ożenić.

— A dlaczego ją porzucił? — zapytał Eddoes.

— Dlatego, że chciał być mężczyzną... między nami mężczyznami.



Rzecz bez nazwy

Jedyna rzecz, którą Popo — uważający się za stolarza — kiedykolwiek zbudował, to była mała kuźnia pod drzewem mango na tyłach jego podwórka. Ale nawet tego dzieła nie doprowadził do końca. Jakoś nie stać go było na to, żeby przybić galwanizowaną blachę na dachu kuźni. Blachę przytrzymały ciężkie kamienie. Kiedy wiał silny wiatr, cały dach bębnił straszliwie, jakby się chciał unieść w powietrze.

A przecież Popo nigdy nie próżnował. Zawsze był czymś zajęty. To przybijał coś młotkiem, to ciął i heblował deski. Lubiłem obserwować, jak pracował. Lubiłem zapach drzewa cyprysowego i cedrowego. Lubiłem kolor ścinek i widok trocin osiadających jak puder na kędzierzawych włosach Popa.

— Nad czym pan pracuje, panie Popo? — pytałem.

A Popo zawsze odpowiadał:

— Ach, chłopcze, to jest dopiero pytanie! Robię coś, co nie ma nazwy.

Lubiłem go za to. Uważałem, że jest to człowiek pełen poezji.

Pewnego dnia poprosiłem Popa:

— Niech mi pan da coś do roboty.

— A co byś chciał robić? — zapytał. Nie wiedziałem, co odpowiedzieć.

— Widzisz — rzekł Popo — sam myślisz o tej rzeczy, co nie ma nazwy.

W końcu zdecydowałem się na skrzyneczkę na jajka.

— A dla kogo to ma być? — zapytał Popo.

— Dla mamy.

Popo zaśmiał się. — Czy ty myślisz/ że jej się to na coś przyda?

Moja mama była bardzo zadowolona ze skrzyneczki na jajka i korzystała z niej przez jakiś tydzień. Potem kładła jajka do miseczki lub na talerze, tak jak dawniej.

Popo śmiał się, gdy mu o tym powiedziałem. A potem oświadczył:

— Chłopcze, jedyna rzecz, którą warto zrobić, to ta rzecz bez nazwy.

Kiedy wymalowałem szyld dla Bogarta, Popo kazał mi zrobić szyld dla siebie.

Wyjął kawałek ołówka, który tkwił za jego uchem, i zaczął zastanawiać się nad tekstem. Z początku chciał figurować jako architekt, ale udało mi się jakoś odwieść go od tego zamiaru. Zresztą nie miał pewności, jak się to pisze. W końcu treść szyldu była następująca:

PRZEDSIĘBIORCA BUDOWLANY

STOLARZ

WYTWÓRNIA MEBLI

W dolnym prawym rogu umieściłem swoje nazwisko, podpisując w ten sposób szyld.

Popo lubił stać przed szyldem. Ale czasem ogarniał go strach, kiedy ludzie, którzy go nie znali, przychodzili z różnymi pytaniami.

— Ten stolarz? — mówił Popo. — On już tu nie mieszka.

Uważałem, że Popo jest dużo sympatyczniejszy niż Bogart. Bogart prawie nigdy ze mną nie rozmawiał, a Popo był zawsze gotów do pogawędki. Mówił o sprawach poważnych, o życiu, śmierci i pracy, a mnie wydawało się, że on naprawdę lubi ze mną rozmawiać.

Ale na naszej ulicy Popo nie cieszył się popularnością. Nie uważano go za głupca ozy wariata. Hat mawiał:

— Zapamiętajcie moje słowa, Popo jest zbyt zarozumiały.

To oczywiście nie miało żadnego sensu. Popo miał zwyczaj siadania każdego ranka przed domem ze szklanką rumu w ręce. Gdy zauważył kogoś znajomego, moczył palec wskazujący w szklance, oblizywał go z rumu, a potem machał ręką znajomemu.

— My też możemy sobie pozwolić na rum — mawiał Hat — ale nikt z nas nie stawia się tak jak Popo.

Ja sam nigdy nie myślałem o tym w ten sposób i pewnego dnia zapytałem Popa, dlaczego tak postępuje.

Popo powiedział wtedy:

— Widzisz, chłopcze, z rana, kiedy świeci słońce i powietrze jest jeszcze świeże, a ty dopiero wstałeś, to cieszysz się, że możesz wyjść na dwór, stanąć w słońcu i wypić trochę rumu.

Popo nigdy nie zarabiał pieniędzy. Jego żona pracowała u obcych, co przychodziło jej tym łatwiej, że nie mieli dzieci.

Popo mawiał:

— Kobiety lubią pracować. Mężczyzna nie jest stworzony do pracy.

Hat twierdził: — Popo to pół chłopca, pół baby. To nie jest prawdziwy mężczyzna.

Żona Popa była kucharką w dużym domu obok mojej szkoły. Zazwyczaj czekała na mnie po południu i zabierała do wielkiej kuchni, gdzie dawała mi różne dobre rzeczy do jedzenia. Nie lubiłem tylko jednego: gdy siedziała i przypatrywała się, jak jem. Czułem się, jak gdybym jadł dla niej. Prosiła, żebym nazywał ją ciocią.

Przedstawiła mnie ogrodnikowi, który też pracował w tym” dużym domu. Był to przystojny mężczyzna o śniadej cerze, który bardzo kochał swoje kwiaty. Lubiałem ogród, którym on się opiekował. Klomby były zawsze czarne i wilgotne, a trawa zawsze zielona, mokra i równo przycięta. Czasem pozwalał mi podlewać klomby. A ściętą trawę pakował do małych woreczków, bym mógł ją zabrać dla mojej matki. Trawa była dobra dla kur.

Pewnego dnia nie spotkałem żony Popa. Nie czekała na mnie.

Następnego poranka nie widziałem Popa maczającego swój palec w rumie.

Tego wieczora też nie spotkałem, żony Popa.

Jego natomiast zastałem smutnego w warsztacie. Siedział na desce i okręcał sobie palec ścinkami.

Popo rzekł:

— Twoja ciocia odeszła, chłopcze.

— Dokąd, panie Popo?

— Ach, chłopcze, to jest dopiero pytanie — odparł prostując się.

Popo stał się teraz popularnym człowiekiem. Wieść o tym, co się wydarzyło, rozniosła się szybko. A gdy pewnego dnia Eddoes rzekł: „Nie wiem, co się dzieje z Popo. Chyba nie ma już pieniędzy na rum”, Hat zerwał się i o mało nie zdzielił go pięścią. A potem ludzie zaczęli zbierać się w warsztacie Popa. Rozmawiali o meczach, filmach, o wszystkim, tylko nie o kobietach, po prostu, żeby podnieść Popa na duchu.

W warsztacie Popa nie rozlegały się już odgłosy młotka i hebla. Nie było już świeżego zapachu trocin, które miały teraz kolor czarny jak ziemia. Popo rozpił się, a ja nie lubiłem, kiedy był pijany. Cuchnął rumem, zdarzało się, że płakał, potem wpadał w szał i rzucał się na wszystkich. Ale to wystarczyło, żeby zostać przyjętym do miejscowej paczki.

Hat oświadczył:

— Myliliśmy się co do Popa. To swój chłop, taki sam jak każdy z nas.

Popo lubił swoje nowe towarzystwo. W głębi duszy był to gadatliwy człowiek, który zawsze chciał żyć w przyjaźni z ludźmi z ulicy i który nigdy nie mógł zrozumieć, dlaczego go nie lubią.

Wydawało się więc, że nareszcie ma to, czego pragnął. Ale Popo nie był naprawdę szczęśliwy. Przyjaźń przyszła nieco za późno. Przekonał się, że nie zależy mu na niej tak bardzo, jak przypuszczał. Hat próbował zainteresować go kobietami, ale Popo okazał się nieczuły na ich wdzięki.

Popo nie uważał, że jestem za młody, i nie ukrywał przede mną niczego.

— Chłopcze, jak będziesz w moim wie ku — powiedział mi kiedyś — to przekonasz się, że nie obchodzą cię rzeczy, o których myślałeś, że sprawiłyby ci przyjemność, gdybyś sobie mógł na nie pozwolić.

Taki już zagadkowy miał sposób wypowiedzania się.

Potem pewnego dnia Popo opuścił nas. Hat powiedział:

— Nie musicie mi mówić, dokąd poszedł. On poszedł szukać swojej żony.

— Myślisz, że ona wróci do niego? — zapytał Edward.

— Poczekamy, zobaczymy — odparł Hat. Nie trzeba było długo czekać. Dowiedzieliśmy się wszystkiego z gazet. Hat twierdził, że właśnie tego się spodziewał. Popo pobił jakiegoś faceta w Arima, człowieka, który zabrał mu żonę. Był to ten ogrodnik, który dawał mi woreczki z trawą.

Popo niewiele ucierpiał. Musiał zapłacić grzywnę, ale poza tym dali mu spokój. Urzędnik oświadczył, że lepiej będzie, jeśli Popo zostawi żonę w spokoju.

Na temat Popa ułożono calypso, które było głównym szlagierem sezonu. W jego takt maszerowano w pochodzie karnawałowym, a zespół Andrews Singers nagrał je dla amerykańskiej wytwórni płyt:

Raz pewien stolarz trafił do Arima,
Bo szukał dziewczyny imieniem Fatima.

Była to nie lada gratka dla całej ulicy. W szkole opowiadałem wszystkim, że stolarz był moim bardzo dobrym znajomym. A na meczach czy na wyścigach Hat mówił:

— Czy ja go znałem? Mój Boże, ile to ja z nim wypilem. Ależ on miał mocną głowę.

Popo nie był tym samym człowiekiem, gdy wrócił do nas. Obruszył się na mnie, kiedy próbowałem odezwać się do niego, a Ha ta i innych, którzy przyszli do warsztatu z butelką rumu, wyrzucił za drzwi.

Hat rzekł:

— Ta kobieta doprowadziła go do szału, ja wam to mówię.

Z warsztatu Popa zaczęły znów rozlegać się znajome odgłosy. Pracował ciężko, a ja zadawałem sobie pytanie, czy ciągle jeszcze robi tę rzecz bez nazwy. Byłem ciekaw, ale nie miałem odwagi go zapytać.

Popo założył sobie w warsztacie światło elektryczne i zaczął pracować po nocach. Przed domem ciągle zatrzymywały się wozy, które przywoziły i zabierały różne rzeczy. Potem Popo zaczął malować dom. Mury pomalował na kolor jasnozielony, a dach na jasnoczerwony.

Hat oświadczył:

— Ten facet naprawdę zwariował. — Po czym dodał: — Chyba się znowu żeni.

Nie bardzo się mylił. Pewnego dnia, jakieś dwa tygodnie później, Popo wrócił przywożąc ze sobą kobietę. Była to jego żona. Moja ciocia.

— Widzicie, jakie są kobiety — mówił Hat. — Widzicie, co one lubią. Nie obchodzi ich chłop. Obchodzi je wymalowany dom i to całe nowe umeblowanie wewnątrz. Założę się z wami, że gdyby ten facet w Arima miał nowy dom i nowe meble, ona by nie wróciła do Popa.

Mnie było wszystko jedno. Byłem zadowolony. Przyjemnie było widzieć Popa, jak stoi z rana

przed domem ze szklanką rumu, jak macza w nim palec i macha do znajomych. Dobrze było móc zapytać go znów: „Co pan robi, panie Popo”, i usłyszeć starą odpowiedź: „Ha, chłopcze, to jest dopiero pytanie. Robię tę rzecz bez nazwy”.

Popo bardzo szybko wrócił do swego dawnego trybu życia i nadal poświęcał cały swój czas robieniu tej rzeczy bez nazwy. Przestał pracować, a jego żona wróciła do pracy do tego samego domu, niedaleko mojej szkoły.

Ludzie z ulicy skłonni byli prawie winić Popa za to, że wróciła doń żona. Mieli do niego pretensję, bo zdawało im się, że całe ich współczucie poszło na marne, że zakpiono sobie z nich.

Hat znowu zaczął powtarzać:

— Powiadam wam, ten cholerny Popo jest zbyt zarozumiąły.

Ale tym razem Popo przyjmował te uwagi obojętnie. Mówił do mnie:

— Chłopcze, idź do domu i módl się dziś wieczorem, żebyś był tak szczęśliwy jak ja.

To, co się stało później, przyszło tak nagle, że o niczym nie wiedzieliśmy. Nawet Hat o niczym nie wiedział, zanim nie przeczytał o wszystkim w gazetach. On zawsze czytał gazety — od dziesiątej rano do szóstej po południu.

— Co ja widzę! — krzyknął, pokazując nam nagłówek: „Stolarz, bohater calypso, za kratkami”.

To była nieprawdopodobna historia. Okazało się, że Popo kradł na lewo i na prawo. Wszystkie te meble — jak je Hat nazywał — nie były dziełem Popa. Po prostu kradł różne rzeczy i przerabiał je. Prawdę mówiąc, ukradł za dużo, więc musiał odsprzedać rzeczy, które mu były niepotrzebne. I przy tej okazji dał się złapać. Teraz zrozumieliśmy, dlaczego przed domem Popa był zawsze taki ruch. Nawet farby i pędzle, którymi odmalował dom, ochodziły z kradzieży.

Hat wyraził nasze myśli, kiedy powiedział:

— Ten facet był po prostu głupi. Po co sprzedawał kradzione rzeczy? No, powiedz ci mi, po co?

Byliśmy tego samego zdania. Takie postępowanie nie miało sensu. Ale w głębi duszy czuliśmy, że Popo’ to naprawdę nie byle kto, że żaden z nas nie może się z nim równać.

Natomiast jeśli chodzi o moją ciocię...

Hat mówił:

— Ile dostanie? Rok? Zdejmą mu trzy miesiące za dobre sprawowanie i przesiedzi wszystkiego dziewięć miesięcy. Ona będzie się dobrze sprawować przez jakieś trzy miesiące, ale potem, powiadam wam, zniknie z Miguel Street.

Ale ona nigdy nie opuściła Miguel Street. Nie przestała być kucharką i na dodatek zaczęła przyjmować bieliznę do prania i prasowania. Nikt z naszej ulicy nie żałował Popa z tego powodu, że poszedł do więzienia i zaszargał sobie reputację. W końcu taka rzecz mogła przydarzyć się każdemu z nas. Przykro nam tylko było, że ona pozostanie’ tak długo sama.

Popo wrócił jak bohater. Teraz należał już naprawdę do paczki. Był ważniejszy niż Hat albo Bogart.

Ale według mnie zmienił się i ta zmiana bardzo mnie smuciła.

Albowiem Popo zaczął pracować. Zaczął robić krzesła i szafy, i stoły.

A gdy pytałem go:

— Panie Popo, kiedy zacznie pan znów robić tę rzecz bez nazwy?

Odpowiadał burcząc: — Nie mądrzyj się. Zmykaj, bo ci skórę złoję!



George i różowy dom

Bałem się znacznie bardziej George'a niż Wielkiej Stopy, choć Wielka Stopa był największym i najsilniejszym mężczyzną na całej ulicy. George był mały i gruby. Miał siwy wąsik i duży brzuch. Wyglądał jak niewiniątko, ale ciągle coś mruczał do siebie, kłął i nie próbował zaprzyjaźnić się z nikim.

Był jak ten muł, który stał zawsze przywiązany na jego podwórku, siwy, stary i milczący. Odnosiło się wrażenie, że George nie miał nic wspólnego z tym, co się ciągle rozgrywało wokół niego, a mnie dziwiło, że nikt nigdy nie uważał go za wariata, choć wszyscy byli zdania, że Człowieczek, którego bardzo lubiłem, jest nienormalny.

Dom George'a również wzbudzał we mnie strach. Była to rozlatująca się drewniana buda pomalowana od zewnątrz na różowo, z dachem z galwanizowanej blachy, brązowej od rdzy. Drzwi po stronie prawej stały zawsze otworem. Wewnętrzne ściany nigdy nie były malowane, a starość nadała im barwę szaroczną. W jednym kącie stało brudne łóżko, a w drugim stół i krzesło. To było całe umeblowanie. Żadnych zasłon, żadnych obrazów na ścianie. A przecież nawet Bogart miał w swoim pokoju fotografię Lauren Bacall.

Trudno mi było uwierzyć, że George miał żonę, syna i córkę.

Podobnie jak Popo, George nie miał nic przeciwko temu, że jego żona wszystko robi w domu i w obejściu. Trzymali krowy i z tego powodu też nienawidziłem George'a. Woda spływająca z jego podwórka zanieczyszczała rynsztok, a zdarzało się, że kiedy graliśmy w krykieta, piłka wpadała do rynsztoka. Boyee i Errol umyślnie moczyli piłkę w śmierdzącej wodzie, żeby trudniej ją było złapać.

Żona George'a nic sobą nie przedstawiała. Nie myślało się o niej inaczej jak o żonie George'a. I tylko tak. Ja zaś wyobrażałem sobie, że ona nigdy nie opuszcza swoich krów..

A podczas gdy ona harowała, George siedział na kamiennym schodku przed drzwiami domu.

George nigdy nie należał do paczki z Miguel Street. Wydawało się, że go to mało obchodzi. Miał żonę, syna, córkę, których mógł bić do woli. A gdy chłopak, Elias, podrośł i był już duży, George bił żonę i córkę bardziej niż kiedykolwiek. Żonie nie wychodziło to na dobre. Stawała się z każdym dniem chudsza; natomiast córce, Dolly, nie przeszkadzało to w niczym. Była coraz grubsza i chichotała coraz bardziej. Syn Elias zmieniał się w ponuraka, ale nigdy nie powiedział złego słowa na swego ojca.

Hat mówił: — Ten Elias ma za dużo zdrowego rozsądku.

A pewnego dnia Bogart zadziwił wszystkich oświadczając:

— Powiadam wam, mam ochotę dać temu staremu George'owi prawdziwą nauczkę.

W tych rzadkich wypadkach, kiedy Elias przyłączał się do paczki, Hat mówił:

— Żal mi cię, chłopcze. Na twoim miejscu pokazałbym temu staremu.

Elias odpowiadał:

— Wszystko w rękach Boga.

Elias miał wtedy nie więcej niż jakieś czternaście lat. Ale taki już był. Poważny i z dużymi ambicjami.

Mój strach dosięgnął szczytu, kiedy George kupił sofcie dwa wielkie owczarki alzackie i przywiązał je do kołków przy kamiennych schodkach domu.

Każdego poranka i każdego popołudnia, kiedy przechodziłem obok jego domu, szczuł na mnie psy wołając: — Bierz go!

Psy zrywały się, skakały i szcekały. Ja tylko patrzyłem na napięte postronki i obawiałem się, że przy następnym skoku pękną. Kiedy Hat miał psa, to go tak wytresował, że mnie lubił.

Hat powiedział wtedy: — Nigdy nie bój się psa. Idź odważnie. Nie uciekaj.

Tak więc przechodziłem powoli obok domu George'a przedłużając sobie torturę.

Nie wiem, czy George mnie nie lubił, czy też czuł antypatię do ludzi w ogóle. Nigdy nie rozmawiałem na ten temat z chłopakami z naszej ulicy, bo wstydziłem się przyznać, że boję się szczekających psów.

Z czasem jednak zdołałem się do nich przyzwyczaić. I nawet śmiech George'a, kiedy przechodziłem obok jego domu, nie wywierał na mnie większego wrażenia.

Pewnego dnia zobaczyłem George'a stojącego przed swoim domem i mrużącego coś pod nosem. Słyszałem, jak mruży tego samego popołudnia, mrużał też następnego dnia. Mówił: „Końska mordą!” albo „Chciałbym, żeby tutaj mieszkali tylko ludzie o końskiej mordzie”. Czasem mówił: „Dupa” albo „Jak ludzie mogą mieć takie dupy?”

Udawałem, oczywiście, że niczego nie słyszę, ale po tygodniu te pomruki George'a zaczęły doprowadzać mnie prawie do łez.

Pewnego wieczoru, kiedy przestaliśmy grać w krykieta, bo Boyee wrzucił piłkę na podwórko panny Hilton, co równało się przegranej, zapytałem Eliasa:

— Czego twój ojciec chce ode mnie? Dla czego mnie wyzywa?

Hat zaśmiał się, a Elias przybrał poważną minę.

— A jak on ciebie wyzywa? — zapytał Hat.

— Ten grubas woła na mnie: „Końska mordą” — rzekłem. Nie miałem odwagi wypowiedzieć tego drugiego słowa.

Hat znowu roześmiał się. Elias rzekł:

— Mój ojciec to dziwny człowiek. Ale musisz mu wybaczyć. To, co mówi, nie ma znaczenia. On jest stary. Miał ciężkie życie. Nie jest taki wykształcony jak my. Ale ma duszę tak samo jak każdy z nas.

Mówił z taką powagą, że Hat przestał się śmiać, a ja, kiedy przechodziłem obok domu George'a, powtarzałem sobie: „Musisz mu wybaczyć, bo on nie wie, co czyni”.

A potem umarła matka Eliasa. Miała najsmutniejszy i najnędzniejszy pogrzeb, jaki kiedykolwiek widziała Miguel Street.

Pusty pokój od frontu stał się jeszcze bardziej ponury i wzbudzał we mnie jeszcze większy strach.

Może to dziwne, ale zrobiło mi się trochę żal George'a. Ludzie z Miguel Street zebrali się przed domem Hata i komentowali wydarzenie.

Hat stwierdził: — Za mocno ją bił.

Bogart przytakiwał i rysował palcem kółka na ziemi.

Edward rzekł: — A ja powiadam wam, że on ją zabił. Boyee powiedział mi, że ostatniego wieczoru przed jej śmiercią słyszał, że George bił ją jak opętany.

Wówczas wtrącił Hat: — A co ty myślisz, po co mamy lekarzy i sędziów w tym mieście, dla zabawy?

— Wiem, co mówię — upierał się Edward. — To prawda, Boyee nie skłamałby, mówiąc takie rzeczy. Ta kobieta umarła od bicia. Nasi sędziowie to wytrzymają, ale żona George'a nie wytrzymała.

Nikt nie rzekł dobrego słowa o George'u.

Boyee powiedział coś takiego, czego bym się po nim nie spodziewał:

— Naprawdę to mi żal Dolly. Czy myślisz, że on ją nadal będzie bił?

Hat stwierdził filozoficznie: — Poczekamy, zobaczymy.

Elias przestał należeć do naszej paczki.

Przez pierwsze kilka dni po pogrzebie George był bardzo smutny. Pił dużo rumu i chodził po ulicach płacząc, bijąc się w piersi i błagając wszystkich, żeby mu przebaczyli i żeby się zlitowali nad

nim, George'em, biednym wdowcem.

Przez następne tygodnie też pił. Nie przestawał biegać po ulicach i ludzie czuli się głupio, gdy ich zaczepiał błagając o przebaczenie.

— Mój syn, Elias — mówił George — mój syn, Elias, wybaczył mi, a to jest wy kształcony chłopak.

Kiedy przyszedł do Hata, Hat zapytał:

— A co z twoimi krowami? Doisz je? Karmisz je? A może chcesz je także zamordować?

George sprzedał wszystkie krowy Hatowi.

— Bóg powie, że to rabunek — mówił Hat śmiejąc się — ja mówię, że to okazja.

Edward oświadczył: — Dobrze mu tak, temu George'owi. Zaczyna płacić za swoje grzechy.

— A ja zapatruję się na to inaczej — rzekł Hat. — Dałem mu tyle pieniędzy, żeby się mógł upijać przez całe dwa miesiące.

Przez tydzień George'a nie było na Miguel Street. W tym czasie widywaliśmy częściej Dolly. Sprzątnęła frontowy pokój i wyżebrała kwiaty u sąsiadów, żeby go nimi przystroić. Chichotała bardziej niż kiedykolwiek.

Ktoś z ulicy (nie ja) otruł oba owczarki alzackie.

Mieliśmy nadzieję, że George odszedł na. zawsze.

On jednak wrócił, pijany jak bela, ale już nie płaczący i bezbronny. Miał ze sobą kobietę. Była to prawdziwa Indianka, trochę stara, ale na oko dostatecznie silna, żeby dać sobie radę z George'em.

— Ona też wygląda na moczymordę — oświadczył Hat.

Kobieta zawałdnęła domem George'a i Dolly znów musiała szukać sobie kąta w pustej oborze.

Ponownie zaczęły krążyć historie o bijatykach i każdy współczuł Doiły i tej nowej kobiecie.

Serce pękało mi na myśl o tym, co one muszą wycierpieć. Nie mogłem zrozumieć, jak można wytrzymać z człowiekiem takim jak George, i nie zdziwiłem się wcale, kiedy pewnego pięknego poranka, jakieś dwa tygodnie później, Popo powiedział:

— Słyszałeś, podobno nowa żona George'a odchodzi od niego.

— Ciekawe, co on robi, kiedy mu się skończą pieniądze, które mu dałem — rzekł Hat.

Przekonaliśmy się o tym wkrótce. Prawie z dnia na dzień różowy dom przekształcił się w bardzo ruchliwy przybytek. Pełno tam było krzykliwych kobiet mało dbających o swój wygląd zewnętrzny. A gdy przechodziłem obok domu, rzucały pod moim adresem obraźliwe słowa, a niektóre robiły dziwne miny i zapraszały mnie do środka mówiąc: „Chodź do mamusi”. Oprócz tych nowych kobiet byli jeszcze żołnierze amerykańscy, którzy podjeżdżali tu na swoich jeepach. Miguel Street była pełna gwaru i śmiechu.

Hat oświadczył: — Powiadam wam, ten George psuje reputację naszej ulicy.

Wydawało się, że Miguel Street przeszła we władanie tych nowych ludzi. Hat i pozostali chłopcy nie mogli się już czuć jak u siebie, kiedy siadali na ziemi, żeby porozmawiać o swoich sprawach.

Ale Bogart zaprzyjaźnił się z tymi kobietami i spędzał dwa lub trzy wieczory w tygodniu w ich towarzystwie. Udawał, że to, co widzi, wzbudza w nim obrzydzenie, ale ja mu nie wierzyłem, bo ciągle tam wracał.

— A co się stało z Dolly? — zapytał go raz pewnego Hat.

— Jest na miejscu — odparł Bogart, chcąc przez to powiedzieć; że dziewczyna ma się dobrze.

— Wiem, że jest na miejscu — rzekł Hat. — Ale co ona robi?

— Sprząta, gotuje.

— Dla wszystkich?

— Dla wszystkich.

Elias miał swój własny pokój, którego nigdy nie opuszczał, gdy wracał do domu. Posiłki jadał na mieście. Przygotowywał się do jakiegoś ważnego egzaminu. Bogart twierdził, a raczej sugerował, że rodzina przestała go interesować.

George, jak zawsze, pił dużo. Ale wiodło mu się doskonale. Chodził teraz ubrany w garnitur i krawat.

Hat mówił:

— On musi zarabiać kupę forsy, jeśli stać go na płacenie łapówek całej policji.

Ja natomiast nie mogłem w ogóle zrozumieć, dlaczego te kobiety mają taki stosunek do George'a. Zachowywały się tak, jakby go lubiły i poważały. A przecież George wcale nie odwzajemniał się im uprzejmością. On pozostał sobą.

Pewnego dnia oświadczył:

— Dolly nie ma teraz: matki. Muszę być dla niej i ojcem, i matką. Najwyższy czas, żeby Dolly wyszła za mąż.

Jego wybór padł na człowieka zwanego Brzytwą. I trudno było sobie wyobrazić lepsze przezwisko. Był niski i chudy. Nad wąskimi, prostymi ustami miał mały, ostry wąsik. Kant jego spodni był zawsze ostry i prosty. Mówiono, że nosi przy sobie nóż.

Pomysł wydania Dolly za Brzytwę nie przypadł do gustu Hatowi.

— To za wielki cwaniak dla nas — oświadczył. — Ten facet może od niechcienia wpakować ci nóż w plecy i odejść zapomniawszy go wyjąć.

A Dolly tylko chichotała.

Ślub Dolly i Brzytwy odbył się w kościele, po czym wszyscy wrócili do różowego domu na przyjęcie. Kobiety były odświętnie ubrane, a w domu było mnóstwo amerykańskich żołnierzy i marynarzy, którzy pili, śmieli się i składali gratulacje George'owi. Kobiety i Amerykanie namawiali Dolly i Brzytwę, żeby się całowali, a przy każdym pocałunku rozbrzmiewały gromkie brawa. Dolly chichotała.

Hat powiedział:

— Powiadam wam, ona wcale nie chichocze. Ona płacze.

Eliasa w tym dniu nie było w domu.

Kobiety i Amerykanie śpiewali „Słodką dziewczynę” i „Gdy mija czas”. Potem znów zmuszali Dolly i Brzytwę, żeby się całowali. Ktoś krzyknął: „Chcemy przemówienia!” i wszyscy zaczęli się śmiać i krzyzczeć: „Przemówienia! Przemówienia!”

Brzytwa zostawił Dolly samą. Dolly wciąż chichotała. A goście nie przestawali domagać się przemówienia.

Dolly chichotała coraz bardziej.

Wtedy zabrał głos George.

— Dolly — rzekł — teraz jesteś zamężna, to prawda. Ale niech ci się nie wydaje, że nie mogę cię położyć na kolanach i sprać po dupie. — To miał być dowcip i goście głośno się śmieli.

Tylko Dolly przestała chichotać i spoglądała na wszystkich z głupią miną.

Przez chwilę tak krótką, że z trudem można było odmierzyć jej trwanie, zapanowała absolutna cisza. Potem jakiś pijany amerykański marynarz zaczął wymachiwać rękami i krzyknął:

— Mógłbyś tę dziewczynę lepiej wykorzystać, George! — Wszyscy pękali ze śmiechu.

Dolly podniosła garść żwiru, który zalegał podwórko, i zrobiła ruch, jakby chciała rzucić nim w marynarza. Ale nagle powstrzymała się i wybuchła płaczem.

Potem było jeszcze dużo śmiechu, wiwatów i okrzyków.

Nigdy nie dowiedziałem się, co się stało z Dolly. Edward powiedział kiedyś, że mieszka w Sangre Grandę. Hat twierdził, że widział ją, jak sprzedawała coś na rynku przy George Street. Ale

naszą ulicę opuściła na zawsze.

Mijały miesiące, a wraz z nimi zmniejszała się liczba kobiet w różowym domu; jeepów zatrzymujących się przed domem George'a było też coraz mniej.

— Tu potrzebna jest organizacja — mówił Hat.

Bogart przytakiwał. A Hat dodawał:

— W Port of Spain jest teraz cała masa ładnych lokali. Kłopot z George'em polega na tym, że on jest za głupi, żeby robić interesy.

Słowa Hata okazały się prorocze. Nie minęło sześć miesięcy, a George był jedynym lokatorem różowego domu. Widywałem go siedzącego na schodkach, ale nawet nie spojrzał na mnie. Był stary, smutny, zmęczony.

Wkrótce potem umarł. Hat i chłopcy złożyli się na pogrzeb i pochowano go na cmentarzu Lapeyrouse. Elias zjawił się, żeby wziąć udział w pogrzebie.



Ulubione zajęcie

Po północy ulica rozbrzmiewała nieodmiennie dwoma odgłosami. O drugiej zjawiali się zmiatacze, a potem przed świtem zajeżdżały wozy i można było słyszeć, jak ludzie ładują na nie śmieci zebrane w kupy przez zmiataaczy.

Nikt na naszej ulicy nie chciał być zmiataczem. Ale gdy pytało się jakiegoś chłopca, czym chciałby zostać, odpowiadał: — Będę woźnicą.

Rzeczywiście, być woźnicą to było nie byle co. Woźnice stanowili arystokrację. Pracowali nad ranem, a potem mieli cały dzień wolny. No, a poza tym ciągle strajkowali. Ich żądania nie były wygórowane. Strajkowali, żądając takich rzeczy jak podwyżki płac o jeden cent dziennie. Strajkowali, jeśli zwalniano kogoś z pracy. Strajkowali, kiedy wojna się zaczęła. Strajkowali, kiedy wojna się skończyła. Strajkowali, kiedy Indie uzyskały niepodległość. Strajkowali, kiedy Gandhi zmarł.

Eddoesa, który był woźnicą, wszyscy podziwiali. On sam twierdził, że jego ojciec był swego czasu najlepszym woźnicą, i opowiadał nam różne historie na temat umiejętności swego starego. Eddoes pochodził z niskiej kasty hinduskiej i w tym, co mówił, było dużo prawdy. Te umiejętności rodzinne przechodziły z pokolenia na pokolenie.

Pewnego dnia zmiatałem właśnie ulicę przed domem, w którym mieszkałem, kiedy nadszedł Eddoes. Próbował zabrać mi miotłę. Ja zaś lubiłem zmiatać i nie zamierzałem mu jej oddać.

— Chłopcze, co ty wiesz o zmiataniu — zaśmiał się Eddoes.

— A co tu trzeba wiedzieć? — zapytałem. A na to Eddoes:

— To jest moja robota. Ja mam doświadczenie. Przekonasz się, gdy będziesz taki duży jak ja.

Oddałem mu miotłę.

Po tym wydarzeniu było mi smutno przez bardzo długi czas. Wydawało mi się, że nigdy nie będę taki duży jak Eddoes i że nigdy nie posiadę tego, co on nazwał doświadczeniem. Zacząłem podziwiać Eddoesa bardziej niż kiedykolwiek. I bardziej niż kiedykolwiek pragnąłem zostać woźnicą.

Ale Elias wcale tego nie pragnął.

Kiedy cała nasza paczka, młodzież z Miguel Street, rozsiadła się na chodniku, a Hat, Bogart i inni rozmawiali o życiu, krykicie i piłce nożnej, zapytałem Eliasa:

— A więc nie chcesz być woźnicą? Kim chcesz zostać? Zmiataczem?

Elias splunął i wbił wzrok w ziemię, a potem oświadczył z powagą:

— Sądzę, że zostanę doktorem.

Gdyby Boyee albo Errol powiedzieli coś podobnego, wybuchnęlibyśmy śmiechem. Ale o Eliasie wiedzieliśmy, że jest inny, że ma głowę na karku.

Żal nam było Eliasa. Jego ojciec, George, bił go, ale Elias nigdy nie płakał i nigdy nie powiedział o nim złego słowa.

Razu pewnego szedłem do sklepu China po masło za trzy centy i poprosiłem Eliasa, żeby mi towarzyszył. Nie widziałem George^a w pobliżu i myślałem, że Eliasowi nic nie grozi.

Oddaliśmy się na odległość nie większą niż dwa domy, gdy ujrzeliśmy George'a. Elias był przerażony. George zbliżył się i zapytał ostro: „Dokąd idziesz?”, a równocześnie wyrzwał Eliasa potężnie w szczękę.

George lubił bić Eliasa. Zazwyczaj wiązał go sznurem, a potem bił powrozem umocnionym w rynsztoku albo w krowim łajnie. Elias nawet wtedy nie płakał. A chwilę później widziałem, że George i Elias śmieją się. George mówił do mnie wtedy:

— Wiem, co myślisz. Dziwisz się, że on i ja stajemy się tak szybko przyjaciółmi.

Im bardziej nie lubiłem George'a, tym bardziej lubiłem Eliasa. Gotów byłem uwierzyć, że kiedyś

zostanie doktorem.

Errol mówił: — Zobaczycie, jak zostanie doktorem, to nie będzie nas chciał znać. Prawda, Elias? Na ustach Eliasa malował się uśmiech.

— Nic podobnego. Ja nie jestem taki. Jak będę doktorem, to dam tobie i Boyee, i innym chłopakom dużo pieniędzy i innych rzeczy. — I Elias podnosił do góry swoje drobne ramiona, a nam wydawało się, że już widzimy cadillaka, czarną walizeczkę i słuchawkę, które Elias będzie miał, gdy zostanie doktorem.

Elias zaczął chodzić do szkoły na drugim końcu Miguel Street. Ta szkoła wcale nie wyglądała na szkołę. Dla mnie był to taki sam dom jak każdy inny, tylko że miał wywieszkę z napisem:

TYTUS HOYT, I. A. (LONDYN)

GWARANTOWANE DYPLOMY UKOŃCZENIA
SZKOŁY WEDŁUG WYMOGÓW CAMBRIDGE

Dziwna rzecz, wprawdzie George bił Eliasa przy najmniejszej okazji, to jednak był dumny, że jego syn się uczy.

— Ten chłopak uczy się jak szalony — mówił. — On czyta po hiszpańsku, francusku, łacinie i pisze po hiszpańsku, francusku i łacinie.

Rok przed śmiercią swojej matki Elias zaczął uczyć się do egzaminu ukończenia szkoły średniej.

Tytus Hoyt zjawił się wtedy na naszej ulicy.

— Zobaczycie — mówił — ten chłopak zda z odznaczeniem.

Widzieliśmy, jak Elias, ubrany w czyste spodnie koloru khaki i białą koszulę, wchodził do pokoju, gdzie odbywał się egzamin, i rozpierała nas duma. Errol mówił:

— Słuchajcie, chłopcy, to, co Elias napisze, nie pozostanie tutaj. Każde jego słowo prze ślą do Anglii.

Wydawało się nam, że to rzecz nieprawdopodobna.

— Co wy sobie myślicie — mówił Errol. — Elias to nie byle kto.

Matka Eliasa umarła w styczniu, a wyniki egzaminu ogłoszono w marcu.

Elias nie zdał.

Hat kilka razy przeglądał listę opublikowaną w "Guardianie" szukając nazwiska Eliasa.

— Nigdy nic nie wiadomo — stwierdził. — Ludzie się mylą, zwłaszcza kiedy jest tyle nazwisk.

Ale nazwisko Eliasa nie figurowało w gazecie.

Boyee powiedział:

— Czego się można było spodziewać? Kto poprawia wypracowania? Anglicy, no nie? I wy przypuszczacie, że oni przepuściliby Eliasa?

Elias był z nami, ale nie powiedział słowa. Hat rzekł:

— To naprawdę skandal. Gdyby oni wiedzieli, jak się chłopak napracował, toby mu -dali dyplom od razu, bez gadania.

Tytus Hoyt oświadczył:

— Nie przejmuj się. Rzym też nie został zbudowany w ciągu jednego dnia. W tym roku będzie łatwiej, zobaczysz. My jeszcze pokażemy tym Anglikom.

Elias opuścił nas i zamieszkał z Tytusem Hoyt. Nie widywaliśmy go prawie w ogóle. Pracował dniami i nocami.

Pewnego dnia, w marcu następnego roku, Tytus Hoyt zjawił się na naszej ulicy i rzekł:

— Czy wiecie, co się stało?

— Co takiego? — zapytał Hat.

— Ten chłopak to geniusz — rzekł Tytus Hoyt.

— Który chłopak? — zapytał Errol.

— Elias.

— A co on takiego zrobił?

— On zrobił dyplom szkoły średniej według wymogów Cambridge.

Hat aż zagwizdał z podziwu. Tytus Hoyt uśmiechał się.

— I jakie stopnie dostał. Jego nazwisko będzie jutro w gazetach. Zawsze to mówiłem i dziś też mówię: Ten chłopak ma nielichą głowę.

Hat powiedział później:

— Jaka szkoda, że ojciec jego nie żyje. Wprawdzie to nicpoń, ale zawsze marzył, żeby jego syn był wykształconym człowiekiem.

Elias przyszedł do nas tego wieczoru i wszyscy — młodzi i starzy — zgromadzili się wokół niego. Rozmawiano o wszystkim, tylko nie o książkach, a Elias mówił o takich sprawach jak filmy, dziewczyny i krykiet. Ale wyglądał przy tym bardzo uroczyście.

W pewnej chwili zapanowała cisza i wtedy Hat zapytał: — Co masz zamiar teraz robić, Elias? Będziesz szukał pracy?

Elias splunął.

— Nie — rzekł. — Stanę jeszcze raz do egzaminu.

— Dlaczego? — zapytałem.

— Bo chcę dostać jeszcze lepsze stopnie. Zrozumieliśmy. Chce zostać doktorem. Elias usiadł na krawędzi chodnika i rzekł:

— Tak, chłopcy. Stanę jeszcze raz do egzaminu, a w tym roku będę taki dobry, że pana Cambridge krew zaleje, jak przeczyta moje wypracowania.

Nas aż zatkało z podziwu.

— Jeszcze nie daję sobie rady z angielskim i z literaturą — rzekł Elias.

W jego ustach słowo „literatura” przybierało najpiękniejsze brzmienie. Przypominało coś tak słodkiego jak czekolada.

Hat powiedział: — To znaczy, że musisz czytać dużo wierszy i różne inne rzeczy.

Elias pokiwał głową. My zaś czuliśmy, że krzywdzi się chłopaka, każąc mu przerabiać literaturę i czytać wiersze.

Elias wprowadził się z powrotem do różowego domu, który stał pusty od chwili śmierci jego ojca. Uczył się i pracował. Wrócił do szkoły pana Tytusa Hoyta nie jako uczeń, ale jako nauczyciel, a Tytus Hoyt mówił, że płaci mu czterdzieści dolarów miesięcznie.

— I on jest tego wart — dodawał. — Elias to jeden z najmądrzejszych chłopaków w całym Port of Spain.

Teraz, kiedy znów zamieszkał wśród nas, mogliśmy go lepiej ocenić. Był to najczystszy chłopak na całej ulicy. Kąpał się dwa razy dziennie i czyścił zęby dwa razy dziennie. Robił to stojąc przy pompie przed domem. Sprzątał dom każdego ranka przed pójściem do pracy. Był przeciwieństwem swego ojca. Jego ojciec był niski, gruby i brudny. On był wysoki, chudy i czysty. Jego ojciec pił i kłął. On nigdy nie zaglądał do kieliszka i nigdy nie mówił brzydkich słów.

Moja matka często gderiała:

— Dlaczego nie bierzesz przykładu z Eliasa? Skaranie boskie z tobą.

A kiedy Hat lub Edward bili Boyee albo Errola, ci mówili:

— Czego od nas chcecie? Przecież nie każdy może być taki jak Elias.

Hat mówił: — On ma nie tylko głowę na karku, on ma też dobre maniery.

Byłem więc, przyznaję, trochę zadowolony, kiedy Elias stanął po raz trzeci do egzaminu i oblał.

Hat powiedział: — Widzicie sami, co to za typy ci Anglicy. Nikt mi nie wmówi, że ten chłopak nie zdał. Ale czy można się było spodziewać, że oni mu dadzą lepsze stopnie?

I wszyscy mówili: — To prawdziwy skandal!

A kiedy Hat zapytał Eliasa: — Co masz zamiar teraz robić? — Elias odpowiedział: — Chyba wezmę posadę. Myślę, że zostanę inspektorem sanitarnym.

Już wyobrażaliśmy sobie, jak w mundurze i czapce koloru khaki chodzi od domu do domu z małym notesem w ręce.

— Tak — oświadczył Elias. — Zostanę inspektorem sanitarnym.

Hat powiedział:

— Na tym można zrobić grubą forszę. Słyszałem, że twój ojciec, George, płacił inspektorowi sanitarnemu pięć dolarów miesięcznie za to, żeby milczał. Powiedzmy, że masz ta kich dziesięciu czy nawet ośmiu klientów. To wyniesie, zaraz, niech obliczę — dziesięć razy pięć to pięćdziesiąt, osiem razy pięć to czterdzieści. No więc masz na czysto czterdzieści, pięćdziesiąt dolarów. I nie wliczam do tego twojej pensji.

Elias powiedział: — Nie chodzi mi o pieniądze. Ja naprawdę lubię tę robotę. To można było zrozumieć.

— Ale czy wy wiecie, że aby być inspektorem sanitarnym, trzeba zdać egzamin? — rzekł Elias.

— Chyba nie odsyłają papierów do Anglii? — spytał Hat.

— Nie, ale zawsze. Ja się już boję egzaminów. Nie miałem do nich szczęścia — rzekł Elias.

Wtedy odezwał się Boyee:

— A ja myślałem, że chcesz zostać doktorem.

— Boyee! — krzyknął Hat. — Zamknij się, bo ci złoję skórę.

A przecież Boyee nie myślał nic złego. Elias rzekł:

— Zmieniłem zdanie. Naprawdę chcę zostać inspektorem sanitarnym. Ta robota mi się podoba.

Przez trzy lata Elias próbował zdać egzamin na inspektora sanitarnego i za każdym razem oblewał.

W końcu zaczął mówić:

— Czego można się spodziewać, do jasnej cholery, na Trynidadzie? Przecież tu trzeba dawać łapówkę przy każdej okazji.

Hat rzekł: — Spotkałem ostatnio jakiegoś marynarza, który mi powiedział, że egzaminy na inspektora sanitarnego w Gujanie Brytyjskiej są dużo łatwiejsze. Pojedź do Gujany i zdaj tam egzamin, potem wróć tutaj i zacznij pracować.

Elias poleciał do Gujany Brytyjskiej, stanął do egzaminu i oblał.

Hat rzekł:

— Spotkałem jakiegoś człowieka z Barbadosu. On powiada, że egzamin na Barbadosie jest łatwy jak nic.

Elias poleciał na Barbados, stanął do egzaminu i oblał. Hat rzekł:

— Spotkałem ostatnio jakiegoś faceta z Grenady...

Elias powiedział:

— Zamknij tę swoją głupią jadaczkę, bo inaczej dojdzie między nami do draki.

Kilka lat później zdałem egzamin ukończenia szkoły średniej według wymogów Cambridge i pan Cambridge dał mi dobre stopnie. Złożyłem podanie o pracę w Urzędzie Celnym i otrzymałem ją bez większego trudu. Nosiłem teraz mundur koloru khaki ze złotymi guzikami i urzędową czapkę. Strój ten był bardzo podobny do> munduru inspektora sanitarnego.

Elias chciał mnie pobić, kiedy pokazałem się pierwszy raz w mundurze.

— Co też twoja matka musiała zrobić, żeby ci dali taki mundur?! — wrzeszczał. Chciałem się rzucić na niego, ale Eddoes za pobięł temu.

Eddoes rzekł: — Elias jest po prostu smutny i zazdrosny. On nie ma złych zamiarów. Albowiem

Elias należał teraz do arystokracji ulicznej. Był woźnicą na wozie, który zbierał śmieci.
— Tu nie ma teorii — mawiał. — To czysta praktyka. Naprawdę lubię tę robotę.



Człowieczek

Wszyscy na Miguel Street twierdzili, że Człowieczek to wariat, i dlatego zostawiali go w spokoju. Ale teraz ja wcale nie jestem taki pewny, że on był wariatem, i mogę wskazać wiele ludzi znacznie bardziej zwariowanych od niego.

Człowieczek wcale nie wyglądał na wariata. Był średniego wzrostu, chudy i nawet niebrzydki. Nigdy nie wpatrywał się w ciebie tak, jak to czynili wariaci, a kiedy odezwał się do niego, mogłeś być pewny, że otrzymasz zupełnie rozsądną odpowiedź.

Był to jednak facet o dość osobliwych przyzwyczajeniach.

Wystawiał swoją kandydaturę we wszystkich wyborach, od rady miejskiej do rady legislacyjnej. W całym okręgu przyklepał plakaty. Plakaty były starannie wykonane. Figurowało na nich tylko jedno słowo: „Głosuj”, a pod nim widniało zdjęcie Człowieczka.

Zawsze w wyborach otrzymywał dokładnie trzy głosy. I tego właśnie nie mogłem zrozumieć. Człowieczek na pewno głosował na siebie. Ale kim byli pozostali dwaj?

Zapytałem Hata.

Hat powiedział: — Naprawdę nie wiem. To rzeczywiście tajemnicza historia. Może ktoś robi to dla kawału. Ale dziwni to kawalarze, skoro powtarzają ten figiel tyle razy. To na pewno tacy sami wariaci jak on.

Przez dłuższy czas myśl o tych dwóch wariatach głosujących na Człowieczka nie dawała mi spokoju. Za każdym razem, kiedy widziałem, że ktoś zachowuje się trochę dziwnie, zastanawiałem się, czy to nie on właśnie głosuje na Człowieczka.

Gdzieś w mieście krążyło dwóch tajemniczych ludzi.

Człowieczek nigdy nie pracował. Ale też nigdy nie próżnował. Urzekało go słowo, a zwłaszcza słowo pisane. Mógł spędzić cały dzień na pisaniu jednego tylko słowa.

Pewnego dnia natknąłem się na Człowieczka na rogu Miguel Street.

— Dokąd idziesz, chłopcze? — zapytał.

— Idę do szkoły — odparłem.

A Człowieczek patrząc na mnie z powagą rzekł z pogardą:

— A więc to tak, idziesz do szkoły. Ja na to automatycznie:

— Tak jest, idę do szkoły.

W tym momencie zdałem sobie sprawę, że bezwiednie naśladowuję czysty i bardzo angielski akcent Człowieczka.

I właśnie jego akcent też należał do tajemnic otaczających jego osobę. Gdybyś zamknął oczy i słuchał go, pomyślałbyś, że mówi jakiś Anglik — nie bardzo dbający o gramatykę, ale pochodzący z dobrego towarzystwa.

A Człowieczek tymczasem rzekł, tak jakby mówił do siebie:

— No więc nasz mały panicz idzie do szkoły.

Potem zapomniał o mnie, wyjął z kieszeni długi kawałek kredy i zaczął pisać na bruku. Narysował coś w rodzaju wielkiego *S* i zakreskował puste miejsca, a potem jeszcze *C* i *H* i *O*^[1]. Teraz znów narysował kilka *O*, jedno mniejsze od drugiego, aż wreszcie skończyło się na całej serii wiązanych ze sobą liter *o*.

Kiedy wracałem do domu na obiad, Człowieczek zbliżał się do French Street, ciągle rysując swoje *o* i ścierając niepotrzebne kreski gałgankiem.

W ciągu popołudnia okrążył kwadrat ulic i znalazł się z powrotem na Miguel Street.

Ja tymczasem wróciłem do domu, zdjąłem mundurek szkolny, przebrałem się w strój domowy i wyszedłem na ulicę. Człowieczek znajdował się dopiero w połowie Miguel Street.

— A więc nasz mały panicz był dzisiaj w szkole — odezwał się.

— Tak jest — powiedziałem. Człowieczek podnosił się i prostował plecy. Potem znów kucał, rysował coś w kształcie litery L i zakreślał powoli i starannie puste miejsca.

Kiedy skończył, wstał i rzekł:

— Tyś skończył swoją robotę, a ja swoją. Albo było tak: Jeśli powiedziałeś mu, że idziesz grać w krykieta, on pisał KRYKI, a potem spędzał czas na kreśleniu litery E, dopóki cię znów nie zobaczył.

Pewnego razu Człowieczek poszedł do kawiarni, która znajdowała się na końcu Miguel Street, i zaczął warczeć i czekać na klientów tak, jakby był psem. Właściciel kawiarni, potężny Portugalczyk z owłosionymi łapami, ryknął na niego:

— Wynoś się, bo ci gnaty poprzetrącam.

Ale Człowieczek tylko śmiał się.

W końcu wyrzucili go za drzwi.

Następnego dnia właściciel kawiarni stwierdził, że ktoś wszedł do lokalu w nocy i pozostawił wszystkie drzwi otwarte. Nic jednak nie zginęło.

Hat rzekł:

— Nie wolno zadzierać z Człowieczkiem. On o wszystkim pamięta.

Owej nocy ktoś ponownie wszedł do kawiarni i zostawił wszystkie drzwi otwarte.

Następnej nocy znów ktoś wszedł do kawiarni, ale tym razem na wszystkich krzesłach, wszystkich stolikach i w regularnych odstępach wzdłuż lady pozostawiono małe grudki łajna.

Przez następnych kilka tygodni wszyscy śmieli się z właściciela kawiarni i dopiero po dłuższym czasie znów zaczęto do niej chodzić.

Hat mówił: — Jest właśnie tak, jak mówiłem. Powiadam wam, nie chcę zadzierać z tym facetem. W takiej głowie naprawdę może zrodzić się nie wiadomo jaki pomysł. Jeden Bóg wie, co.

Dzięki temu właśnie ludzie pozostawiali Człowieczka w spokoju. Jedyńm jego przyjacielem był mały kundel, biały, z czarnymi plamami na uszach. Pies podobny był do swego pana i też jakiś dziwny. Nigdy nie szczekał, nigdy nie spoglądał na nikogo, a jeśli patrzyłeś na niego, to odwracał głowę. Nigdy nie zaprzyjaźnił się z innym psem, a gdy jakiś pies usiłował zbliżyć się do niego — bez względu na to czy w przyjaznych, czy we wrogich zamiarach — spoglądał na niego z pogardą i odchodził powoli, nie odwracając się.

Człowieczek lubił swego psa, a pies lubił swego pana. Byli jakby stworzeni dla siebie, a Człowieczek nie mógłby zapewne żyć bez swego kundla.

Wydawało się, że Człowieczek wywiera jakie niesamowity wpływ na potrzeby fizjologiczne swego psa.

Hat mówił: — To naprawdę niesłychana historia. Nie mogę pojąć, jak on to robi.

Wszystko zaczęło się na Miguel Street.

Pewnego poranka kilka kobiet stwierdziło, że bielizna pozostawiona ma noc na dworze została zabrudzona psimi ekskrementami. Nikt nie chciał używać tych powalanych prześcieradeł i koszul i gdy pojawił się Człowieczek, wszyscy podarowali mu je.

Człowieczek zaś zaczął nimi handlować.

Hat rzekł: — Jak o tym pomyślę, to zadaję sobie pytanie, czy on jest naprawdę wariatem.

Działalność Człowieczka objęła również inne ulice, nie tylko Miguel Street, a ci, co ucierpieli od jego psa, cieszyli się z tego, że innych spotkało to samo.

A my, mieszkańcy Miguel Street, zaczęliśmy być z Człowieczka nawet dumni.

Nie wiem, co skłoniło Człowieczka do tego, że stał się nagle dobry. Być może śmierć jego psa miała coś z tym wspólnego, przejechał go samochód. Hat mówił, że pies ledwo pisnął i było po

wszystkim.

Człowieczek chodził całymi dniami jak struty, nie mógł znaleźć sobie miejsca.

Już nie wypisywał słów na bruku. Już nie odzywał się ani do mnie, ani do żadnego innego chłopaka z ulicy. Zaczął mówić do siebie i poruszać ramionami tak, jakby się trząsał w febrze.

Potem pewnego dnia oświadczył, że po kąpieli ujrzał Boga.

Nie zdziwiło nas to specjalnie. Boga widziano często w Port of Spain, a nawet na całym Trynidadzie. Wszystko zaczęło się od Ganesha Pundita, mistycznego masażysty z Fuente Grove. On to zobaczył Boga, po czym opublikował małą książeczkę pod tytułem „Co powiedział mi Bóg”. Kilku konkurencyjnych mistyków, wśród których było niemało masażystów, też ogłosiło, że widziało Boga, a mnie wydaje się, że skoro Bóg znajdował się w okolicy, to było rzeczą naturalną, że Człowieczek się z nim spotkał.

Człowieczek zaczął wygłaszać kazania na rogu Miguel Street, pod markizami sklepu Marii. Robił to w każdą sobotę wieczorem. Zapuścił brodę i ubierał się w długą, białą sutannę. Sprawił sobie Biblię i inne święte utensylia i wygłaszał kazania, stojąc w białym świetle lampki acetylenowej. Jego kazania wywierały duże wrażenie. Kobiety słuchające go płakały, a tacy jak Hat czuli się nieswojo.

Zazwyczaj trzymał Biblię w prawej ręce, uderzał w nią lewą i tym swoim czystym angielskim perorował:

— Rozmawiałem niedawno z Panem Bogiem, a to, co mi powiedział o was, nie było przyjemne. Politycy powtarzają ostatnio, że nasza wyspa powinna być samowystarczalna. A czy wiecie, co mi Pan Bóg powiedział wczoraj wieczorem? Właśnie wczoraj wieczorem, kiedy kończyłem jeść, Pan Bóg powiedział: „Człowieczku, przyjrzyj się tym ludziom”. I pokazał mi, jak mąż morduje żonę, a żona morduje męża. Pokazał mi, jak ojciec morduje syna, a matka córkę. Pokazał mi, jak brat morduje siostrę, a siostra brata. To właśnie mają na myśli ci politykierzy, którzy mówią, że wyspa powinna być samowystarczalna. Ale, bracia, jeszcze jest czas, by wrócić do Boga.

Doszło do tego, że każdej soboty po wysłuchaniu kazań Człowieczka miałem koszmarne sny. Ale dziwne było to, że im bardziej straszył ludzi, tym liczniej przychodzili go słuchać. A w czasie zbierania pieniędzy dawali mu więcej niż kiedykolwiek.

W tygodniu chodził w swojej białej sutannie i zebrał o jedzenie. Mówił, że zrobił to, co nakazał Jezus: rozdał wszystkie swoje dobra doczesne. Gdy się patrzyło na jego długą czarną brodę i świecące głęboko osadzone oczy, nie można mu było niczego odmówić. W tym czasie nie zwracał już na mnie uwagi i nigdy nie pytał: „A więc chodzisz do szkoły?”

Ludzie z Miguel Street nie mogli sobie jakoś wytłumaczyć tej zmiany. Próbowali się pocieszać twierdząc, że Człowieczek to naprawdę wariat, ale wydaje mi się, że zaczęli, podejrzewać, podobnie zresztą jak ja, że, być może, on jest zupełnie normalny.

To, co się stało później, było w gruncie rzeczy do przewidzenia.

Człowieczek oświadczył, że jest nowym Mesjaszem.

Hat powiedział: — Zobaczycie, na tym się nie skończy.

A my na to: — O co ci chodzi?

— Mam na myśli Człowieczka. On powie, że go chcą ukrzyżować.

— Nikt go nie tknie — rzekł Edward. — Teraz wszyscy się go boją.

A Hat tłumaczył: — Nie o to chodzi. On się sam ukrzyżuje. W któryś piątek pójdzie do Blue Basin, przywiąże się do krzyża i pozwoli się ukamienować.

Ktoś, zdaje mi się, że to był Errol, zachichotał. Ale stwierdziwszy, że nikogo to nie śmieszy, zamilkł.

Martwiliśmy się, ale przecież byliśmy dumni z tego, że Człowieczek pochodzi z Miguel Street.

Wkrótce zaczęły się ukazywać w sklepach, kawiarniach i na bramach niektórych domów małe, ręcznie pisane ogłoszenia o mającym nastąpić ukrzyżowaniu Człowieczka.

— Spodziewają się, że w Blue Basin zgromadzą się tłumy — oświadczył Hat, dodając z dumą: — Słyszałem, że posyłają tam policję.

Tego dnia wczesnym rankiem, zanim jeszcze otwarto sklepy i trolejbusy zaczęły kursować na Ariapita Avenue, na rogu Miguel Street zaczęli się gromadzić ludzie. Pełno było mężczyzn ubranych na czarno i jeszcze więcej kobiet ubranych na biało. Wszyscy śpiewali pieśni religijne. Było też ze dwudziestu policjantów, ale ci hymnów nie śpiewali.

Kiedy ukazał się Człowieczek — a wyglądał tego dnia bardzo mizernie i bardzo świętobliwie — kobiety z płaczem rzuciły się, żeby dotknąć jego sukni. Nad wszystkim czuwała policja, gotowa przystąpić w każdej chwili do akcji.

Potem zajechał wóz z dużym drewnianym krzyżem.

Hat, bardzo nieszczęśliwy w swoim wełnianym garniturze, rzekł:

— Słyszałem, że ten krzyż jest zrobiony z lekkiego drewna. Wcale nie jest ciężki, jest leciusieńki.

Wtedy Edward odezwał się rozdrażnionym głosem:

— A co to ma za znaczenie? Liczy się tylko serce i dusza.

— No dobrze, nic nie powiedziałem — rzekł Hat.

Kilku ludzi chciało zdjąć krzyż z wozu i dać go Człowieczkowi, ale ten zatrzymał ich ruchem ręki. W tych wczesnych godzinach rannych jego nieskazitelny akcent angielski wywierał jeszcze większe wrażenie.

— Nie tutaj — rzekł. — Niech się to sta nie w Blue Basin.

Hat był rozczarowany.

Ruszyliśmy do Blue Basin — wodospadu położonego w górach, na północny zachód od Port of Spain — i dotarliśmy tam po dwóch godzinach. Człowieczek zaczął nieść krzyż, kiedy skończyła się droga, a zaczęła kamienista ścieżka prowadząca przez góry do wodospadu.

Kilku ludzi ustawiło krzyż i przywiązało do niego Człowieczka.

— Ukamienujcie mnie, bracia — prosił. Kobiety płakały i rzucały kawałki ziemi i żwiru do jego stóp.

Człowieczek westchnął i rzekł:

— Wybacz im, Ojcze, albowiem nie wiedzą, co czynią. — Potem zawołał głośno: — Ukamienujcie mnie, bracia!

Grudka ziemi wielkości jajka uderzyła go w pierś.

Człowieczek wołał: — Kamienujcie mnie, kamienujcie mnie, kamienujcie mnie, bracia! Wybaczam wam!

— On jest naprawdę odważny — rzekł Edward.

Teraz ludzie zaczęli rzucać kamieniami w Człowieczka, celując w głowę i piersi.

Człowieczek poczuł ból i wydał się zaskoczony.

— Co jest, do jasnej cholery! — wrzasnął. — Co wy sobie myślicie?! Zdejmijcie mnie natychmiast z tego cholernego krzyża, a ja już się policzę z tym skurwysynem, który rzucił we mnie kamieniem.

Tam gdzie ja, Edward i Hat staliśmy, głos Człowieczka brzmiał jak krzyk rozpacz.

Jeszcze większy kamień uderzył w Człowieczka. Kobiety rzucały w niego tylko ziemią i żwirem.

Człowieczek wrzeszczał jeszcze donośniej:

— Dość tego chamstwa! Skończcie z tym, słyszycie mnie?! Mam dość tego błazeństwa! — Potem zaczął kląć tak głośno i tak siarczyście, że ludzie zdrętwieli ze zdziwienia.

Wreszcie zabrała go policja.

Odwieziono go do szpitala dla umysłowo chorych na obserwację, ale został zatrzymany już tam

na stałe.



B. Wordsworth

Każdego dnia o tej samej porze do domów przy Miguel Street pukali trzej żebracy. O godzinie dziesiątej zjawiał się Hindus w swoim dhoti i białej kurtce, a my wsypywaliśmy do worka, który nosił na plecach, garść ryżu. O dwunastej przychodziła stara kobieta z glinianą fajką w ustach i dostawała centa. A o drugiej po swego pensa ślepiec prowadzony przez chłopca.

Czasem przychodzili jacyś cwaniacy. Pewnego dnia zjawił się mężczyzna. Powiedział, że jest głodny. Daliśmy mu jeść. Wówczas zażądał papierosa i oświadczył, że nie odejdzie, jeśli mu go nie zapalimy. Ale więcej już się nie pokazał.

Najdziwniejszy jednak przybysz zjawiał się u nas pewnego popołudnia, o godzinie czwartej. Właśnie wróciłem ze szkoły i przebrałem się w swoje domowe ubranie. Nieznajomy rzekł do mnie:

— Czy mogę wejść na wasze podwórko, synu?

Był to mały i bardzo schludnie ubrany mężczyzna, w kapeluszu, białej koszuli i czarnych spodniach.

— A czego pan sobie życzy? — zapytałem.

— Chciałem przyjrzeć się waszym pszczołom. — odparł.

Na podwórku rosły trzy małe palmy gru -gru, na których roiło się od pszczoł.

Wbiegłem po schodach na górę i zawołałem:

— Mamo, tu jest jakiś pan, który chce przyglądać się naszym pszczołom.

Matka wyszła, spojrzała na przybysza i zapytała nieprzyjaznym tonem:

— Czego pan sobie życzy?

— Chciałem przyjrzeć się pszczołom — odparł.

Jego angielski był aż za dobry i widziałem, że moja matka nie wiedziała, co począć.

— Zostań tutaj i nie spuszczaaj go z oczu, jak będzie oglądał pszczoły — powiedziała do mnie.

— Dziękuję pani — rzekł przybysz. — Zrobiła pani dzisiaj dobry uczynek.

Mówił powoli i bardzo poprawnie. Cedził każde słowo, jakby płacił za nie gotówką.

Obserwowaliśmy pszczoły, ten człowiek i ja, chyba z godzinę, kucnąwszy blisko palm.

— Lubię patrzeć na pszczoły, synu. A ty lubisz? — zapytał.

— Nie mam na to czasu — odparłem. Pokiwał ze smutkiem głową i rzekł:

— A ja tylko patrzę. Mogę patrzeć na mrówki całymi dniami. Czyś ty kiedykolwiek oglądał mrówki? A skorpiony i stonogi? Oglądałeś je?

Zaprzeczyłem ruchem głowy.

— Proszę pana, czym się pan zajmuje? — zapytałem.

Nieznajomy podniósł się i rzekł: — Jestem poetą.

— Prawdziwym poetą?

— Największym, na świecie — odparł.

— A jak się pan nazywa? — B. Wordsworth.

— B. znaczy Bill?

— B. znaczy Black. Black Wordsworth. White Wordsworth był moim bratem [2]. Ma my jedno wspólne serce. Mogę patrzeć na mały kwiatek przypominający piękno poranka i płakać.

— A dlaczego pan płacze? — zapytałem.

— Dlaczego, chłopcze, dlaczego? Zrozumiesz, jak podrośniesz. Ty też jesteś poetą, prawda? A jak się jest poetą, to można płakać z byle jakiego powodu.

Nie mogłem śmiać się.

— Czy kochasz swoją matkę? — zapytał.

— Tak, kiedy mnie nie bije. Wyciągnął arkusik papieru z tylnej kieszeni spodni i rzekł:

— Mam tu najpiękniejszy poemat o matkach. Odsprzedam ci go za bezcen. Za cztery centy.

Wszedłem do domu i krzyknąłem:

— Mamo, czy chcesz kupić wiersz za cztery centy?

Moja matka zawołała: — Powiedz temu facetowi, żeby się natychmiast wyniósł z naszego podwórka.

— Moja matka mówi, że nie ma czterech centów — powiedziałem panu B. Wordsworthowi.

A on na to: — To jest właśnie udręka poety.

Papier powędrował z powrotem do kieszeni. Wydało mi się, że się nie bardzo tym przejął.

— To musi być dziwne tak chodzić od do mu do domu i sprzedawać wiersze — po wiedziałem.

— Tylko ci od calypso to robią. A czy dużo pan sprzedaje?

— Nikt jeszcze nic nie kupił ode mnie — odparł.

— No to dlaczego pan chodzi po ludziach? — zapytałem.

— Bo dzięki temu mogę oglądać wiele rzeczy, no i mam zawsze nadzieję, że spotkam poetów — rzekł.

— A czy pan naprawdę myśli, że ja jestem poetą?

— Nie jesteś gorszy ode mnie.

A kiedy odszedł, modliłem się, żeby wrócił.

Jakiś tydzień później wracając pewnego popołudnia ze szkoły natknąłem się na niego na rogu Miguel Street.

— Czekałem na ciebie długo — rzekł.

— A czy udało się panu coś sprzedać? — zapytałem.

Zaprzeczył ruchem głowy.

— Na moim podwórku rośnie najlepsze w całym Port of Spain drzewo mango. Teraz owoce mango są dojrzałe, czerwone, bardzo soczyste i słodkie. Czekałem tu na ciebie, żeby ci to powiedzieć i prosić, żebyś przy szedł do mnie i zjadł trochę owoców z mego drzewa mango.

Mieszkał na Alberto Street w jednopokojowym szałasie, ustawionym w samym środku działki. Podwórko tonęło w zieleni. Rosły tam: drzewo mango, drzewo kokosowe i śliwa. Ale ogród ten miał wygląd dziki, zapuszczony, jakby nie znajdował się w mieście. Z podwórka nie widać było dużych domów na ulicy.

Miał rację. Owoce mango były słodkie i soczyste. Zjadłem chyba sześć, a żółty sok spływał mi po rękach aż do łokci i po brodzie na koszulę, plamiąc ją.

Kiedy wróciłem do domu, moja matka powiedziała:

— Gdzieś ty się podziewał? Myślisz, że już jesteś mężczyzną i możesz się wałęsać, gdzie chcesz? Zaraz ci złoję skórę.

Oberwałem solidnie i wybiegłem z domu krzycząc, że już nigdy nie wrócę. Udałem się do domu B. Wordswortha. Byłem wściekły, a z nosa lała mi się krew. B. Wordsworth rzekł:

— Przestań płakać, pójdziemy się przejść. Przestałem płakać, ale nie mogłem złapać

tchu. Poszliśmy się przejść. Szliśmy w dół St Clair Avenue do Savannah, aż dotarliśmy do torów wyścigowych. B. Wordsworth powiedział:

— No a teraz położymy się na trawie i będziemy spoglądać w niebo. Pomyśl sobie, jak daleko od nas są te gwiazdy.

Zrobiłem, jak kazał, i zrozumiałem, co miał na myśli. Uświadomiłem sobie swoją nicość, ale równocześnie nigdy w życiu nie czułem się tak dobrze. Zapomniałem o swojej złości, o swoich łzach i o swoim bólu.

Kiedy powiedziałem mu, że jest mi lepiej, zaczął wymieniać nazwy gwiazd, a ja zapamiętałem szczególnie konstelację Oriona, chociaż nie bardzo wiem, dlaczego. Nawet dzisiaj odnajduję Oriona,

ale nie pamiętam już innych gwiazd.

Nagle coś zaświeciło nam w oczy. Nad nami stał policjant. Podnieśliśmy się z trawy.

— Co wy tu robicie? — zapytał.

— To samo pytanie zadawałem sobie przez ostatnie czterdzieści lat — odparł B. Wordsworth.

Pan Wordsworth i ja staliśmy się przyjaciółmi.

— Nikomu nie wolno ci mówić ani o mnie, ani o drzewie mango, ani o drzewie kokosowym i śliwie. To musi pozostać tajemnicą. Jeśli będziesz rozpowiadał, to ja się o tym dowiem, bo jestem poetą — rzekł.

Dałem mu słowo i dotrzymałem go.

Lubiłem jego mały pokoik. Nie było w nim więcej mebli niż we frontowym pokoju George'a, ale było czystiej i przyjemniej. Jednak i tu czuło się samotność.

Pewnego razu zapytałem go: — Panie Wordsworth, dlaczego nie oczyści pan swego podwórka z chwastów. Przecież chwasty zwiększają wilgoć.

A on na to:

— Posłuchaj, chłopcze, opowiem ci pewną historię. Kiedyś chłopak spotkał dziewczynę. Młodzi zakochali się w sobie. Kochali się tak bardzo, że zostali małżeństwem. Oboje byli poetami. On kochał słowa. Ona kochała trawę, kwiaty, drzewa. Żyli szczęśliwie mieszkając w jednej izbie, a pewnego dnia dziewczyna oświadczyła chłopcu: „Będziemy mieli jeszcze jednego poetę w rodzinie”. Ale ten poeta się nie narodził, bo dziewczyna zmarła, a wraz z nią, w niej samej, zmarło dziecię-poeta. Jej mąż był bardzo smutny i przyrzekł sobie, że nigdy nie dotknie ni czego w ogrodzie dziewczyny. Ogród pozostawiał więc nie tknięty i zdziczał.

Wpatrywałem się w pana Wordswortha i w miarę jak opowiadał mi swoją piękną historię, wydawało mi się, że się starzeję. Zrozumiałem, o co mu chodzi.

Robiliśmy długie spacery. Do Ogrodu Botanicznego i do Rock Gardens. Wspinaliśmy się po południu na Chancellor Hill i obserwowaliśmy, jak zapada zmierzch nad Port of Spain, jak zapalają się światełka na ulicach miasta i na statkach w porcie.

B. Wordsworth wszystko robił tak, jak gdyby robił to po raz pierwszy w życiu. Wszystko robił tak, jak gdyby odprawiał religijny rytuał.

Bywało, że pytał mnie:

— A może byśmy zjedli teraz lody?

A kiedy odpowiadałem, że chętnie, stawał się bardzo poważny i mówił:

— A jaką kawiarnię powinniśmy zaszczyścić swoją obecnością? — jakby to było takie ważne. Przez dłuższą chwilę zastanawiał się, a w końcu mówił: — Zdaje mi się, że pójdę do tego sklepu i tam dokonam zakupu.

Świat stał się naprawdę bardzo ciekawy.

Pewnego dnia, gdy byłem u niego na podwórku, rzekł do mnie:

— Chcę ci zdradzić wielką tajemnicę.

— Czy to jest naprawdę tajemnica? — zapytałem.

— W tej chwili tak — odparł. Patrzyłem na niego, a on patrzył na mnie.

W końcu rzekł:

— Niech to pozostanie między nami. Piszę poemat.

— Oh! — Byłem zawiedziony.

— Ale to nie jest byle jaki poemat. To najpiękniejszy poemat świata. Zagwizdałem z przejęcia.

— Pracowałem nad nim przeszło pięć lat — rzekł. — Skończę go za jakieś dwadzieścia dwa lata, jeśli będę pisał w tym samym tempie co teraz.

— To znaczy, że nie pisze pan dużo.

— Piszę tylko jedną linijkę na miesiąc. Ale staram się, by to był dobry wiersz — rzekł.

— A co pan napisał w ostatnim miesiącu? — zapytałem.

Spojrzał w niebo i rzekł:

— Głęboka jest przeszłość.

— To bardzo piękne — powiedziałem. A on na to:

— Dążę do tego, żeby całe doświadczenie jednego miesiąca zawrzeć w jednym jedynym wierszu poezji. I tak w ciągu dwudziestu dwu lat napiszę poemat, który przemówi do całej ludzkości.

Byłem pełen podziwu.

Kontynuowaliśmy nasze długie spacerunki. Pewnego dnia, gdy szliśmy wzdłuż nabrzeży, powiedziałem:

— Panie Wordsworth, czy jeśli wrzucę tę szpilkę do wody, będzie ona pływać?

— Dziwny jest ten świat. Wrzuć szpilkę, a zobaczymy, co się stanie.

Szpilka poszła na dno.

— A co z pańskim poematem w tym miesiącu?

Ale on nie zacytował mi już nigdy żadnego nowego wiersza.

— Jakoś leci — mówił — jakoś leci. Bywało, że siadaliśmy na nabrzeżu i obserwowaliśmy wpływające do portu statki.

Ale już nic więcej nie usłyszałem o najpiękniejszym poemacie świata.

Czułem, że pan Wordsworth się starzeje.

— Z czego pan żyje, panie Wordsworth? — zapytałem go pewnego razu.

— Masz na myśli, skąd biorę pieniądze? Kiedy przytaknąłem, on uśmiechnął się dziwnie i rzekł:

— Śpiewam calypso w sezonie.

— I to panu wystarczy na cały rok? — Tak, wystarczy.

— Ale po napisaniu tego najpiękniejszego poematu będzie pan najbogatszym człowiekiem na świecie, prawda?

Moje pytanie pozostało bez odpowiedzi.

Pewnego dnia, kiedy przyszedłem do jego małego domku, leżał w łóżku. Był taki stary i taki słaby, że chciało mi się płakać.

— Z poematem nie dzieje się dobrze — rzekł.

Nie patrzył na mnie. Patrzył przez okno na drzewo kokosowe i mówił tak, jakby mnie nie było w pokoju.

— Kiedy miałem dwadzieścia lat, czułem w sobie tyle siły. — Jego twarz prawie na moich oczach stawała się coraz starsza i co raz bardziej zmęczona. — Tak, ale to było bardzo dawno temu — dodał.

A potem — poczułem to tak mocno jak najmocniejsze uderzenie mojej matki. Widziałem to wyraźnie na jego obliczu. Każdy by to zresztą dojrzał. Na jego skurczonej twarzy malowała się śmierć.

Spojrzał na mnie; zauważył łzy w moich oczach. Usiadł.

— Chodź do mnie — poprosił, a ja podszedłem i usiadłem mu na kolanach.

Popatrzył mi w oczy i powiedział:

— A więc i ty też zauważyłeś. Zawsze wiedziałem, że masz oczy poety.

Na jego twarzy nie malował się nawet cień smutku. Nie wytrzymałem dłużej i wybuchnąłem głośnym płaczem.

Przytulił mnie do piersi i rzekł:

— Jeśli chcesz, to ci opowiem śmieszłą historię. — I uśmiechnął się do mnie, tak jakby chciał mi dodać odwagi.

Nie byłem w stanie wydobyć z siebie słowa.

On zaś rzekł: — Chcę, żebyś mi przyrzekł, jak skończę opowiadać, że pójdiesz stąd i nigdy nie wrócisz, żeby się ze mną zobaczyć. Przyrzekasz?

Kiwnąłem głową na znak zgody.

Wtedy powiedział: — No więc dobrze. Słuchaj. Czy pamiętasz tę historię o chłopcu-poecie i dziewczynie-poetce, którą ci kiedyś opowiadałem? To nie była prawdziwa historia. Wymyśliłem ją. Całe to gadanie o poezji i najpiękniejszym poemacie świata to też nie była prawda. Czy nie jest to najśmieszniejsza historia, jaką można wymyślić?

Głos mu się załamał.

Wyszedłem z jego szalasu i biegłem do domu płacząc jak poeta, oplakując wszystko, co widziałem.

Rok później szedłem wzdłuż Alberto Street i nie mogłem odnaleźć śladów po domu poety. Przecież nie mógł się rozpuścić w powietrzu. Okazało się, że rozebrano go i postawiono na jego miejscu dwupiętrowy budynek. Drzewo mango, śliwa i drzewo kokosowe zostały ścięte, a wszędzie było pełno cementu i cegieł.

Było tak, jak gdyby B. Wordsworth nigdy nie istniał.



Tchórz

Wielka Stopa był naprawdę wielki, naprawdę czarny i wszyscy na Miguel Street bali się go. I to nie tyle z powodu jego czerni czy wielkości, bo kręciło się tam niemało ludzi i większych, i czarniejszych, lecz dlatego, że był taki milczący i taki ponury. Wyglądał groźnie, jak te straszne psy, co to nigdy nie szczekają, tylko patrzą na ciebie spode łba.

Hat mawiał: — To jego milczenie to lipa, powiadam wam. On milczy, bo nie ma nic do powiedzenia, to wszystko.

A przecież ten sam Hat opowiadał ludziom na meczach i wyścigach:

— Wielka Stopa i ja jesteśmy jak dwa palce u jednej dłoni. Wychowaliśmy się razem.

W szkole ja sam mówiłem:

— Słuchaj no ty. Wielka Stopa mieszka na mojej ulicy. Dobrze się znamy. Jak mnie dotkniesz, powiem mu o tym.

W tym czasie nie zamieniłem ani jednego słowa z Wielką Stopą.

My, mieszkańcy Miguel Street, byliśmy dumni, że jest jednym z nas, bo w całym Port of Spain nie było drugiego, który by się cieszył taką sławą. To właśnie Wielka , 'Stopa rzucił pewnego dnia kamieniem w budynek Radia Trynidad i wybił szybę. Kiedy sędzia zapytał go, dlaczego to zrobił, odpowiedział po prostu:

— Żeby ich obudzić.

Jakiś litościwy człowiek zapłacił za niego grzywnę.

Potem znalazł pracę jako kierowca autobusu. Wyjechał autobusem do Carenage, jakieś pięć mil za miastem, i kazał pasażerom wysiadać i kąpać się. Stał i bacznie obserwował, żeby się nikt nie migał.

Następnie dostał pracę jako listonosz i setnie się bawił, oddając listy nie tym adresatom, co trzeba. Razu pewnego znaleźli go z workiem pełnym listów, jak siedział i moczył swoje potężne stopy w Zatoce Paria.

Mówił: — To cholerna robota łązić tak wszędzie i doręczać ludziom listy. Człowieku, sam zaczynasz się lepić jak znaczek pocztowy.

Wszyscy na Trynidadzie uważali go za pajaca, ale my mieliśmy inne zdanie.

Tacy jak Wielka Stopa przyczyniali się do złej reputacji ulicznej młodzieży. Był zawsze gotów wdać się w bójkę z inną bandą, ale wyglądał tak groźnie, że nigdy nie doszło do żadnej draki i nigdy nie poszedł do więzienia na dłużej niż na trzy miesiące.

Najbardziej Wielkiej Stopy bał się Hat. Hat mówił często:

— Nie rozumiem, dlaczego nie wykończą- go w więzieniu.

Można było przypuszczać, że przynajmniej podczas karnawału, kiedy tańczył na ulicy. Wielka Stopa będzie się śmiać i wyglądać szczęśliwie. Ale nic podobnego. Właśnie wtedy przybierał najbardziej ponury wyraz twarzy, a kiedy patrzyło się na niego, gdy grał na bębnie, można było sądzić — z jego poważnej miny — że odprawia jakiś święty obrządek.

Pewnego dnia poszliśmy całą paczką — Hat, Edward, Eddoes, Boyee, Errol i ja — do kina. Wszyscy siedzieliśmy w tym samym rzędzie; śmieliśmy się i rozmawialiśmy ze sobą podczas wyświetlania filmu. Wtem usłyszeliśmy jakiś głos z tyłu: — Zamknijcie się.

Odwróciliśmy się i zobaczyliśmy Wielką Stopę.

Leniwie, jakby od niechcienia, wyciągnął nóż z kieszeni spodni i wbił ostrze w oparcie mojego krzesła. Wzrok skierował na ekran i rzekł przerażająco słodkim głosem:

— A teraz rozmawiajcie sobie.

Przez resztę seansu nie puściliśmy pary z ust.

Potem Hat powiedział: — W ten sposób zachowują się tylko synowie policjantów. Tak, synowie policjantów i synowie księży.

Boyee zapytał:

— Myślisz, że Wielka Stopa jest synem księdza?

Na to Hat:

— Co z ciebie za głupiec. Czy księża mają dzieci?

Hat naopowiadał nam dużo różnych historii o ojcu Wielkiej Stopy. Podobno wzbudzał nie mniejszy strach niż jego syn. Czasem, gdy Boyee, Errol i ja wymienialiśmy nasze doświadczenia na temat lania, jakie dostaliśmy w domu, Boyee mówił:

— To, co my obrywamy, jest niczym w porównaniu z tym, co on dostawał od swojego starego. Dlatego tak urósł. Spotkałem nie dawno jakiegoś chłopaka z Belmont, który mi powiedział, że jak się dostaje lanie, to się porządnie rośnie.

Errol rzekł: — Jesteś skończonym durniem. Ty sobie dasz wmówić każde osielstwo. A pewnego razu Hat powiedział:

— Każdego dnia ojciec Wielkiej Stopy, z zawodu policjant, sprawiał mu solidne la nie. To było jak lekarstwo. Trzy razy dziennie po posiłkach. I trzeba było słyszeć, co Wielka Stopa mówił potem: „Gdy podrosnę i będę miał dzieci, to będę je bić i bić, ile wlezie”.

Kiedy dostawałem lanie od matki, sam bardzo często tak myślałem, ale nie zdradzałem się z tym wtedy, bo było mi wstyd.

Zapytałem Hata:

— A co z jego matką? Czy ona go też biła?

A na to Hat:

— Oh, Boże, tylko tego by brakowało. Wielka Stopa nie miał matki. Na szczęście jego ojciec nie był żonaty.

Były to czasy, kiedy w Port of Spain roiło się od Amerykanów. W mieście zaczynało być naprawdę wesoło. Dzieci bardzo szybko zorientowały się, że Amerykanie to dobroduszni ludzie, skorzy do rozdawania podarunków. Hat postanowił wykorzystać to w sposób zorganizowany. Nakłonił naszą piątkę, żebyśmy naciągali ich na gumę do żucia i czekoladę. Za każdą paczkę gumy do żucia, którą mu dostarczaliśmy, dawał nam po cencie. Czasem zarabiałem po dwanaście centów dziennie. Jeden chłopak powiedział mi później, że Hat sprzedawał gumę do żucia za sześć centów paczka, ale ja mu nie wierzyłem.

Pewnego popołudnia stojąc na ulicy przed domem zauważyłem zbliżającego się w moim kierunku żołnierza amerykańskiego. Zegar wskazywał godzinę drugą, panował straszny upał i ulica była prawie zupełnie pusta.

Amerykanin zachował się bardzo dziwnie, kiedy doskoczyłem do niego wołając:

— Daj gumę, Joe!

Burknął coś na temat zebranych dzieci i wydało mi się, że chce mnie uderzyć. Nie był specjalnie duży, ale bałem się go. Chyba był pijany. Chciał właśnie coś powiedzieć, gdy nagle odezwał się jakiś ochrypły głos:

— Ty tam, zostaw tego chłopca w spokoju. To był głos Wielkiej Stopy. Wystarczyło. Amerykanin jakby skurczył się i pokornie ruszył przed siebie, udając, że się nie śpieszy.

Wielka Stopa nawet nie spojrział na mnie.

Już nigdy nie naciągałem Amerykanów na gumę.

Ale nawet ten wypadek nie zmienił mojego stosunku do Wielkiej Stopy. Wydaje mi się, że chyba bałem się go jeszcze bardziej.

Opowiedziałem Hatowi o tym, co się stało.

— Nie wszyscy Amerykanie są tacy jak ten. Przecież nie można wyrzucać na bruk dwunastu centów dziennie — powiedział.

Ale ja nie chciałem już więcej żebrać.

— Gdyby nie Wielka Stopa, ten facet by mnie zabił — rzekłem.

Hat powiedział:

— Wiesz, to naprawdę szczęście, że ojciec Wielkiej Stopy umarł, zanim on wyrósł.

— A co się stało z jego ojcem? — zapytałem.

— Nie wiesz? — zdziwił się Hat. — Przecież to głośna historia. Tłum czarnych pobił go na śmierć w 1937 roku podczas rozruchów w kopalniach nafty. Ojciec Wielkiej Stopy udawał ważniaka tak jak Wielka Stopa teraz.

— Dlaczego nie lubisz Wielkiej Stopy, Hat? — spytałem.

— Nie mam nic przeciwko niemu.

— To dlaczego się go boisz?

— A czy ty się go nie boisz? — odpowie dział pytaniem Hat.

Przytaknąłem głową i dodałem:

— Ale ja odnoszę wrażenie, że tyś go kiedyś skrzywdził, i to cię niepokoi.

Hat rzekł: — Nic podobnego. To dziwna historia. Kiedy byliśmy mali, znęcaliśmy się nad Wielką Stopą. Był z niego' okropny chudzielec i mieliśmy straszną zgrywę goniąc go. On wcale nie umiał biegać.

Żal mi się zrobiło Wielkiej Stopy-

— A co w tym dziwnego? — zapytałem. Na to Hat:

— Posłuchaj, co było dalej. Wiesz, jak to się skończyło? W końcu on biegał lepiej niż my. W szkole robił sto jardów w ciągu 10,4 sekundy. Tak podobno było> ale wiesz, jak u nas ludzie odmierzają czas. Potem zaczęliśmy się garnać do niego, ale on nie chciał nas znać.

Odtąd zadawałem sobie pytanie, dlaczego Wielka Stopa nie mści się na Hacie i tych wszystkich, którzy znęcali się nad nim, kiedy był mały.

Ale w dalszym ciągu go nie lubiłem.

Przez, jakiś czas Wielka Stopa zajmował się stolarką i zrobił dwie czy trzy potężne szafy, które wyglądały jak sto nieszczęść. Ale udało mu się je sprzedać. Potem trudnił się murarką. Trynidadzkim rzemieślnikom obca jest idiotyczna duma zawodowa. Nikomu nie zależy na tym, żeby być specjalistą.

Razu pewnego przyszedł na nasze podwórko, by wykonać jakąś robotę.

Stałem i obserwowałem go. Nie odzywałem się do niego i on nie odzywał się do mnie. Zauważyłem, że stopą miesza zaprawę.

— To cholerna robota tak ciągle się schylać — mruczał.

Robotę wykonał zupełnie nieźle. Jak widać, jego stopa do czegoś się przydała.

Około czwartej skończył i rzekł do mnie:

— Wiesz co, chłopcze, pójdziemy się przejść. Gorąco mi, więc chodźmy trochę ochłonać.

Nie chciało mi się iść, ale czułem, że nie powinienem odmawiać.

Poszliśmy na nabrzeże i oglądaliśmy morze. Wkrótce ściemniło się. W porcie zapaliły się światła. Cały świat wydawał się taki wielki, taki ciemny i taki milczący. Ruszyliśmy z powrotem, nie mówiąc słowa.

Nagle jakiś ostry skowyt przerwał ciszę.

Bliskość, nagłość i niecodziennosc tego dźwięku spowodowała, że zamarłem na chwilę.

Ale był to tylko pies. Mały, biały, łaciaty, z dużymi, kłapiącymi uszami. Ociekał wodą i machał przyjaźnie ogonem.

Powiedziałem:

— Chodź tu — a pies otrząsnął się i zaczął skakać wokół mnie piszcząc i skowycząc.

Zapomniałem zupełnie o Wielkiej Stopie, ale kiedy zacząłem rozglądać się za nim, zobaczyłem, że ucieka co sił w nogach i jest w odległości jakichś dwudziestu jardów.

— Wszystko w porządku, nic się nie stało! — krzyknąłem.

Ale on zatrzymał się, zanim mój głos zdążył do niego dotrzeć.

— Boże mój, Boże, umieram! — zawołał.— Przeciąłem sobie stopę o jakąś butelkę.

Ja i pies pobiegliśmy w jego stronę.

Ale kiedy zbliżył się do niego pies, Wielka Stopa jakby zapomniał o krwawiącej nodze. Nagle zaczął go pieścić, tulić się do niego i śmiać się jak szalony.

Rana była dość głęboka i trzeba ją było zabandażować. Wielka Stopa nie mógł przyjść do nas, żeby skończyć robotę.

Czułem, że wiem więcej na temat Wielkiej Stopy niż ktokolwiek na naszej ulicy, i bałem się, że wiem aż tyle. Przypominały mi się różne typy z filmów gangsterskich, które wiedzą za dużo i dlatego muszą umrzeć.

Od tego czasu zawsze miałem świadomość, że Wielka Stopa zna moje myśli. Czułem, że on się boi, iż powiem, co wiem.

A chociaż ta tajemnica mnie rozsadzała, nie powiedziałem nikomu. Chciałem go jakoś uspokoić, ale nie wiedziałem, jak.

Jego obecność na naszej ulicy prześladowała mnie. Musiałem powstrzymać się ze wszystkich sił, żeby nie powiedzieć Hatowi:

— Ja się nie boję Wielkiej Stopy. Nie rozumiem, dlaczego ty się go tak bardzo boisz.

Errol, Boyee i ja siedzieliśmy na ulicy i rozmawialiśmy o wojnie. Errol rzekł:

— Gdyby tylko zrobili lorda Anthony'ego Edena premierem, to byśmy w trymiga wy kończyli Niemców.

A na to Boyee: — A skąd ty wiesz, że lord Eden byłby taki dobry?

Errol tylko machnął ręką, dając do zrozumienia, że wie więcej, niż chce powiedzieć.

Ja zaś rzekłem:

— Tak, ja zawsze uważałem, że gdyby lord Anthony Eden został premierem, to wojna bardzo szybko by się skończyła.

Boyee odezwał się:

— A ja wam mówię, że nie znacie Niemców. Oni są silni jak diabli. Jakiś chłopak powiedział mi, że Niemcy potrafią rozgryźć gwoździe zębami.

— Ale z nami są teraz Amerykanie — wtrącił Errol.

— Gdzie tam Amerykanom do Niemców — rzekł Boyee. — Ci Niemcy są tacy wielcy i silni jak Wielka Stopa. Powiadam wam, oni są jeszcze odważniejsi niż Wielka Stopa.

Errol szepnął: — Cicho, on nadchodzi.

Wielka Stopa był bardzo blisko i czułem, że słyszał naszą rozmowę. Spoglądał na mnie, a w jego wzroku było coś dziwnego.

Boyee rzekł: — Dlaczego mam być cicho? Przecież nie mówię nic złego. Powiedziałem tylko, że Niemcy są tak dzielni jak Wielka Stopa.

Przez moment widziałem błaganie w oczach Wielkiej Stopy. Odwróciłem wzrok. Kiedy Wielka Stopa oddalił się, Errol rzekł do mnie:

— Słuchaj no, zdaje mi się, że ty i Wielka Stopa coś knujecie.

Pewnego popołudnia Hat czytając gazetę poranną nagle zawołał:

— Popatrzcie, co ja tu znalazłem!

— Co się stało? — zapytaliśmy.

— Chodzi o Wielką Stopę — rzekł Hat.

— Czy mają go znowu wsadzić do pierdła? — zainteresował się Boyee.

— Nie, Wielka Stopa został bokserem — oznajmił Hat.

Zrozumiałem więcej, niż mogłem powiedzieć.

A Hat ciągnął: — Zobaczycie, zrobią z niego marmoladę. Jeśli on myśli, że boks to igraszka, to się grubo myli.

W gazetach zrobiono z tego wielką historię. A jeden z nagłówków brzmiał: „Ulicznik wkłada rękawice”.

Kiedy znów spotkałem Wielką Stopę, czułem, że mogę mu spojrzeć prosto w oczy.

Teraz nie bałem się go. Bałem się o niego.

Wielka Stopa dawał .sobie jednak doskonale radę. Jego kariera sportowa była jednym pasmem sukcesów. Zwyciężał jednego boksera za drugim, a na Miguel Street lękano się go coraz bardziej, choć wszystkich rozpieszczała duma, że jest jednym z nas.

Hat mówił: — Udaje mu się dlatego, że ma takich słabych przeciwników. Jeszcze się nie natknął na prawdziwego boksera.

Wydawało mi się, że Wielka Stopa całkiem o mnie zapomniał. Jego oczy nie szukały moich, kiedy się spotykaliśmy, no i nie zatrzymywał się, żeby ze mną porozmawiać.

Cała ulica żyła w strachu przed nim. Ja, jak wszyscy inni, też go się bałem. Wołałem zresztą, żeby wszystko pozostało jak dawniej. On zaś stawiał się coraz bardziej.

Widzieliśmy, jak biegał po Miguel Street w śmiesznych kolorowych spodenkach, nie zwracając uwagi na nikogo.

Hat obawiał się go najbardziej.

— Powinni go zamknąć — mówił.

Pewnego dnia na Trynidadzie zjawił się jakiś Anglik i w gazetach przeprowadzono z nim wywiad. Anglik ten twierdził, że jest bokserem i mistrzem Royal Air Force (RAF-u). Następnego dnia zamieszczono jego zdjęcie.

Dwa dni później w gazetach ukazało się znów zdjęcie Anglika. Tym razem był w czarnych spodenkach, w bokserkiej pozie, z rękawicami na pięściach. Nad zdjęciem widniał tekst: „Kto stanie na ringu do walki z tym człowiekiem?”

Na Trynidadzie odpowiedź mogła być tylko jedna: Na ringu stanie Wielka Stopa.

Poruszenie było ogromne, kiedy Wielka Stopa się zgodził. Pisano dużo o Miguel Street i nawet Hat był zadowolony.

— Wiem, że to głupie, ale wierzcie mi, życzę zwycięstwa Wielkiej Stopie — mówił. Chodził po całej ulicy i zakładał się ze wszystkimi, którzy mieli pieniądze do wyrzucenia.

Na spotkanie stawiliśmy się jak jeden mąż.

Hat biegał jak szalony machając dwudziestodolarowym banknotem i wrzeszczał:

— Przyjmuję zakłady, płacę dwadzieścia za pięć, że Wielka Stopa go pokona.

Założyłem się z Boyee o sześć centów, że Wielka Stopa przegra.

Prawdę mówiąc, kiedy Wielka Stopa pokazał się na ringu i zaczął odstawiać swój taniec, nie zważając na publiczność, podobał nam się.

Hat wołał: — To jest prawdziwy mężczyzna!

Nie mogłem śledzić walki. Przez cały czas patrzyłem na jedyną kobietę siedzącą na trybunach, jakąś Amerykankę czy Kanadyjkę, która gryzła ciągle orzeszki. Była jasną blondynką i jej włosy wyglądały jak słoma. Przy każdym udanym ciosie, kiedy rozlegał się okrzyk tłumu, kobieta ściągała

wargi, jakby to oma zadała cios, i z pasją zabierała się do' swoich orzeszków. Ani razu nie krzyknęła, ani razu nie zerwała się z miejsca, nawet nie drgnęła. Nienawidziłem jej.

Okrzyki były coraz częstsze i coraz głośniejsze.

Słyszałem jak Hat wołał:

— Lu go, Wielka Stopa, na co czekasz! Wykończ go, człowieku! — I po chwili ten paniczny okrzyk: — Pomścij swego ojca!

Potem Hat przestał krzyczeć. Wielka Stopa przegrał na punkty. W ciągu pięciu minut Hat wypłacił około stu dolarów.

— Będę musiał sprzedać tę łaciatą krowę, co ją kupiłem od George'a.

Edward rzekł:

— Bóg tak chciał.

— Jutro oddam ci sześć centów — powiedział do mnie Boyee.

A ja na to: — Co ty sobie myślisz, człowieku? Jutro? Może uważasz, że jestem milionerem? Masz mi natychmiast wypłacić sześć centów.

Boyee wypłacił.

Ale tłum śmiał się i śmiał.

Spojrzałem na ring.

Wielka Stopa płakał. Był jak dziecko. Im bardziej płakał, tym głośniej płakał i tym więcej w płaczu tym było bólu.

To, co tylko ja dotychczas wiedziałem o Wielkiej Stopie, stało się publiczną tajemnicą.

— Co, on płacze? — powiedział Hat i też zaczął się śmiać.

Wydawało się, że zapomniał już o krowie.

— Spójrzcie no na tego faceta! — wołał. I cała Miguel Street śmiała się z Wielkiej Stopy.

Tylko ja się nie śmiałem. Bo wiedziałem, co on czuje, chociaż ja byłem mały, a on duży. Żałowałem, że założyłem się z Boyee o te sześć centów.

Następnego dnia gazety doniosły w nagłówkach: „Bokser płacze na ringu”.

Na Trynidadzie uważano, że w Wielkiej Stopie znów odezwał się aktor, komik, który stara się rozbawić publiczność.

Tylko my wiedzieliśmy, że jest inaczej.

Wielka Stopa opuścił Miguel Street. Zgodnie z ostatnią wiadomością, jaka do nas dotarła, pracował jako robotnik w kamieniołomach w Laventille. Jakies sześć miesięcy później cały Trynidad trząsł się od skandalu. Wszyscy czuliśmy się głupio.

Okazało się, że mistrz RAF-u nigdy nie służył w RAF-ie i że nikt nie znał go jako boksera.

Hat powiedział: — Taka historia mogła się wydarzyć tylko u nas.



Pirotechnik

Cudzoziemiec przejeżdżający przez Miguel Street powiedziałby zapewne: „Co to za dziura”, bo dla niego wygląd zewnętrzny ulicy byłby wszystkim. Dla nas jednak, jej starych mieszkańców, Miguel Street była światem, w którym każdy człowiek był inny. George był głupcem, Człowieczek . wariatem, Wielka Stopa chuliganem, Hat awanturnikiem, Popo filozofem, a Morgan naszym błaznem.

Tak przynajmniej myśmy uważali. Teraz, po tylu latach, wydaje mi się, że Morgan zasługiwał na znacznie większy respekt od tego, jakim go darzyliśmy. Oczywiście to była jego wina. Morgan należał do tych ludzi, co to umyślnie starają się błaznować i są nieszczęśliwi, jeśli nikt się z nich nie śmieje. Ciągłe wymyślał jakieś głupoty w nadziei, że nas rozbawi. Tak na przykład, skoro mu się raz udało rozśmieszyć kogoś zapaleniem trzymanej w ustach zapałki od papierosa, powtarzał ten kawał bez końca.

Hat mawiał: — Ten facet to prawdziwa zaraza. Koniecznie chce być śmieszny, a my przecież dobrze wiemy, że mu wcale nie do śmiechu.

Morgan chyba często spostrzegał, że jego kawały nie biorą. Tak bardzo był nieszczęśliwy z tego powodu, że my wszyscy mieliśmy wyrzuty sumienia.

Morgan był pierwszym artystą, z którym zetknąłem się w życiu. Prawie cały swój czas — nawet wtedy, gdy błaznował — spędzał na myśleniu o pięknie. Wyrabiał sztuczne ognie. Lubił je i miał na ich temat przeróżne teorie. Dla niego były to Tańce Kosmiczne albo Taniec Życia. Cóż, kiedy na nas, mieszkańców Miguel Street, takie gadanie nie wywierało żadnego wrażenia. Morgan próbował zaimponować nam jeszcze bardziej wyrafinowanymi wyrażeniami. Ot tak, dla kawału. Jedno z tych, których nauczył mnie Morgan, figuruje jako tytuł tego opowiadania.

Ale niewiele ludzi na Trynidadzie korzystało z ogni sztucznych Morgana. Mijały wszystkie święta na wyspie — Karnawał, Wyścigi, Święto Odkrycia Wyspy, Stulecie Indiańskie — i podczas gdy cała ludność szalała od rumu, tańców i pięknych kobiet, Morgan szalał, ale ze złości.

Morgan chodził do Savannah i oglądał ognie sztuczne swoich rywali, wysłuchiwał zachwytów tłumu na widok fajerwerków rozrywających ciemność nieba. Potem wracał do domu wściekły i bił dzieci. A miał ich dziesiątkę. Żony nie bił, bo była większa od niego.

Hat mawiał: — Trzeba posłać po strażaków.

Bo przez następne dwie czy trzy godziny Morgan biegał po podwórku jak wariat i puszczał sztuczne ognie. Jego przerażona żona wołała:

— Morgan, przestań wariować! Masz dziesięcioro dzieci i żonę i nie możesz teraz umrzeć.

Morgan zaś ryczał jak byk i bił pięściami w żelazny płot.

— Wszyscy uwzięli się na mnie, wszyscy! — wołał.

Hat mówił:

— Teraz słyszymy głos prawdziwego Morgana.

Kiedy wpadał w szal, Morgan potrafił być naprawdę groźny. Wydawało mu się wtedy, że Bhakcu, mój wuj — zapalony majster klepka — chce go pobić i około godziny jedenastej ta myśl rozsadzała mu głowę. Miotał się przy płocie i krzyczał:

— Bhakcu, ty tłusta świnię, wyłaź ze swej nory i bij się jak mężczyzna!

A Bhakcu swoim cienkim, śpiewnym głosem czytał „Ramajanę” leżąc na brzuchu w łóżku.

Bhakcu był wysoki i gruby, a Morgan mały i chudy i miał najmniejsze dłonie i najcieńsze ramiona na całej Miguel Street.

Pani Bhakcu mówiła:

— Panie Morgan, dlaczego pan nie prze stanie wrzeszczeć i nie pójdzie spać.

Wtedy wtrącała się pani Morgan:

— Ty szantrapo! Lepiej zostaw mojego męża w spokoju i zajmij się swoim własnym.

Pani Bhakcu nie dawała za wygraną:

— Licz się ze słowami, bo przyjdę do ciebie i tak ci urządzę facjatę, że mnie popamiętasz!

Pani Bhakcu miała kłocowatą figurę — cztery stopy wysokości, trzy stopy szerokości. Natomiast pani Morgan miała przeszło sześć stóp wzrostu i budowę ciężarowca.

Pani Morgan mówiła:

— Dlaczego nie wyrzucisz go z domu, tego grubasa, żeby naprawił kilka samochodów, zamiast czytać i zawodzić tym swoim cieniutkim głosikiem?

Tymczasem Morgan, uspokojony, był już z nami na ulicy, śmiał się na swój dziwny sposób i mówił:

— No, jak wam się podobają te baby? — Wychylał trochę rumu z płaskiej flaszki i dodawał: — Zobaczycie jeszcze, co ja potrafię. Znacie słowa calypso?

Czy mi jest dobrze, czy mi jest źle,
Najlepsze życie na Tryni-da-dzie

W przyszłym roku król Anglii i król Ameryki będą mi płacić miliony, żebym im zrobił ognie sztuczne. To będą najpiękniejsze fajerwerki na świecie. Takich jeszcze nikt nie widział.

Hat albo ktoś inny pytał:

— Przygotujesz dla nich petardy? A na to Morgan:

— Nic nie przygotowuję. W przyszłym roku król Anglii i król Ameryki będą mi płacić miliony za moje ognie. To będą najpiękniejsze ognie sztuczne na świecie. Nikt jeszcze takich nie widział.

Tymczasem na tyłach domu pani Morgan i pani Bhakcu kontynuowały rozmowę. Pani Bhakcu mówiła:

— Tak, mój ma gruby brzuch. Ale co ma twój? Jak tak dalej pójdzie, to za rok nie będzie miał na czym siedzieć.

Nazajutrz Morgan był przytomny i trzeźwy i nie przestawał mówić o swoich eksperymentach.

Morgan przypominał raczej ptaka niż człowieka. I to nie tylko dlatego, że był chudy jak tyka, ale również dlatego, że miał szyję długą i cienką, którą potrafił obracać jak ptak. Jego oczy były lśniące i niespokojne. A kiedy mówił, wydawało się, że nie wyrzuca z siebie słów, ale zbiera dziobkiem ziarno. Chód miał szybki, ciągle podskakiwał i oglądał się za siebie, jakby się bał, że go ktoś śledzi.

Hat mówił: — Czy wy wiecie, dlaczego on taki jest? To przez żonę. On się jej strasznie boi. To jest hiszpańska kobieta. Ma ogień we krwi.

Boyee pytał: — Czy ty sądzisz, że to dlatego on chce robić ognie sztuczne?

A na to Hat: — Ludzie są dziwni. Nigdy nic nie wiadomo.

Kiedy Morgan wiedział, że ludzie na niego patrzą, robił z siebie widowisko, machał rękami i nogami jak ptak.

Żartował nawet z własnej żony i dziesięciorga własnych dzieci.

— To chyba cud, że mam tyle dzieci — mówił. — Sam nie wiem, jak to zrobiłem.

Edward pytał: — A skąd wiesz, że są twoje?

A na to Morgan śmiejąc się:

— Taki pewny to znowu nie jestem.

Hat nie lubił Morgana.

— Sam nie wiem, ale jest w tym facecie coś, czego nie mogę strawić — mówił. — Zawsze mi się zdaje, że on przesadza. Zawsze mi się zdaje, że on kłamie. On chyba sam siebie też okłamuje.

Nie sądzę, byśmy rozumieli wtedy, co Hat miał na myśli. Morgan rozrabiał trochę za wiele i trudno nam było się śmiać na jego widok, chociaż tego właśnie najbardziej pragnął.

Morgan kontynuował swoje doświadczenia z ogniami sztucznymi i od czasu do czasu dochodziły nas odgłosy eksplozji z jego domu, z którego wydobywały się kłęby kolorowego dymu. Cała ulica bawiła się tym setnie.

Ale z biegiem czasu, gdy Morgan zdał sobie sprawę, że nikt nie chce kupować jego sztucznych ogni, zaczął sobie nawet stroić z nich żarty. Nie zadowalał go już śmiech wywoływany eksplozjami w jego domu.

Hat mówił: — Kiedy człowiek zaczyna żartować z czegoś, co mu dotąd było drogie, to nie wiadomo, czy śmiać się, czy płakać. — Zdaniem Hata Morgan był po prostu stuknięty.

Chyba ze względu na Hata postanowiliśmy więcej nie śmiać się z Morgana.

Hat mawiał: — Może to go skłoni, by przestał błaznować.

Ale i to nie pomogło.

Morgan był coraz bardziej niepoczytalny i jego awantury z Bhakcu powtarzały się dwa, trzy razy w tygodniu. Coraz częściej też bił dzieci.

Wreszcie dokonał ostatniej próby, żeby nas rozśmieszyć.

Dowiedziałem się o tym od Chrisa, czwartego syna Morgana. Spotkaliśmy się w kawiarni na rogu Miguel Street.

Chris rzekł: — Czy wiesz, że nie wolno mi z tobą rozmawiać?

— Żartujesz — odparłem. — Czy to pomysł starego?

Chris przytaknął i pokazał mi kartkę papieru, na której widniał napis „Zbrodnia i kara”.

— Spójrz na to — rzekł Chris z dumą.

Spojrzałem na długą listę i przeczytałem:

Za bójki 1) W domu — pięć uderzeń

2) Na ulicy — siedem uderzeń

3) W szkole — osiem uderzeń

Chris wpatrywał się we mnie i rzekł zmartwiony:

— Niezły ubaw, co? W ten sposób nawet lanie staje się żartem.

Zgodziłem się z nim, ale chciałem wiedzieć, dlaczego nie wolno mu ze mną rozmawiać.

— Gdzie to jest napisane? — zapytałem. Chris pokazał mi.

Rozmowa z ulicznikami — cztery uderzenia

Zabawa z ulicznikami — osiem uderzeń

— Ale twój ojciec na pewno nie ma nic przeciwko temu, żebyś rozmawiał z nami. Co w tym złego?

Na to Chris: — To jeszcze nic. Musisz przyjść do nas w niedzielę. Zobaczysz, co się będzie działo.

Widziałem, że był bardzo zadowolony.

W niedzielę przyszliśmy całą szóstką. Powitał nas sam Morgan i wprowadził do pokoju. Potem zniknął. W pokoju stało wiele krzeseł i ławek, tak jakby miał się odbyć koncert. Najstarszy syn Morgana stał przy małym stoliku w kącie. Nagle chłopak zawołał:

— Wstać!

Wszyscy wstaliśmy, a w pokoju zjawił się Morgan, cały w uśmiechach.

— Dlaczego on się tak śmieje? — zapytałem Hata.

— Tak zachowują się sędziowie. Oni zawsze się uśmiechają, gdy wchodzi na salę sądową — rzekł Hat.

Najstarszy syn Morgana zawołał: — Andrew Morgan! Andrew Morgan stanął przed ojcem. Najstarszy syn czytał głośno:

— Andrew Morgan, jesteś oskarżony o to, że obrzucałeś kamieniami drzewo tamaryszku na podwórku panny Dorothy; jesteś oskarżony o to, że oberwałeś trzy guziki, by wymienić je ma kilka kamyków; jesteś oskarżony, że wdałeś się w bójkę z Dorothy Morgan; jesteś oskarżany, że ukradłeś dwa tołum i trzy ciasteczka. Czy przyznajesz się do winy?

Andrew odpowiedział: — Przyznaję się do winy.

Morgan, który gryzmolił coś na kartce papieru, podniósł wzrok.

— Czy masz coś na swoją obronę? — zapytała

— Żałuję swoich czynów — oświadczył Andrew.

Morgan na to:

— Kara będzie łączna. Dwanaście uderzeń.

Wszystkie dzieci Morgana kolejno stawały przed sądem i wysłuchiwały wydanych na siebie wyroków. Nawet najstarszy syn też został za coś ukarany. Wreszcie Morgan wstał i oświadczył: — Wyroki zostaną wykonane dziś po południu.

Uśmiechnął się do wszystkich i wyszedł z pokoju.

Dowcip ten okazał się zupełnym niewypałem.

Hat mówił: — Ludzie, przecież nie można robić wariata z siebie i z własnych dzieci i jeszcze zapraszać na to widowisko całą ulicę. Przecież to nie ma sensu.

Mnie zaś wydawało się, że w tym dowcipie jest coś strasznego i przerażającego.

Kiedy Morgan cały w uśmiechach wyszedł na ulicę tego wieczoru, spotkał go zawód. Nikt się nie śmiał, nikt nie podbiegł do niego, żeby go poklepać po plecach i powiedzieć: „Ale z tego Morgana prawdziwy kawalarz. Czy wy wiecie, jakie lanie spuścił ostatnio swoim dzieciom?” Nikt nie powiedział nic takiego. Nikt nie odezwał się nawet do niego.

Nietrudno było zauważyć, jak to nim wstrząsnęło.

Morgan upił się tego wieczoru i chciał bić się z każdym. Nawet ze mną.

Pani Morgan zamknęła furtkę na kłódkę, tak że Morgan mógł biegać tylko po podwórku. Był rozjuszony jak byk i z rykiem rzucał się na płot. Ciągłe powtarzał:

— Co, myślicie, że nie jestem mężczyzną? Mój ojciec miał ośmioro dzieci. Ja jestem nie gorszy od mego. Ja mam dziesięcioro. Jestem więcej wart niż wy wszyscy razem.

Hat mówił: — Zaraz zaczniesz płakać, a potem pójdzie spać.

Ja zaś leżąc tego wieczoru w łóżku rozmyślałem długo o Morganie, litując się nad nim z powodu tego diabła, który w nim siedział. Wydawało mi się, że odkryłem przyczynę całego zła. W wyobraźni widziałem siedzącego w Morganie czerwonego, śmiejącego się diabła, który go kłuje widłami.

Pani Morgan wyjechała z dziećmi na wieś.

Morgan nie wychodził już na, ulicę i nie szukał naszego towarzystwa. Był teraz zajęty swoimi doświadczeniami. Doszło do kilku niewielkich eksplozji, przy których było dużo dymu.

Ale poza tym na naszym końcu Miguel Street panował spokój.

Zastanawiałem się, co też Morgan robi i o czym myśli w swej samotni.

Następnej niedzieli okropnie padało i wszyscy wcześniej poszli spać. Ulica była mokra i lśniąca, a o jedenastej nie słychać było nic prócz dźwięku kropel deszczu uderzających o blaszane dachy.

Nagle jakiś straszny krzyk rozległ się na ulicy i wszyscy zerwali się z łóżek.

Słyszałem, jak otwierają się okna i jak ludzie pytają:

— Co się stało? Co się stało?

— To Morgan. To Morgan. Coś się dzieje u Morgana.

Byłem już na ulicy i stałem przed domem Morgana. Nigdy nie spałem w pidżamie. Tak dobrze mi się jeszcze nie wiodło.

Pierwsze, co ujrzałem w ciemnościach podwórka, to kobieca postać uciekająca z domu tylną furtką, którą wychodziła na rynsztok między Miguel Street i Alfonso Street.

Padał już mniejszy deszcz i wkrótce obok mnie stał tłum ludzi.

Wszystko to było trochę tajemnicze — ten krzyk, ta uciekająca kobieta, ten dom w ciemnościach.

Nagle usłyszeliśmy głos pani Morgan:

— Teresa Blake, Teresa Blake, co ty wyprawiasz z moim chłopem? — Był to krzyk pełen bólu i rozpacz.

Obok mnie stała pani Bhakcu.

— Ja już od dawna wiedziałam o tej Teresie, ale nic nie mówiłam.

Na to Bhakcu: — Tak, ty wiesz wszystko, tak jak twoja matka.

W domu zapaliło się światło, potem zgasło. Słyszeliśmy, jak pani Morgan mówiła:

— Dlaczego się tak boisz światła? Czy nie jesteś mężczyzną? Zapal światło, pokaż, jaki z ciebie chłop.

Światło znów się zapaliło i znów zgasło.

Słyszeliśmy głos Morgana, ale był tak cichy, że nie mogliśmy zrozumieć słów.

Pani Morgan mówiła: — Tak, bohaterze.

I światło znów się zapaliło. Morgan coś tam mamrotał.

Pani Morgan mówiła: — Nie, bohaterze.

Światło zgasło, potem znów się zapaliło.

Pani Morgan mówiła:

— Niech się pali. Chodź, pokażemy wielkiego bohatera całej ulicy. Chodź, niech widzą, co z ciebie za chłop. Jesteś prawdziwym mężczyzną. Mnie zrobiłeś dziesięć bachorów i chcesz jeszcze zrobić innym.

Słyszeliśmy nieszczęśliwy, cieniutki głosik Morgana.

— Czego się boisz? — mówiła pani Morgan. — Czy już przestałeś być pośmiewiskiem całej ulicy? Chodź, niech zobaczą, co z ciebie za błazen, co z ciebie za chłop. Niech zobaczą, jak wygląda prawdziwy mężczyzna.

Morgan skowyczał i próbował coś mówić.

Pani Morgan powiedziała: — Jeśli zgasisz światło, to połamię ci tego małego... jak zapałkę.

Teraz otworzyły się drzwi frontowe i przed nami ukazał się następujący widok:

Pani Morgan trzymała Morgana za rękę. Morgan był nagi i tak chudy, że przypominał chłopca o twarzy starca. Nie patrzył na nas, tylko na twarz pani Morgan i wił się, próbując wyrwać się jej i uciec. Pani Morgan była jednak silną kobietą.

Ona też nie patrzyła na nas, tylko na swego męża.

— Oto macie mojego chłopca. Za takiego wyszłam i na takiego harowałam przez całe życie. — I wybuchnęła śmiechem, złym, gorzkim rechotem.

Spoglądała na nas przez chwilę i rzekła:

— Możecie się też śmiać. Jemu wszystko jedno. On zawsze chciał, żeby się ludzie z niego śmieli.

Widok był tak komiczny — ten chudy człeczyzna trzymany za rękę przez potężne babsko — że wybuchnęliśmy śmiechem, zrazu łagodnym, potem coraz potężniejszym.

Tym razem ludzie naprawdę śmieli się z Morgana. Po raz pierwszy od chwili, gdy zamieszkał na Miguel Street.

Od tego wieczora Morgan był zupełnie załamany człowiekiem.

Przez następny dzień czekaliśmy, żeby wyszedł na ulicę i żebyśmy mogli mu pogratulować kawału. Ale on się nie pokazał.

Hat rzekł:

— Kiedy byłem mały, moja matka mówiła mi: „Jak się będziesz śmiać cały dzień, to zapłaczesz wieczorem”.

Tej nocy znów odgłosy syren i krzyki przerwały mi sen.

Wyjrzałem przez okno i zobaczyłem na niebie łunę i unoszący się czerwony dym.

Dom Morgana płonął.

I trzeba było widzieć, co to był za pożar. Reporterzy z gazet włązili na dachy okolicznych domów, żeby robić zdjęcia, a zachowywali się tak, że ludzie patrzyli raczej na nich niż na płonący dom. Następnego dnia na pierwszej stronie gazety, w górnym prawym rogu, opublikowano zdjęcie, na którym znalazłem się razem z tłumem gapiów.

Ach, co to był za pożar! Najpiękniejszy pożar od roku 1933, kiedy to w Port of Spain spalił się Urząd Podatkowy, co zostało upamiętnione calypso:

Ach, to był widok godzin muzy,

Gdy od ognia Urząd Podatkowy rozpadł się w gruzy.

Ale swoje piękno pożar domu zawdzięczał wybuchom ogni sztucznych. Teraz nareszcie wszyscy mogli się przekonać, jaki z Morgana był mistrz. Ludzie, którzy naigrawali się z niego, poczuli się głupio. Od tamtego czasu byłem w wielu krajach, ale nigdzie nie widziałem takiego koncertu ogni sztucznych jak wtedy, podczas pożaru domu Morgana.

Ale Morgan nie robił już więcej ogni sztucznych.

Hat powiedział:

— Kiedy byłem mały, moja matka mawiała: „Gdy człowiek czegoś bardzo chce, to w końcu dopnie swego, ale jak już osiągnie cel, to dopiero się przekona, że nie było o co się bić”.

Morgan zrealizował oba swe marzenia. Ludzie śmieli się i ciągle jeszcze śmieją się z niego. No i urządził najpiękniejsze widowisko ogni sztucznych na świecie. Ale jak mówił Hat, kiedy człowiek osiąga to, o co tak bardzo się bił, nie sprawia mu to już żadnej przyjemności.

Jak przewidywaliśmy, sprawą zajął się sąd. Morgan został oskarżony o świadome podpalenie. Gazety miały wielką gratkę, oczywiście w ramach obowiązującego ustawodawstwa chroniącego obywateli przed zniesławieniem. Do tej pory pamiętam następujący nagłówek: „Pirotechnik oskarżony o piromanię”.

Byłem bardzo zadowolony, kiedy Morgan został uniewinniony.

Mówiono, że wyjechał do Wenezueli. Mówiono, że zwariował. Mówiono, że został dżokejem w Kolumbii. Mówiono o nim różne rzeczy, ale ludzie na Miguel Street mieli zawsze bujną wyobraźnię.



Tytus Hoyt, I. A.

Ten człowiek był predestynowany do tego, by stać się aktywnym i poważnym członkiem prowincjonalnego towarzystwa krajoznawczego. Jakiś zły los rzucił go na bruk wielkiego miasta. Był to urodzony przewodnik, filozof i przyjaciel każdego, kto chciał zatrzymać się i słuchać.

Tytus Hoyt był pierwszym człowiekiem, którego spotkałem w Port of Spain. Było to rok czy dwa przed wybuchem wojny.

Moja matka przywiozła mnie z Chaguanas po śmierci ojca. Przyjechaliśmy pociągiem, a potem wsiedliśmy do autobusu, który nas przywiózł na Miguel Street. Po raz pierwszy w życiu jechałem autobusem miejskim.

— Mama — powiedziałem — zobacz, za pomnieli zadzwonić.

A moja matka na to:

— Jeśli tu będziesz dzwonić, to cię wy rzuca z autobusu i pójdziesz do domu na piechotę.

— Mama, zobacz, morze — powiedziałem po chwili.

Ludzie w autobusie zaczęli się śmiać.

Moja matka była naprawdę wściekła. Nazajutrz rano rzekła do mnie:

— Masz tutaj cztery centy. Idź do sklepu na rogu Miguel Street i kup dwie bułki po cencie i masła za dwa centy. I wracaj zaraz do domu.

Znalazłem sklep i kupiłem bułki i masło, takie żółte, solone.

Ale nie mogłem trafić z powrotem do domu.

Wędrowałem po kilku Miguel Street, ale na żadnej nie było mojego domu. Po długiej wędrówce zacząłem płakać. Usiadłem na brzegu chodnika i zanurzyłem buty w rynsztoku.

Jakieś małe białe dziewczynki bawiły się na podwórku za moimi plecami. Spoglądałem na nie wciąż płacząc. Jedna z nich, w czerwonej sukience, podeszła do mnie i zapytała:

— Dlaczego płaczesz?

— Zabłądziłem.

Położyła mi rękę na ramieniu i powiedziała:

— Nie płacz. Wiesz, gdzie mieszkasz? Wyciągnąłem z kieszeni koszuli kawałek papieru z moim adresem i pokazałem jej. Wtedy zjawił się jakiś pan w białej koszuli i białych szortach. Wyglądał bardzo śmiesznie.

— Dlaczego on płacze? — zapytał gru bym, ale przyjaznym głosem.

Dziewczynka powiedziała mu.

— No to zaprowadzę go do domu — rzekł. Poprosiłem dziewczynkę, żeby też poszła.

— Lepiej będzie, jeśli pójdziesz z nami i wytłumaczysz wszystko jego matce — stwierdził mężczyzna.

— Dobrze, panie Tytusie Hoyt — zgodziła się dziewczynka.

To była pierwsza rzecz dotycząca Tytusa Hoyta, która mnie zaintrygowała. Dziewczynka zwracała się do niego mówiąc: panie Tytusie Hoyt. Nie mówiła panie Tytusie ani panie Hoyt, tylko panie Tytusie Hoyt. Wkrótce przekonałem się, że wszyscy zwracali się do niego w ten sposób.

Kiedy dotarliśmy do domu, dziewczynka powiedziała matce, co się stało, i moja matka bardzo wstydziła się za mnie.

Gdy dziewczynka poszła, pan Tytus Hoyt spojrział na mnie i rzekł: — On wygląda na inteligentnego chłopaka.

Moja matka dodała z ironią: — Jak jego ojciec.

— A teraz, młody człowieku, posłuchaj, co powiem — rzekł. — Jeśli półtora śledzia kosztuje

półtora pensa, to ile kosztują trzy śledzie?

Nawet my, z prowincji, z Chaguanas, wiedzieliśmy, jak odpowiedzieć na takie pytanie. Bez wahania powiedziałem:

— Trzy pensy.

Tytus Hoyt patrzył na mnie z podziwem.

— Proszę pani, ten chłopak jest wyjątkowo inteligentny. Musi parni dbać o niego, po słać go do dobrej szkoły, porządnie karmić, żeby mógł się dobrze uczyć.

Matka nie powiedziała nic.

— Moje uszanowanie — rzekł Tytus Hoyt odchodząc.

To była druga ciekawa rzecz, jaką zauważyłem u niego.

Dostałem porządne lanie za to, że zmoczyłem buty w rynsztoku, ale matka powiedziała, że mnie nie zbije za to, że zablądziłem.

Przez resztę dnia biegałem po podwórku wykrzykując:

— Moje uszanowanie! Moje uszanowanie! — do melodii, którą sam ułożyłem.

Tego wieczoru Tytus Hoyt znów pojawił się w naszym mieszkaniu. Wydawało mi się, że matka nie miała nic przeciwko temu. Tytus Hoyt zapytał:

— Umiesz czytać? Powiedziałem, że tak.

— A pisać? Powiedziałem, że tak.

— No to weź kawałek papieru i ołówek i napisz, co ci podyktuję.

— Papier i ołówek? — powtórzyłem. Tytus Hoyt potwierdził kiwnięciem głowy. Pobiegłem do kuchni i zawołałem:

— Mamo, masz papier i ołówek? A moja matka na to:

— Co ty sobie myślisz, czy ja jestem sklepową?

Tytus Hoyt zawołał:

— To dla mnie, proszę pani!

Matce wyrwało się pełne rozczarowania:

— Oh! W dolnej szufladzie biurka leży moja torba. Znajdziesz w niej ołówek.

A z półki kuchennej zdjęła i podała mi notes.

Pan Tytus Hoyt rzekł:

— A teraz, młody człowieku, weź się do pisania. W górnym prawym rogu napisz adres tego domu, a pod spodem datę. — A potem zapytał: — Czy wiesz, do kogo piszemy ten list?

Ruchem głowy dałem do zrozumienia, że nie wiem.

— A więc, mój chłopcze, piszemy do „Guardiana”.

Zdziwiłem się:

— Co? Do „Trynidad Guardian”? Do tej gazety? A po co ja mam pisać do gazety? Przecież tylko dorośli piszą do gazet.

— Właśnie dlatego ty piszesz — rzekł Tytus Hoyt z uśmiechem. — Zrobimy im niespodziankę.

— A o czym ja do nich napiszę? — zapytałem.

— Zaraz zobaczysz. Pisz — rzekł. — *Do wydawcy „Trynidad Guardian”. Szanowny panie, jestem dzieckiem i mam osiem lat... Ile masz lat? Zresztą to nie ma znaczenia... i wczoraj moja matka posłała mnie na miasto po zakupy. Była to, panie redaktorze, moja pierwsza peregrynacja... p-e-r-e-g-r-y-n-a-c-j-a... po tej metropolii i na nieszczęście zboczyłem z drogi, którą mi wyznaczyła moja matka.*

— Mój Boże, panie Tytusie Hoyt, gdzie pan się nauczył tych pięknych, mądrych słów? Czy pan jest pewny, że to się tak pisze? — zapytałem.

Tytus Hoyt tylko uśmiechnął się:

— Całe popołudnie spędziłem redagując ten list.

Pisałem dalej: ... *byłem zrozpaczony, ale uratował mnie pan Tytus Hoyt z Miguel Street. To*

dowodzi, panie redaktorze, że ludzka dobroć nie całkiem jeszcze znikła z powierzchni ziemi.

„Guardian” nigdy nie wydrukował tego listu.

Kiedy spotkałem następnym razem pana Tytusa Hoyta, on rzekł:

— Nie ma się co przejmować. Przyjdzie jeszcze taki dzień, mój chłopcze, że z uwagą będą śledzić każde moje słowo. Cierpliwości.

Zanim rozstaliśmy się, zapytał: — Pijesz mleko?

Namówił moją matkę, żeby mi codziennie dawała pół litra mleka. Mleko podobno dobrze działa na mózg.

Jedną z rzeczy, których najbardziej żałuję w moim życiu, jest to, że nie spełniłem marzeń Tytusa Hoyta o mojej akademickiej karierze.

Zawsze wspominać będę ze wzruszeniem, jak się mną interesował. Czasem jego poglądy nie były zgodne z poglądami mojej matki. Weźmy na przykład sprawę pajęczyn.

Boyee, z którym zaprzyjaźniłem się bardzo szybko, uczył mnie jeździć na rowerze. Przy tej okazji doszło do kraksy i rozciąłem sobie łydkę.

Moja matka usiłowała leczyć mnie, robiąc okłady z pajęczyny namoczonej w rumie. Tytus Hoyt był przerażony.

— Pani nie wie, co pani robi! — wołał.

A moja matka na to:

— Panie Tytusie Hoyt, bardzo pana proszę, niech się pan nie miesza do nie swoich spraw. Kiedy będzie pan miał własne dziecko, chętnie wysłucham, co pan ma do powiedzenia.

Ale Tytus Hoyt nie lubił żartów:

— Niech pani zaprowadzi chłopca do lekarza — rzekł.

Obserwowałem, jak się kłócili, i było mi wszystko jedno.

W końcu poszliśmy do lekarza.

Teraz Tytus Hoyt ukazał się w nowej roli.

— Przez ostatnie dwa, trzy miesiące chodziłem na kursy Czerwonego Krzyża. Wyręcę panią i zrobię chłopcu opatrunek.

Byłem przerażony.

Przez jakiś miesiąc ludzie na Miguel Street orientowali się po moich wrzaskach, że wybiła godzina dziewiąta rano. Tytus Hoyt kochał swoją robotę.

To wszystko daje wam pewne wyobrażenie, jaki to był naprawdę człowiek.

Nie należy się więc dziwić temu, co nastąpiło później.

Tytus Hoyt wziął się do nauczania.

Jak wszystkie wielkie przedsięwzięcia i to zaczęło się od drobiazgów.

Na początku postanowił zdać magisterski egzamin jako ekstern na wydziale nauk humanistycznych Uniwersytetu Londyńskiego. Zaczął uczyć się łaciny i w miarę, jak uczył siebie, uczył i nas.

Łapał trzech lub czterech chłopaków i uczył nas na werandzie swego domu. Na podwórku było pełno kur i zaduch panował okropny.

Etap łaciny nie trwał długo. Gdy doszliśmy do czwartej deklinacji, Boyee, Errol i ja zaczęliśmy zadawać pytania. A były to pytania, których Tytus Hoyt nie lubił.

Boyee mówił: — Wydaje mi się, że pan to wszystko zmyśla.

A na to Tytus Hoyt: — Powiadam wam, nic nie zmyślam. Proszę, tu napisane jest czarno na białym.

Errol mówił: — Mnie się zdaje, że ktoś to wszystko wymyślił, żeby inni ludzie mieli czego się uczyć.

Tytus Hoyt pytał mnie: — Jaki jest *accusativus* liczby pojedynczej od *bellum*?

Kiedyś, chcąc mu zrobić kawał, odparłem: — Panie Tytusie Hoyt, gdyby pan był w moim wieku i ktoś zadałby panu takie pytanie, to jak by się pan czuł? A potem Boyee zapytał go:

— Panie Tytusie Hoyt, co to znaczy *abla tivus*?

I tak skończyły się lekcje łaciny.

Mogliśmy się śmiać z Tytusa Hoyt, ale nie można było zaprzeczyć, że jest to bardzo poważny człowiek.

Hat mawiał: — Ten człowiek to myśliciel.

Tytus Hoyt myślał o wielu sprawach i czasem przychodziły mu do głowy groźne myśli.

Hat mówił: — Powiadam wam, mnie się wydaje, że Tytus Hoyt nie lubi Boga.

Tytus Hoyt mawiał:

— Liczy się naprawdę tylko wiara. Słuchajcie, chłopcy, wierzę, że gdybym wyciągnął z kieszeni latarkę od roweru, ustawił ją w jakimś miejscu i bardzo się do niej modlił, to moje życzenie się spełni. I taka jest moja wiara.

Powiedziawszy to wstawał i odchodził, nie zapominając rzucić na pożegnanie: „Moje uszanowanie”.

Miał zwyczaj zjawiania się przy nas nie wiadomo skąd i mówienia:

— Cicho, chłopcy. Właśnie myślałem. Po słuchajcie, o czym myślałem.

Pewnego dnia przyszedł i rzekł:

— Myślałem, jak można zakończyć tę wojnę. Gdyby tak Europa mogła pogрузić się na pięć minut w wodzie, to wszyscy Niemcy by się utopili.

— Ale Anglicy by się też utopili — wtrącił Eddoas.

Tytus Hoyt nie mógł temu zaprzeczyć i zasmucił się.

— Już nie wiem, co mam myśleć — rzekł. — Już nie wiem, co mam myśleć.

I odszedł, mruczając coś do siebie i kiwając głową.

Pewnego dnia podjechał do nas na rowerze. Właśnie rozmawialiśmy o meczu krykietowym Barbados-Trynidad. Sprawy wzięły zły obrót dla Trynidadu i byliśmy zmartwieni.

Tytus Hoyt zbliżył się i rzekł:

— Cicho, chłopcy. Właśnie myślałem. Słuchajcie: czy nie uderzyło was to, że tylko my istniejemy, a wszystko inne jest zmyślane? Że tylko ja myślę i że to ja was zmyśliłem, że wojna jest zmyślona i wszystkie domy, i wszystkie statki w porcie zmyślone? Nigdy nie przyszło wam to do głowy?

Jego zainteresowanie nauczaniem nie wygasło.

Często widywaliśmy go, jak spacerował z grubymi książkami pod pachą. Były to książki pedagogiczne.

Tytus Hoyt mówił: — Ja jestem naukowcem. Kłopot z Trynidadem polega na tym, że tu nauczyciele nie znają nauki nauczania.

I dodawał: — To jest największy problem na świecie. Uczyć młodych ludzi, jak mają myśleć. Ludzie, czy wy możecie to sobie wyobrazić?

Wkrótce stało się rzeczą jasną, że niezależnie od tego, co myśmy na ten temat myśleli, Tytus Hoyt postanowił zająć się kształceniem naszego¹ intelektu.

Utworzył Literacki i Społeczny Klub Młodzieży z Miguel Street i przystąpił do Stowarzyszenia Młodzieży Trynidadu i Tobago.

Zbieraliśmy się w jego domu, gdzie było zawsze dużo jedzenia i napojów. Ściany pokrywały mądre sentencje. Niektóre wypisane na maszynie, niektóre wycięte z gazet i przyklepione do małych tabliczek.

Zauważyłem również duży arkusz z napisem: „Rozkład dnia”.

Dowiedziałem się z niego, że Tytus Hoyt wstawał o piątej trzydzieści, że do szóstej czytał greckich filozofów, potem piętnaście minut kąpał się i gimnastykował, następnie pięć minut przeznaczał na lekturę gazety, a następne dziesięć na zjedzenie śniadania. Wszystko to wywarło na mnie ogromne wrażenie.

Tytus Hoyt mawiał: — Jeśli będę trzymał się rozkładu dnia, to za jakieś trzy, cztery lata stanę się wykształconym człowiekiem.

Klub na Miguel Street nie działał długo, i to z winy Tytusa Hoyta.

Żaden rozsądny człowiek nie powierzyłby Boyee’owi funkcji sekretarza. Boyee zapisywał w protokołach tylko nazwiska obecnych.

Przy tej okazji okazało się, że Literacki i Społeczny Klub Młodzieży z Miguel Street jest niczym innym jak zgromadzeniem, krytyków filmowych.

Tytus Hoyt powiedział:

— Nie, moi drodzy. Nie mogę dopuścić do tego, żebyście przez cały czas rozmawiali tylko o filmach. Muszę postarać się dla was o trochę materiałów propagandowych.

Boyee rzekł:

— Panie Tytusie Hoyt, po co nam propaganda?! To jest niemiecki wynalazek. Tytus Hoyt uśmiechał się:

— To nie jest właściwe znaczenie tego słowa. To ja używam tego słowa w jego właściwym znaczeniu. Na tym właśnie polega wykształcenie, mój chłopcze. Żeby używać słów wedle ich właściwego znaczenia.

Wydelegowaliśmy Boyeego na doroczną konferencję Stowarzyszenia Młodzieży. Po powrocie rzekł:

— Co to za cholerne świństwo ta cała ich konferencja. Tam byli tylko sami starzy.

Siła atrakcyjna Coca-Coli, ciastek i lodów zaczęła słabnąć. Niektórzy z nas przestali przychodzić na zebrania.

Tytus Hoyt zdobył się na jeszcze jeden, ostatni wysiłek, żeby ratować nasz klub.

Pewnego dnia oświadczył:

— W najbliższą niedzielę nasz klub wybiera się na wycieczkę do Fort George.

Rozległy się głosy dezaprobaty.

— Jak widzę, nic nie obchodzi was własny kraj — powiedział Tytus Hoyt. — Ilu z was wie coś o Fort George? Nikt. Ale to jest historia, wasza historia, i powinniście ją poznać. Musicie pamiętać, że chłopcy i dziewczęta dnia dzisiejszego to mężczyźni i kobiety dnia jutrzejszego. Starożytni Rzymianie mówili: *Mens sana in corpore sano*. Myślę, że jednak zrobimy tę wycieczkę do Fort George.

Nikt jednak nie chciał tam iść. Tytus Hoyt rzekł:

— Na samym szczycie Fort George jest strumyk, chłodny i czysty jak kryształ. Będziecie się mogli tam wykąpać.

Takiej perspektywie nikt z nas nie mógł się oprzeć.

Następnej niedzieli cała nasza grupa wsiadła do autobusu, który miał nas zawieźć do Mucurapoi.

Kiedy podszedł konduktor, żeby zainkasować za przejazd, Tytus Hoyt powiedział: „Proszę zgłosić się później”. Zapłacił konduktorowi dopiero wtedy, gdy opuszczaliśmy autobus. Wszystkie bilety kosztowałyby nas ze dwa szylingi, ale Tytus Hoyt dał konduktorowi szylinga mówiąc: „Nie trzeba biletów”. Konduktor i Hoyt uśmiechnęli się do siebie.

Droga na szczyt była długa i piaszczysta.

Tytus Hoyt powiedział: — Fort ten został wzniesiony w czasach, gdy Francuzi planowali inwazję na Trynidad.

Nie posiadaliśmy się z podziwu. Nigdy nie przypuszczaliśmy, że Trynidad traktowany był aż tak

serio.

A Tytus Hoyt prawił dalej: — Było to w roku 1803, kiedy walczyliśmy z Napoleonem.

Po jednej stronie ścieżki stały jakieś stare zardzewiałe armaty, przy których spoczywały stosy zardzewiałych kul.

— Czy Francuzi dokonali inwazji na Trynidad? — zapytałem.

Tytus Hoyt pokiwał głową, zawiedziony.

— Nie, nie zaatakowali. Ale my byliśmy gotowi. Czekają ich gorące przyjęcie.

Boyee rzekł:

— Czy pan jest pewny, że ten strumyk, o którym pan nam mówił, jest naprawdę na szczycie?

— Myślisz, że ja kłamię? — odparł Tytus Hoyt.

— Nic nie mówiłem — rzekł Boyee.

Szliśmy zasapani i spoceni. Boyee zdjął buty.

Errol rzekł: — Jeśli tam na górze nie ma strumyka, to ktoś oberwie.

Dotarliśmy wreszcie na szczyt, obejrzelśmy cmentarz, gdzie leżeli pochowani żołnierze brytyjscy zmarli dawno temu, popatrzyliśmy przez teleskop na miasto Port of Spain, rozpościerające się pod nami. Widzieliśmy ludzi spacerujących po ulicach.

Potem poszliśmy szukać strumienia.

Ale go nie znaleźliśmy.

Tytus Hoyt rzekł: — Strumień musi gdzieś być. Kiedy byłem mały, sani się w nim kąpałem.

— I co się z nim stało? Wysechł? — zapytał Boyee.

— Chyba tak — odparł Hoyt.

Boyee naprawdę się wściekł i nie można mieć o to do niego pretensji. Namęczyliśmy się idąc tą drogą na szczyt, było nam strasznie gorąco, no i pić się chciało.

Boyee powiedział Tytusowi Hoyt kilka bardzo brzydkich słów.

— Nie zapominaj, Boyee, że jesteś sekretarzem Literackiego i Społecznego Klubu — rzekł Hoyt.

— Nie zapominaj, że uczestniczyłeś jako nasz delegat w zebraniu Stowarzyszenia Młodzieży. Nie zapominaj o tym wszystkim.

Boyee krzyknął: — Idź do diabła!

Zatkało nas.

I tak zakończył się żywot naszego klubu.

Niedługo po tych wypadkach Tytus Hoyt zdał egzamin magisterski i założył własną szkołę. W ogrodzie ustawił tabliczkę, na której napisał:

TYTUS HOYT, I. A. (LONDYN)
GWARANTUJE UKOŃCZENIE SZKOŁY
WEDLE WYMOGÓW CAMBRIDGE

Kiedyś „Guardian” wpadł na wspianiały pomysł. Stworzono Fundusz Pomocy dla Ubogich na Gwiazdkę. Impreza cieszyła się dużą popularnością i po kilku latach powstał stały Fundusz Pomocy Najbiedniejszym. Na początku listopada „Guardian” ogłaszał, ile pieniędzy chce zebrać, i wszyscy przed Bożym Narodzeniem śledzili z zainteresowaniem, jak postępuje zbiórka. Wiadomości na ten temat ukazywały się zawsze na pierwszej stronie i każdy ofiarodawca mógł znaleźć swoje nazwisko w gazecie.

Pewnego roku w połowie grudnia, kiedy napięcie dochodziło do zenitu, Miguel Street znalazła się w centrum zainteresowania.

Hat pokazał nam gazetę, w której przeczytaliśmy:

„Idźcie za przykładem tego malucha. Najbardziej wzruszająca reakcja na nasz apel o świąteczną radość dla biednych i nieszczęśliwych przyszła w formie listu od pana Tytusa Hoyta, I. A., dyrektora szkoły na Miguel Street w Port of Spain. List ten pan Hoyt otrzymał od jednego ze swoich uczniów; nie życzy on sobie, by ujawniono jego nazwisko. Otrzymaliśmy zgodę na wydrukowanie pełnego tekstu tego listu od pana Hoyta.

Drogi panie Hoyt, mam zaledwie osiem lat i jak pan zapewne wie, jestem członkiem Ligi Maluchów «Guardiana». Czytam ciocią Juanitę w każdą niedzielę. Pan, panie Hoyt, zawsze wychwalał cnotę miłosierdzia i często opowiadał nam o wspaniałej działalności Funduszu Pomocy Najbiedniejszym, który stara się, by świąteczna radość zawitała pod dachy nieszczęśliwych. Ja również postanowiłem odpowiedzieć na pański apel. Mam bardzo mało pieniędzy, tylko sześć centów, ale ofiaruję je panu i proszę, żeby je pan przesłał do «Guardiana» na rzecz Funduszu Pomocy Najbiedniejszym. Niech i one opromienia radością święta nieszczęśliwych. Wiem, że to niewiele. Ale, jak ta przysłowiowa wdowa, chcę i ja dołożyć swój grosz. Pozostaję szacunkiem, drogi panie Hoyt, jeden z pańskich uczniów”.

Pod spodem była duża fotografia Tytusa Hoyta z uśmiechem od ucha do ucha.



Instykt macierzyński

Laura jest chyba swoistą rekordzistką świata.

Laura ma ośmioro dzieci.

Ten fakt sam w sobie nie powinien dziwić.

Ale na ośmioro dzieci przypada siedmiu ojców.

Czy znacie podobny przypadek?

Właśnie Laura udzieliła mi pierwszej lekcji biologii.

Mieszkała w bliskim sąsiedztwie i miałem okazję przyglądać się jej z bliska.

Przez szereg miesięcy jej brzuch pęczniał.

Potem znikła na jakiś krótki czas.

Potem miała zupełnie płaski brzuch.

A po kilku miesiącach brzuch znów zaczynał rosnąć jak na drożdżach.

Dla mnie był to jeden z największych cudów natury. Obserwowałem Laurę bez przerwy.

Przyjmowała to, co się z nią działo, z humorem. Czasem dotykała palcem brzucha i mówiła:

— No, znów się stało. Po trzech, czterech razach można się do tego przyzwyczaić, ale to cholerny kłopot.

Bywało, że zwałała winę na Boga i narzekała na przewrotność mężczyzn.

Żeby urodzić pierwsze sześcioro dzieci wypróbowała sześciu różnych mężczyzn.

Hat mawiał: — Niektórym trudno dogodzić.

Ale nie chciałbym bynajmniej stwarzać wrażenia, że Laura cały czas rodziła dzieci i narzekała na mężczyzn i na swój los. Jeśli można powiedzieć o Bogardzie, że był najbardziej znudzonym człowiekiem na Miguel Street, to o Laurze, że była osobą najbardziej żywotną. Miała zawsze dobry humor i lubiła mnie. Często dawała mi owoce mango albo śliwki, jeśli je miała. A kiedy robiła ciastka, zawsze odkładała kilka dla mnie.

Nawet moja matka, która w ogóle nie lubiła wyśmiewać się z nikogo, żartowała z Laury. Często mówiła:

— Nie rozumiem, dlaczego ta Laura tak cię rozpieszcza. Pomyślałby kto, że ma za mało własnych dzieci.

Wydaje mi się, że moja matka trafiła w sedno. Sądzę, że takie kobiety jak Laura nigdy nie mają za dużo dzieci. Kochała wszystkie swoje dzieci, chociaż trudno było w to uwierzyć, sądząc po tym, jak się do nich odzywała. Laura miała najbogatszy repertuar przekleństw, z jakim się kiedykolwiek zetknąłem, i nigdy ich nie zapomnę.

Hat kiedyś oświadczył:

— Człowieku, pod względem bogactwa słownika ona jest jak Szekspir.

Oto kilka próbek jej słownictwa:

— Alwyn, ty szeroka mordko, chodź tu. Albo:

— Gavin, jeśli natychmiast nie przyjdiesz, to ci dupę przypiekę.

Albo:

— Lorna, ty kulawa czarna suko, uważaj, co robisz.

Ale porównywanie Laury, matki ośmiorga dzieci, z Mary-Chinką, również matką ośmiorga dzieci, byłoby niesprawiedliwe. Bo Mary naprawdę opiekowała się swoim potomstwem i nigdy nie podnosiła na nie głosu. No cóż, Mary miała męża, właściciela sklepu, i mogła sobie pozwolić, by być dobrą dla swoich dzieci i karmić je takimi potrawami jak chop-suey, chow-main lub chow-fan. A skąd

Laura miała brać pieniądze na wyżywienie swojej trzódki?

Ci wszyscy mężczyźni, którzy przyjeżdżali wieczorem na rowerach przed dom Laury i wywoływali ją gwizdaniem, na pewno nie należeli do tych, co to wyrzucają pieniądze na utrzymanie jej dzieci. Im chodziło tylko o nią.

Zapytałem, kiedyś matkę:

— Powiedz mi, mam, z czego żyje Laura? Matka dała mi wtedy porządnego klapsa i powiedziała:

— Jesteś trochę za ciekawy jak na swoje lata.

Miałem jak najgorsze przeczucia. Ale spodziewałem się, że się mylę. Zadałem więc to samo pytanie Hatowi. Hat powiedział:

— Laura ma kupę znajomych, którzy handlują na targu. Oni jej dają różne rzeczy za darmo, a czasem jej pierwszy, drugi albo trzeci mąż też jej pomaga, ale niewiele.

Najdziwniejszą osobą w tym wszystkim była sama Laura. Nie była piękną. Boyee kiedyś powiedział:

— Ona ma twarz jak tarka. No i tuszę' też miała nie najgorszą.

A mówię o okresie, kiedy miała tylko sześcioro dzieci.

Pewnego dnia Hat oświadczył:

— Słuchajcie, Laura ma nowego chłopca. Wszyscy się śmieli: — Też nowina. Gdyby Laura mogła, wypróbowałaby każdego chłopca choć raz.

Ale Hat powiedział:

— Tym razem to sprawa poważna. On za mieszkał z nią na dobre. Widziałem go z rana, kiedy wyprowadzałem krowy.

Czekaliśmy z niecierpliwością, żeby się ujawnił.

Potem dowiedzieliśmy się, że on czekał, żebyśmy my się ujawnili.

Człowiek ten — a na imię mu było Nathaniel — bardzo szybko przyłgął do naszej paczki. Ale było rzeczą jasną, że tak naprawdę nie jest jednym z nas. Pochodził ze wschodniej dzielnicy Port of Spatn, którą uważaliśmy za gorszą od naszej. No i wyrażał się naprawdę jak cham.

Z tego, co mówił, wynikało, że był postrachem swojej dzielnicy i Piccadilly Street. Opowiadał różne historie o bójkach między gangami i chciał, żebyśmy wiedzieli, że wykończył kilku facetów.

Hat mówił: — Powiadam wam, on kłamie jak najęty.

Ja też nie miałem do niego zaufania. Był niski, a mnie zawsze się zdawało, że ludzie niskiego wzrostu mają większe skłonności do podłości i brutalności niż ludzie, dla których natura okazała się łaskawsza.

Zupełne obrzydzenie wzbudzał we mnie jego stosunek do kobiet. Wprawdzie nikt z nas nie był rycerski, ale tej pogardy, jaką Nathaniel okazywał kobietom, nie mogliśmy znieść. Na temat każdej przechodzącej kobiety robił ordynarne uwagi.

Często mówił:

— Kobiety są jak krowy. Kobieta i krowa to jedno i to samo.

A kiedy przechodziła panna Ricaud z opieki społecznej, mówił:

— Spójrzcie no na tę grubą krowę. Była to bardzo niesmaczna uwaga, albo*-

wiem wszyscy uważaliśmy, że panna Ricaud była za gruba, żeby się z niej śmiać i że raczej należało się nad nią litować.

Z początku Nathaniel próbował mas przekonać, że wie, jak trzeba postępować z Laurą. Chciał, żebyśmy wierzyli, że ją bije. Często powtarzał:

— Mówię wam, kobiety lubią, jak się je bije. Znacie słowa calypso:

Jeśli od czasu do czasu sprawisz jej lanie,
Nie za rzadko, nie za często — nic jej się niestanie.
Podbij jej oko, spierz ją serdecznie,
Wtedy jej miłość trwać będzie wiecznie.

To cała prawda o kobietach.

Hat mówił: — Kobiety to dziwne istoty. Nie wiem, co taka Laura widzi w Nathanie-lu.

Eddoes mówił: — Ja się znam na kobietach. Jestem pewny, że Nathaniel łąze jak pies. Kiedy jest z Laurą, na pewno siedzi cicho jak mysz pod miotłą.

Czasem dochodziły nas odgłosy awantur i krzyki dzieci. A kiedy ukazywał się Nathaniel, mówił zazwyczaj:

— Próbowałem właśnie wbić jej trochę rozumu do tej głupiej głowy.

— Dziwna rzecz. Laura wcale nie wygląda gorzej — dziwił się Hat.

A Nathaniel dodawał: —· Wiecie, jej to bicie naprawdę jest potrzebne do szczęścia.

Oczywiście, Nathaniel kłamał. To nie on bił Laurę, to ona biła jego. Wydało się to pewnego dnia, kiedy Nathaniel założył kapelusz, żeby zasłonić rondem podbite oko.

Eddoes zauważył: — Wygląda na to, że to calypso dotyczy mężczyzn, a nie kobiet.

Nathaniel chciał się rzucić na Eddoesa, który był mały i chudy. Ale Hat powstrzymał go.

— Idź i wypróbuj swych sił na Laurze — rzekł. — Znam. Laurę. Laura nie bije cię za mocno, bo chce, żebyś jeszcze przy niej został. Ale kiedy będzie cię miała dość, to powiadam ci, chłopie, uciekaj, gdzie cię oczy poniosą.

Chcieliśmy, żeby stało się coś takiego, co zmusi Nathaniela do wyprowadzenia się z Miguel Street.

Hat mówił: — To już długo nie potrwa. 'Laura jest w ósmym miesiącu. Jeszcze miesiąc, a Nathaniel sobie pójdzie.

Eddoes wtrącił: — To będzie prawdziwy rekord. Siedmioro dzieci z siedmioma mężczyznami.

Potem urodziło się dziecko.

Była sobota. W piątek wieczorem widziałem jeszcze Laurę; stała na podwórku, oparta o płot.

Dziecko urodziło się o ósmej rano. I co powiecie, dwie godziny później Laura zawołała moją matkę.

Schowałem się i obserwowałem je z ukrycia.

LaUra stała oparta o okno. Jadła owoc mango i cała jej twarz pokryta była żółtym sokiem.

Powiedziała:

— Dziecko urodziło się dziś rano.

— Chłopak czy dziewczynka? — zapytała moja matka.

— Takie już moje zasrane szczęście. Znowu dziewczucha — rzekła Laura. — Chciałam panią tylko powiadomić. No, a teraz muszę już iść. Czeka mnie szycie.

Tego. samego wieczoru wydawało się, że przepowiednia Hata się sprawdzi. Gdy się ściemniło, Laura wyszła na ulicę i zawołała:

— Nathaniel, chodź tu!

Hat zapytał: — Co się dzieje, do cholery? Czy ona urodziła dziś rano? Nathaniel próbował się stawiać.

— Nie mam czasu. Jestem zajęty! — od krzyknął.

Laura zbliżyła się i widać było, że zanosi się na drakę.

— Co ty sobie myślisz? Nie masz czasu, jesteś zajęty?!

Nathaniel był wyraźnie zaniepokojony. Próbował coś powiedzieć, ale tylko bełkotał niezrozumiale.

Laura rzekła:

— Ty myślisz, że jesteś prawdziwym mężczyzną. Ale nie próbuj odstawić cwaniaka ze mną. Mówię do ciebie, ty nędzna łachudro, z dupą jak dwa zeschłe bochenki.

Laurze udało się jedno z jej najlepszych powiedzonek i wszyscy wybuchnęli śmiechem. Kiedy zobaczyła, że się śmiejemy, zaczęła się śmiać wraz z nami.

Hat rzekł: — Ta kobieta to dobry numer.

Ale nawet po urodzeniu dziecka Nathaniel nie wyniósł się z Miguel Street, i to nas niepokoiło.

Hat rzekł: — Powiadam wam, jeśli ona nie będzie uważać, to będzie miała drugie dziecko z tym samym mężczyzną.

To, że Nathaniel nie wynosił się, nie było winą Laury. Maltretowała go często i robiła to teraz zupełnie otwarcie. Czasem zamykała mu drzwi przed nosem i mogliśmy słyszeć, jak stojąc na ulicy próbował ją udobruchać:

— Lauro, kochanie, Lauro, najśłodsza, wpuść mnie. Lauro, mój skarbie, tylko na tę noc.

Teraz już nie udawał, że to on jest panem domu. Nie szukał naszego towarzystwa i byliśmy z tego bardzo zadowoleni.

Hat mawiał:

— Nie rozumiem, dlaczego nie wraca tam, skąd przyszedł. W jego dzielnicy mieszkają same chamy i tam byłoby mu dużo lepiej.

Ja też nie mogłem zrozumieć, dlaczego on się nie wyprowadza.

Wreszcie Hat oświadczył:

— Widziałem już takich jak on. On lubi, jak go kobieta bije.

Laura tymczasem była coraz bardziej wściekła na Nathaniela. Pewnego dnia usłyszeliśmy, jak mówi do niego:

— Tobie się zdaje, że jak mi zrobiłeś dziecko, to już należę do ciebie. To dziecko urodziło się tylko z przypadku.

Groziła, że wezwie policję. Nathaniel mówił: — A kto zajmie się twoimi dziećmi? Na to Laura:

— Niech cię o to głowa nie boli. To moja sprawa. Nie chcę cię tu więcej widzieć. Mam tylko jeszcze jedną gębę do karmienia. Wy noś się natychmiast, bo inaczej pójdę po sierżanta Charlesa. On się już z tobą rozprawi.

Ta groźba zmusiła go do wyprowadzenia się.

Miał łzy w oczach.

Ale brzuch Laury znów pęczniał.

Hat mówił: — Boże, dwoje dzieci z tym samym mężczyzną!

Jednym z cudów na Miguel Street było to, że na naszej ulicy nikt nie umierał z głodu. Gdyby ktoś z ołówkiem w ręku spróbował wyliczyć, jak to się dzieje, doszedłby do wniosku, że to niemożliwe. Ale ja mieszkałem na Miguel Street i zapewniam was, że nikt tam nie umierał z głodu. Może czasem ktoś chodził głodny, ale nie mówiło się o tym.

Tymczasem dzieci Laury rosły.

Najstarsza córka, Lorna, zaczęła pracować jako służąca w domu w St Clair i brała lekcje pisania na maszynie u jakiegoś faceta na Sackville Street.

Laura mówiła: — Najważniejsza rzecz na świecie to wykształcenie. Nie chcę, żeby moje dzieci wyrosły na takich ludzi jak ja.

Gdy nadeszła już pora, Laura wydała na świat swe ósme dziecko, równie łatwo jak poprzednie.

Było to jej ostatnie dziecko.

Nie dlatego, że przestała kochać rasę ludzką i straciła chęć do powiększania jej szeregów. Prawdę

mówiąc, Laura była zawsze równie młoda i równie wesoła. Czułem, że gdyby dano jej możliwość, nie przestałyby nigdy rodzić dzieci.

Kiedyś jej najstarsza córka, Lorna, przyszła z lekcji pisania na maszynie i oświadczyła:

— Mamo, będę miała dziecko.

Laura wrzasnęła tak, że słychać ją było na całej ulicy. .

I po raz pierwszy słyszałem, jak Laura płacze. To nie był zwykły płacz. Płakała, jakby chciała wypłakać wszystkie łzy, które nagromadziły się w niej od urodzenia.

Wszystkie łzy, które starała się ukryć w przeszłości pod maską śmiechu. Widziałem ludzi płaczących na pogrzebach, ale w tych łzach jest dużo pozy. Natomiast płacz Laury tej nocy był najstraszliwszym lamentem, jaki kiedykolwiek słyszałem. Czułem, że świat jest głupi i smutny, i .niewiele brakowało, a byłbym płakał razem z nią.

Cała ulica słyszała płacz Laury.

Następnego dnia Boyee rzekł:

— Nie rozumiem, czemu ona się tak wścieka. Przecież ona robi to samo.

Hat tak się zdenerwował, że zdjął pasek i sprzął chłopaka.

A ja nie wiedziałem, kogo mam żałować, Laury czy jej córki.

Czułem, że Laura wstydzi się pokazać na ulicy. Kiedy ją ujrzałem, nie mogłem uwierzyć, że mam do czynienia z tą samą kobietą, która zawsze była tak wesoła i dawała mi ciastka.

Laura była teraz stara.

Nie krzyczała już na swoje dzieci i nie biła ich. Nie wiem, czy dlatego, że zaczęła się o nie troszczyć, czy dlatego, że przestały ją obchodzić.

No i nigdy nie słyszeliśmy żadnej wymówki pod adresem Lorny. I to właśnie było najstraszniejsze.

Lorna przyniosła swoje dziecko do domu. Nikt z naszej ulicy nie pozwalał sobie na żarty z tego powodu.

A dom Laury stał się martwy d cichy.

Hat mówił: — Życie to cholerna sprawa. Widzisz, jak nadciągają kłopoty, ale nic nie możesz na to poradzić. Tylko siedzisz, przyglądasz się i czekasz na to, co się stanie.

Według gazet była to jeszcze jedna tragedia weekendowa, taka jakich wiele.

Lorna utopiła się w Carenage.

Hat mówił: — Zawsze tak jest. Wypływają daleko, a potem są zmęczeni i nie mogą dopłynąć z powrotem.

Kiedy przyszła policja, żeby zawiadomić o tym Laure, ona powiedziała tylko kilka słów.

— Dobrze. Dobrze. Może i lepiej, że tak się stało.



Niebieski wóz

Z wielu powodów, kiedy dorosnę, chciałbym być taki jak Eddoes.

Eddoes należał do arystokracji naszej ulicy. Był woźnicą na wozie, który zbierał śmieci, i dlatego pracował tylko z rana.

No i poza tym — jak wszyscy mówili — Eddoes był prawdziwym „chłopcem z sagi”. Nie znaczy to oczywiście, że pisywał epickie poematy. Znaczy to tylko, że był człowiekiem dobrze ułożonym, który się nigdy nie przepracowywał, człowiekiem zawsze dobrze ubranym i prawdziwym uwodzicielem.

Hat mawiał: — Powiadam wam, chłopaki, ten Eddoes jest za czysty jak na faceta, który się zajmuje zbieraniem śmieci.

Eddoes był maniakiem na punkcie czystości.

Całymi godzinami czyścił sobie zęby.

Prawdę mówiąc, gdybyś miał opisać go jakiemuś obcemu człowiekowi, mógłbyś powiedzieć:

— Eddoes to ten facet, co to zawsze ma szczotkę do zębów w ustach.

Była to jedna z tych rzeczy, które zawsze u niego podziwiałem. Razu pewnego wpakowałem sobie do ust szczotkę do zębów i zacząłem przechadzać się po naszym podwórku.

Moja matka powiedziała:

— Co to za zabawa! Przydałaby ci się pianka z siuśków.

Przez kilka dni chodziłem jak struty. Ale to mnie bynajmniej nie zniechęciło do zabierania szczoteczki do ‘zębów do szkoły i do paradowania z nią. Z początku wywoływałem nie lada sensację. Ale bardzo szybko doszedłem do wniosku, że tylko taki facet jak Eddoes mógł bezkarnie pozwolić sobie na takie publiczne wybryki.

Eddoes ubierał się zawsze, bardzo starannie. Spodnie koloru khaki miały zawsze ostry kant, a buty zawsze lśniły. Trzy górne guziki u koszuli miał zawsze odpięte, tak że jego owłosiony tors był odsłonięty. Mankiety u koszuli zawsze podwijał, aby wszyscy mogli podziwiać jego złoty zegarek.

Zresztą zegarek widać było nawet wtedy, gdy Eddoes był w (marynarce. Marynarkę bowiem nosił w taki sposób, jakby nie zdawał sobie sprawy, że pasek od zegarka przytrzymuje koniec rękawa.

Dopiero wtedy, gdy podrosłem, zrozumiałem, jaki mały i chudy był Eddoes.

Kiedyś zapytałem Hata: — Słuchaj, czy ty naprawdę wierzysz w te opowieści Eddoesa, że kobiety lecą na niego?

Hat powiedział: — Słuchaj, chłopcze, kobiety to dziwne istoty. Będą lecieć nawet na karła, jeśli ma pieniądze.

Oświadczyłem Hatowi, że nie wierzę. Byłem oczywiście wtedy bardzo, młody.

W tym czasie myślałem, że jeśli istnieje mężczyzna na świecie, który może podobać się kobietom, to tym mężczyzną jest Eddoes.

Trzeba było widzieć, z jaką gracją siedział na swym wozie i z jaką elegancją trzymał w ustach szczoteczka do zębów.

Ale kiedy Eddoes siedział na swym. wozie, nie można było z nim rozmawiać. To był zupełnie inny człowiek, nie ten sam, którego znaliśmy, gdy chodził po ziemi. Nigdy się nie śmiał, był zawsze poważny. Jeśli próbowaliśmy ucześcić się jego wozu, tak jak robiliśmy to, kiedy przejeżdżał wóz z lodem, Eddoes groźnie świstał batem, krzyząc:

— Co wy sobie myślicie? Że to byle jaki wóz?

Każdego roku Eddoes zdobywał nagrodę Rady Miejskiej za najczystszy wóz do’ zbierania śmieci.

A gdy Eddoes mówił o swojej pracy, wszyscy czuliśmy się mali i niepotrzebna.

Mówił, że zna wszystkich dygnitarzy w Port of Spalin, począwszy od gubernatora.

— Wczoraj zabrałem trzy kubły śmieci od dyrektora służby zdrowia — mówił. — Świetnie go znam. Zabieram od niego śmieci od lat; był wtedy tylko małym doktorkiem w Woodbrook. No więc, kiedy spotkałem go wczoraj, powiada do mnie: „Eddoes — on zawsze mówi mi po imieniu — chodź, napijemy się”. A ja nie lubię pić w czasie pracy, bo mam opóźnienia. Ale on, mówię wam, ściągnął mnie z wozu prawie siłą. W końcu musiałem się z nim napić. Opowiadał mi o swoich kłopotach.

Były również historie o bogatych damach czekających na niego za kubłami ze śmieciami i o damach błagających Eddoesa, żeby zabierał od nich śmieci.

Trzeba było widzieć Eddoesa tego dnia, kiedy śmdeciarze¹ ogłosili strajk. Jak wam już mówiłem, ci śmieciarze byli ludźmi bardzo wrażliwymi, ludźmi, którzy nie dawali sobie w kaszę dmuchać.

Oni znali swoją siłę. Wiedzieli, że jeśli za-strajkują, Port of Spain zadusi się od smrodu.

W tych ważnych dniach strajkowych Eddoes przechadzał się powoli, zamyślony, po Miguel Street. Wyglądał ponuro i groźnie i nie chciał z nikim rozmawiać. Nosił czerwoną chustkę i szczoteczkę do zębów z czerwoną rączką.

Czasem szliśmy na Woodford Square, gdzie odbywały się wiece strajkujących, żeby przyglądać się podekscytowanym twarzom. Nie bez zdziwienia zobaczyłem tam śpiewającego Eddoesa. Pieśni były pełne namiętności, ale Eddoes miał przy tym bardzo smutną minę.

— Powiadam ci, tam się kręci pełno tajniaków — powiedział Hat. — Oni zapisują każde słowo Eddoesa i innych.

Tajniaków można było rozpoznać bez trudu. Ich ubranie przypominało mundur — brązowe kapelusze, białe koszule i brązowe spodnie. Notowali wszystko w grubych notesach czerwonym ołówkiem.

Eddoes nie wyglądał na przestraszonego.

Wiedzieliśmy dobrze, że z takim jak on lepiej nie zaczynać. Trudno było mieć pretensję do Eddoesa, że był taki dumny.

Pewnego dnia Eddoes przyniósł do domu parę butów. Pokazywał je nam od niechcienia, jak gdyby nie obchodziło go wcale to, czy je oglądamy, czy nie.

Czyszcząc zęby i nie patrząc na nas wcale rzekł:

— Wiecie, wziąłem tę parę butów z wysypiska. Leżały tam, więc je wziąłem.

Nie posiadaliśmy się ze zdziwienia. Buty były jak nowe.

— Ludzie wyrzucają różne rzeczy — rzekł Eddoes i dodał: — Mówię wam, to cholerna robota. Można mieć wszystko, jak się uważnie patrzy. Znam faceta, co znalazł całe łóżko. Kiedyś, gdy zbierałem śmieci na St Clair, jakaś kobieta wybiega z domu i prosi, żebym wszedł z nią do środka. Powiada, że chce mi dać radio.

— To znaczy, że bogaci ludzie po prostu wyrzucają takie rzeczy? — zapytał Boyee.

Eddoes uśmiechnął się i odwrócił głowę, bolejąc nad naszą naiwnością.

Wieść o Eddoesie i jego butach rozniosła się po ulicy dość szybko. Moja matka była zmartwiona.

— Widzisz, synu, jakie jest życie — powiedziała. — Ja tutaj urabiani sobie ręce do łokci i nikt nie rzuci mi pary butów. A ten mały chudzielec nic nie robi i dostaje takie rzeczy.

Tymczasem zbiory Eddoesa rosły. Raz przyniósł do domu łóżko, innym razem całą masę talerzyków i filizanek z lekka popękanych, kiedy indziej znów kawałki drewna, różne śrubki, a czasem nawet pieniądze.

Eddoes mówił: — Dziś rozmawiałem z takim jednym starym śmieciarzem, który powiedział mi, że nigdy nie należy wyrzucać butów. Zawsze trzeba do nich zaglądać, bo można w nich znaleźć różne różności.

Nadszedł wreszcie moment, kiedy trudno było powiedzieć, czy Eddoes jest bardziej dumny ze swej pracy, czy ze swej kolekcji rupieci.

Pół godziny dziennie schodziło mu na wyładowywaniu z wozu tego wszystkiego, co zebrał. A jeśli ktoś potrzebował kilka gwoździ albo kawałek blachy, wystarczyło pójść do Eddoesa. Jeśli proszono go o coś, robił z tego wielką historię, ale w gruncie rzeczy był bardzo zadowolony.

Tak mi się przynajmniej zdaje.

Eddoes mawiał: — Haruję cały dzień i zbieram to wszystko, a ludzie myślą, że w każdej chwili mogą przyjść do mnie po to i owo.

Pewnego dnia, a było to po otwarciu szkoły Hoyta, Tytus powiedział nam, ile to pieniędzy musi wydawać na książki.

— Będzie mnie to kosztować co najmniej sześćdziesiąt dolarów — rzekł.

— A ile będziesz miał książek za te pieniądze? — zapytał Eddoes.

— Może siedem, może osiem. Eddoes zaśmiał się szyderczo i rzekł:

— Mógłbym ci przynieść całą kupę książek za jedne dwanaście centów. Dlaczego chcesz wydać taką kupę forsy na osiem książek?

Eddoes zaczął sprzedawać książki.

Hat kupił u niego książek za dwadzieścia centów.

Nie trzeba chyba lepszego dowodu na to, jak bardzo ukulturalniająco oddziaływał na wszystkich pan Tytus Hoyt.

Była jeszcze historia z obrazami.

Pewnego dnia Eddoes oświadczył:

— Dziś znalazłem dwa śliczne obrazy, dwie piękne scenki w ramach i w ogóle.

Poszedłem do domu i powiedziałem:

— Mamo, Eddoes powiedział, że sprzeda nam dwa obrazy za dwanaście centów.

Reakcja mojej matki była zupełnie nieoczekiwana.

Wytarła ręce w fartuch i wyszła przed dom.

Eddoes przyniósł obrazy i rzekł:

— Szkło jest trochę brudne, ale to można oczyścić. Ale za to co za obrazy!

Były to litografie przedstawiające okręty na wzburzonych falach. Moja matka nie posiadała się z radości. Bez przerwy powtarzała:

— Zawsze chciałam mieć w domu obrazy. — Potem wskazując mnie palcem do dała: — Jego ojciec też malował obrazy.

Na Eddoesie wiadomość ta wywarła duże wrażenie.

— Takie ładne obrazy jak te? — zapytał. Matka nie odpowiedziała.

Potargowali się trochę, wreszcie moja matka zapłaciła Eddoesowi dziesięć centów.

Gdy Eddoes miał coś takiego, czego nikt nie chciał kupić, szedł do mojego wuja Bhakou, który kupował wszystko.

Bhakou mawiał: — Nigdy nie wiadomo., kiedy coś może się przydać.

Hat zaczął się niepokoić.

— Powiadam wam — mówił — wydaje mi się, że ten Eddoes dostaje bzika na punkcie tych wszystkich staroci. Są ludzie, na których to tak właśnie działa.

Mnie to nie bawiło, ale pewnego dnia Eddoes przyszedł do mnie i zapytał:

— Słuchaj no, czy nigdy nie przyszło ci do głowy zbierać stare bilety autobusowe?'

Przyznaję, że nigdy nie przyszło mi to do głowy.

Eddoes rzekł: — To jest właśnie robota dla takiego malucha jak ty. Za każdy tysiąc biletów dam ci pensa.

— Ale po co mi stare bilety? — zapytałem. On tylko zaśmiał się, tak jakbym gadał głupstwa.

Nie zacząłem zbierać biletów autobusowych, ale zauważyłem, że inni chłopcy się tym zajmują. Eddoes powiedział mi, że za każde sto zebranych biletów będą się mogli raz za darmo przejechać na

wozie.

Hat rzekł: — To się stanie naprawdę niebezpieczne, gdy on zacznie zbierać szpilki.

Ale stało się coś, co spowodowało, że Eddoes znów oprzytomniał. Pewnego dnia Eddoes oświadczył:

— Mam kłopoty.

— Chyba nie jesteś złodziejem i nie kradłeś tego wszystkiego przez cały czas? — Rzekł Hat.

Eddoes pokręcił przecząco głową.

— Zrobiłem dziewczynie dziecko.

— Jesteś pewny, że to ty? — zapytał Hat.

— Ona tak mówi — odparł Eddoes. Trudno było pojąć, dlaczego Eddoes się tak tym martwi.

Hat rzekł: — Nie wygłupiaj się, stary. Takie rzeczy mogą się zdarzyć każdemu.

Eddoes był jednak niepokieszony. Zbierał nadal rupiecie, ale się już nie chwalił. Potem przestał nawet zbierać.

Hat mówił: — Eddoes zachowuje się tak, jakby to on odkrył, jak się robi dziewczynie dziecko.

— Jesteś pewny, że dziecko jest twoje, a nie kogoś innego? — zapytał Hat raz jeszcze Eddoesa.

— Wiesz, są kobiety, które żyją z nabierania facetów w ten sposób.

Eddoes rzekł:

— To prawda, ona ma już dzieci z kimś innym, ale mimo to wpadłem.

— To taka druga Laura? — zapytał Hat.

— Nie. Laura ma tylko jedno dziecko z każdym mężczyzną. A ta moja ma dwoje czy troje.

Hat rzekł:

— Nie ma się co martwić, chłopie. Wcale nie jesteś pewien, czy to twoje dziecko. Po czekaj, przekonasz się.

Eddoes rzekł ze smutkiem:

— Ona mówi, że jeśli nie wezmę dziecka, to pójdzie i naskarzy na mnie, i wyrzucą mnie z pracy.

Zatkało nas,

— Ona zna kupę ludzi — dodał Eddoes. — Mówi, że zabiorą mi dzielnicę St Clair i dadzą Dry River, gdzie mieszkają sami biedni ludzie, co nic nie wyrzucają.

— To znaczy, że nie będziesz miał co zbierać? — wtrąciłem.

Eddoes przytaknął i teraz zrozumieliśmy.

— Powiadam wam, dużo> prawdy jest w słowach calypso — rzekł Hat.

Zły to chłop, na którego nie ma bata,
Ale gorsza taka, co za wszystkimi lata.

Znam takie kobiety. Rodzą dzieci i zmuszają ojców, żeby na nie płacili. A jak taka ma trzydzieści lub trzydzieści pięć lat, to dostanie tyle forsy od tylu mężczyzn, że nie musi się więcej o nic troszczyć. Ja się znam na tych kawałach.

— Nie przejmuj się Eddoes. Poczekaj, zobaczysz, czy to twoje dziecko, nie ma się czego śpieszyć — wtrącił Boyee.

— Słuchaj no, Boyee, jesteś jeszcze za mały, żeby się mieszać do takich rozmów — stwierdził Hat.

Długo ciągnęły się miesiące. Pewnego dnia Eddoes oświadczył:

— Wczoraj urodziła dziecko. Hat zapytał:

— Chłopak czy dziewczynka?

— Dziewczynka.

Bardzo nam było żal Eddoesa. Hat zapytał:

— Myślisz, że jest twoje?

— Jak.

— Weźmiesz je do domu? — Za rok lub dwa.

— No to nie ma powodu do zmartwienia. Jeśli to twoje dziecko, to zabierz je do siebie, a wtedy nie zabiorą ci St Clair i będziesz mógł dalej zbierać swoje rupiecie.

Eddoes kiwnął głową, ale nie wyglądał na pocieszonego.

Hat nadał dziewczynce przezwisko, zanim jeszcze przybyła na Miguel Street. Nazwał ją Rozkoszna i tak nazywaliśmy ją wszyscy, aż wyrosła na dużą dziewczynkę.

Matka przyniosła Rozkoszną do domu Eddoesa pewnej nocy, ale nie została tam długo. Nabraliśmy jeszcze większego szacunku dla Eddoesa, kiedy zobaczyliśmy, jak piękna to była kobieta. Miała drapieżną, hiszpańską urodę.

Ale jeden rzut oka wystarczył, żeby wiedzieć, że Eddoes nie mógł być ojcem tego dziecka.

Boyee zaczął nucić calypso:

„Tato” woła na mnie Chińczyk mały!
Choć czarny jestem jak smoła,
Choć czarna ma żona nie opuszcza mnie zgoła,
„Tato” woła na mnie Chińczyk mały!
Boże, ktoś mi tam mleka dolewa do kawy.

Hat dał Boyee solidnego szturchańca w bok i rzekł do Eddoesa:

— Masz śliczną dziewczynkę. Jest podobna do ciebie jak dwie krople wody.

— Naprawdę tak myślisz? — spytał Eddoes.

Na to Hat:

— Tak jest, chłopie. Zobaczysz, że wyrośnie na porządną dziewczynę, tak porządną jak jej ojciec.

— Twoja córeczka jest bardzo ładna — powiedziałem.

Dziecko spało, różowiotkie i rozkoszne.

Errol rzekł: — Chętnie poczekałbym na nią szesnaście lat, aż podrośnie.

Eddoes tymczasem uśmiechał się, a potem nie wiadomo z jakiego powodu wybuchnął śmiechem.

— Uspokój się, Eddoes. Obudzisz małą — powiedział Hat.

— Czy ty naprawdę myślisz, że ona wrodziła się we mnie? — spytał Eddoes.

Hat rzekł:

— Tak, chłopie. Myślę, że dobrze zrobiłeś. Gdybym nie był taki ostrożny i gdyby mi się przydarzyło zrobić komuś dziecko, to bym je też zabrał do domu. Wszystkie swoje dzieci zabrałbym do domu. Nie ma się czego wstydić.

Eddoes powiedział: — Hat, mam klatkę na ptaki, którą kiedyś znalazłem. Jutro ci ją przyniosę.

Hat rzekł: — Od dawna marzyłem o ładnej klatce.

Wkrótce Eddoes stał się znów dawnym Eddoesem, takim, jakim go znaliśmy, dumnym ze swej pracy i swych rupieci, a teraz także dumnym ojcem Rozkosznej.

Ona zaś stała się maskotką całej ulicy i wszystkie kobiety, pani Morgan, pani Bhakcu, Laura i moja matka, opiekowały się nią.

No i nikomu nie przyszło do głowy śmiać się, kiedy Rozkoszna otrzymała pierwszą nagrodę w konkursie dla niemowlaków za najpiękniejszą cerę i jej zdjęcie ukazało się we wszystkich gazetach.



Miłość, miłość i tylko miłość

Pewnego poranka o godzinie dziewiętej przed domem panny Hilton zatrzymał się karawan i samochód. Z samochodu wysiedli ubrani na czarno mężczyzna i kobieta, oboje w średnim wieku. Podczas gdy mężczyzna mówił coś szeptem do dwóch mężczyzn siedzących w karawanie, kobieta szlochała z dyskrecją i dystynkcją.

Wydaje mi się, że pogrzeb panny Hilton był najcichszym i najszybszym pogrzebem, jaki kiedykolwiek odbył się na Miguel Street. Nie można go było porównać z pogrzebem innej wdowy, pani Ricaud, która zajmowała się opieką społeczną i mieszkała w elegantszej części ulicy. Na jej pogrzebie naliczyłem, siedemdziesiąt dziewięć samochodów i jeden rower.

W południe mężczyzna i kobieta zjawili się raz jeszcze w domu panny Hilton i rozpalili ogień na podwórku. Z dymem poszły materace, poduszki, prześcieradła i koce.

Potem — rzecz niesłychana — wszystkie okna tego szarego, drewnianego domu zostały otwarte.

Pod koniec tygodnia na drzewie mango ukazała się tabliczka z napisem: „Na sprzedaż”.

Nikt na naszej ulicy nie znał panny Hilton. Kiedy żyła, furтка jej domu była zawsze zamknięta na kłódkę. Nikt nie widział nigdy, jak wychodziła z domu, i nikt nie widział nikogo wchodzącego do domu. Tak więc przy najlepszej nawet chęci trudno było żałować paniny Hiltoin.

Kiedy myślę o jej domu, widzę dwa kolory. Szary i zielony. Widzę zielen drzewa mango i szarość domu oraz szarość wysokiego żelaznego ogrodzenia, które broniło dostępu do owoców mango.

Jeśli piłka krykietowa wpadała na podwórko panny Hilton, nie można już jej było odzyskać.

Kiedy panna Hilton umarła, owoce mango były jeszcze niedojrzałe. Ale odzyskaliśmy z tuzin naszych piłek. Gotowi byliśmy znienawidzić nowych lokatorów, nawet zanim się wprowadzili. Wydaje mi się, że gnębił nas jakiś niepokój. Mieszkał już na naszej ulicy facet, co to skarżył się na nas policji. Nie podobało mu się, że gramy w krykieta na jezdni, a jeśli nie graliśmy w krykieta, to robiliśmy, jego zdaniem, za dużo hałasu.

Bywało, że przychodził sierżant Charles i mówił:

— Chłopaki, szef mnie przysłał. Ten cholerny facet znowu dzwonił ze skargą. Nie dokazujcie tyle.

Pewnego popołudnia, kiedy wróciłem ze szkoły, Hat powiedział:

— To mężczyzna i kobieta. Ona śliczna jak obrazek, ale on brzydki jak nieszczęście. Wyglądają na Portugalczyków.

Niewiele mogłem zobaczyć. Furтка została wprawdzie otwarta, ale okna były zamknięte.

Słyszałem jakieś wściekłe szczekanie psa.

Jedno wyjaśniło się bardzo szybko. Nie byli to na pewno ludzie skłonna dzwonić na policję i skarżyć się, że hałasujemy i nie dajemy im spać.

Tej nocy dochodził z ich domu straszliwy gwar. Radio grało na pełny regulator do północy, a więc do zakończenia programu Radia Trynidad. Pies szczekał, mężczyzna krzyczał, ale nie słyszałem głosu kobiety.

Nazajutrz rano zapanował błogi spokój.

Ociągałem się z pójsciem do szkoły, bo chciałem zobaczyć kobietę.

Boyee rzekł:

— Wiesz, Hat, wydaje mi się, że ja ją już gdzieś widziałem. Widziałem ją chyba, kiedy roznosiłem mleko na Mucurapo.

Jedno było pewne, ta pani nie pasowała do naszego towarzystwa na Miguel Street. Była za dobrze ubrana, za ładna i trochę za dobrze wychowana. Można się było ubawić obserwując, jak próbowała poradzić sobie z innymi kobietami w sklepie, by dorwać się do lady i dostać tak rzadkie rzeczy jak mąka czy ryż.

Chyba Boyee miał rację. Dużo łatwiej można było wyobrazić ją sobie, jak się kręci w szortach po ogrodzie jednego z tych eleganckich domów na Mucurapo wydając polecenia służącemu w liberii.

Po kilku dniach udało mi się lepiej przyjrzeć mężczyźnie. Był wysoki i chudy, miał brzydką twarz, pokrytą czerwonymi plamami.

Hat rzekł:

— Boże, co to musi być za pijaczyna!

Minęło trochę czasu, zanim zdołałem zdać sobie sprawę, że ten facet był pijany przez cały dzień. Zionęło od niego obrzydliwie zapachem rumu. Bałem się go i kiedy spotykałem na ulicy, przechodziłem na drugą stronę.

Jeśli jego żona — kto wie zresztą, kim naprawdę była — ubierała się lepiej niż jakakolwiek kobieta na Miguel Street, on ubrany był gorzej od nas wszystkich. Nawet gorzej niż George.

Nie można było powiedzieć, żeby miał jakąś pracę.

Zapytałem Hata: — Jak taka kobieta jak ona, ładna i sympatyczna, może zadawać się z takim facetem?

Na to Hat: — Nie zrozumiesz tego, chłopcze. Gdybym ci powiedział, nie uwierzyłybyś mi.

Potem mogłem się przyjrzeć bliżej również psu.

Był to pies duży jak cielę i groźny jak byk. Jego chuda morda przypominała twarz jego pana. Widywałem ich razem na ulicy.

Hat rzekł: — Jeśli ten pies się zgubi, - to nie ma co go szukać na naszej ulicy.

Kilka dni później Hat oświadczył:

— Wiecie co, nie rozumiem jednego. Nigdy nie widziałem, żeby wnoszono do tego domu jakieś meble. Wygląda na to, że jedyną ich rzeczą jest radio.

— Mógłbym im sprzedać różne rzeczy — rzekł Eddoes.

Często myślałem o mężczyźnie, psie i kobiecie żyjących w tym domu. Żał mi było kobiety i niepokoiłem się o nią. Podobała mi się również i dlatego, że wszystko przyjmowała bez narzekania, że próbowała nie wyróżniać się niczym i że chciała po prostu być taka sarna jak inne kobiety z Miguel Street.

Potem zaczęły się awantury.

Kobieta uciekała z domu krzycząc. Słyszeliśmy wściekłe szczekanie psa i okropne przekleństwa mężczyzny, które nas wszystkich szokowały.

Hat mówił: — Można się łatwo domyślić, co się tam dzieje.

Wywoływało to śmiech Edwarda i Eddoesa,

A ja pytałem: — Co się tam dzieje, Hat?

Hat śmiał się i mówił: — Jesteś jeszcze za mały, żeby zrozumieć. Poczekaj, aż podrośniesz.

Miałem najgorsze przeczucia.

Kobieta zachowywała się tak, jakby straciła wszelkie poczucie wstydu. Biegała po ulicy i krzyczała:

— Pomocy! Pomocy! On. mnie zabije, jak mnie dopadnie!

Pewnego dnia przybiegła do naszego domu.

Nie próbowała się usprawiedliwić, że przyszła nieoczekiwanie. Była tak przerażona, że nie mogła nawet płakać.

Moja matka nigdy jeszcze nie okazała nikomu tyle współczucia. Poczęstowała kobietę herbatą i ciasteczkami. Kobieta powiedziała:

— Nie rozumiem, co mu się stało ostatnio. On tylko wieczorem zachowuj e się w ten sposób. Z rana jest bardzo miły. A gdzieś koło południa coś w niego wstępuje i zaczyna znów szaleć.

Z początku moja matka próbowała być wyjątkowo uprzejma, udawała wykształconą osobę, mówiła wyszukany językiem, zapewniając ją, że wszystko skończy się dobrze. Zazwyczaj moja matka nie wyrażała się źle o mężczyznach, ale teraz, w rozmowie z tą kobietą, zmieniła zupełnie ton, posługując się na dodatek przykładem mojego nieżyjącego ojca.

Moja matka rzekła: — Z ojcem tego chłopca wszystko było odwrotnie. Kiedy wchodziłam do pokoju, w którym on się znajdował, wyskakiwał z łóżka i uciekał z piskiem.

Ale po trzech czy czterech takich odwiedzinach moja matka przestała pozować i zaczęła traktować tę kobietę tak jak Laurę czy panią Bhakcu.

— Niech mi pani powie, pani Hereira, dla czego pani nie rzuci tego łobuza? — pytała.

A na to pani Hereira:

— To głupie i trudno w to uwierzyć, ale ja lubię Toniego. Ja go kocham.

Moja matka mówiła: — Dziwna jest ta wasza miłość.

Pani Hereira zaczynała opowiadać o To-nim, tak jakby był jej ukochanym małym chłopcem.

— On ma wiele zalet, naprawdę — mówiła. — No i ma bardzo dobre serce.

Moja matka mówiła:

— Nie wiem, jakie on tam ma serce, ale wiem, że przydałoby mu się dobre lanie, żeby trochę zmądrzał. Jak pani może pozwolić, żeby panią tak traktował?

Pani Hereira mówiła:

— Ja znam Toniego. Opiekowałam się nim, kiedy był chory. Wszystkiemu winna ta wojna, proszę pani. On był marynarzem i dwa razy jego statek bombardowano.

Moja matka oświadczyła: — Szkoda, że nie próbowali zbombardować go po raz trzeci.

— Nie powinna pani tak mówić — rzekła pani Hereira.

— Mówię to, co myślę — powiedziała moja matka. — Przecież chce pani mojej rady.

— Nie, nie prosiłam o radę.

— Przychodzi pani do mnie, bo potrzebuje pani pomocy, a ja staram się pani pomóc.

— Nie potrzebuję ani pomocy, and rady — rzekła pani Hereira.

Moja matka zachowała spokój.

— W porządku — powiedziała. — Niech pani wraca do swojego bohatera. Sama sobie jestem winna. Nie powinnam się mieszać do spraw białych ludzi. Zna pani słowa calypso:

Przez miłość, miłość i tylko miłość
Król Edward stracił swój tron.

Powiem pani coś. Pani nie jest królem Edwardem, może pani nie porzucać swego tronu.

Pani Hereira powiedziała wychodząc:

— Moja noga już więcej tu nie postanie. Ale następnego wieczoru znów wróciła. Pewnego dnia moja matka powiedziała:

— Pani Hereira, wszyscy boją się tego waszego psa. Nie powinniście go trzymać.

Na to .pani Hereira oświadczyła:

— To nie jest mój pies. To jest pies To- niego i nawet ja nie mogę go dotknąć.

Gardziliśmy Tonim.

Hat mówił: — To nie szkodzi, jeśli mężczyzna bije swoją kobietę od czasu do czasu, ale ten facet robi to dla sportu.

Gardziliśmy nim również dlatego, że nie umiał pić. Ludzie spotykali go pijanego i śpiącego

w różnych miejscach.

Kilka razy nawet usiłował zaprzyjaźnić się z nami, ale tylko zrażał nas do siebie.

Czasem zaczepiał nas mówiąc: — Halo, chłopcy!

Ale zdawało się, że na tym kończą się jego zdolności do konwersacji. A kiedy Hat i inni próbowali z uprzejmości nawiązać z nim rozmowę, to wydawało mi się, że on ich w ogóle nie słucha. Czasem wstawał i odchodził nagle, bez słowa, nie wysłuchawszy nawet zdania do końca.

Hat mówił: — Dobrze, że odchodzi. Obrzydzenie mnie bierze, jak patrzę na tę mordę. Widzicie, jaka brudna może być czasem biała skóra.

Prawdę mówiąc Toni miał skórę obrzydliwą. Była to skóra żółta, czerwona i biała z brązowymi i czarnymi plamkami. A nad lewym okiem miała barwę zdechłej ryby.

Zauważyłem jednak, że gdy się patrzyło na jego chude i pomarszczone dłonie, odczuwało się litość, a nie obrzydzenie.

Ale ja spoglądałem na jego dłonie tylko wtedy, gdy byłem z Hatem i resztą naszej paczki.

Chyba tylko pani Hereira patrzyła na jego dłonie.

Hat mówił: — Ciekawe, jak długo to jeszcze potrwa.

Wydawało się, że pani Hereira nie zamierza wcale z tym skończyć.

Ona i moja matka zaprzyjaźniły się w końcu i czasem przysłuchiwałem się temu, co ta kobieta mówiła o swoich planach życiowych. Pewnego dnia oświadczyła, że zamierza kupić sobie meble, i zdaje mi się, że nawet coś niecoś kupiła.

Ale najczęściej mówiła o Tonim. A z tego, co opowiadała, można było sądzić, że Toni nie jest zwykłym człowiekiem.

— Toni ma zamiar wyjechać z Trynidadu. Moglibyśmy otworzyć hotel na Barbadosie — mówiła.

Albo: — Gdy tylko Toni wyzdrowieje, pojedziemy w daleką podróż.

Albo jeszcze: — Wie pani, Toni to naprawdę zdyscyplinowany człowiek. On ma bardzo silną wolę. Wszystko się ułoży, jak tylko odzyska siły i zdrowie.

Toni tymczasem zachowywał się tak, jakby nic nie wiedział o planach dotyczących jego osoby. Nie zamierzał wcale ustatkować się. Jego postępowanie było coraz gorsze.

Hat mówił: — On zachowuje się zupełnie jak dzikus. Czasem zapomina, po co istnieją wychodki.

Na tym zresztą nie koniec. Toni zaczął odczuwać wstręt do wszystkich ludzi. Czasem widok zupełnie obcego człowieka wprawiał go we wściekłość.

— To nie może tak dłużej trwać. Musimy coś zrobić z tym facetem — powiedział Hat.

Byłem tam tego wieczoru, kiedy urządzili mu lanie.

Potem przez długi czas Hat nie mógł o tym zapomnieć.

To było straszne. Hat i cała reszta wcale nie kierowała się złością. Toni też nie był zły. Nie próbował się bronić. Ciosy, jakie na niego spadały, nie robiły na nim żadnego wrażenia. Na jego twarzy nie było strachu. Nie krzyczał. Nie błagał o litość. Po prostu stał i pozwalał się bić.

Nie było w tym nic z odwagi.

Hat powiedział: — On jest urżnięty, to wszystko.

W końcu Hat był niezadowolony z siebie.

— To nadużycie — oświadczył. — Nie po winniśmy tego robić. Ten facet w ogóle nic nie czuje. Zachowanie pand Hereiry świadczyło o tym, że nie wiedziała, co zaszło. Hat mówił: — Dobre i to.

Przez te wszystkie tygodnie nie opuszczała nas jedna myśl. Jak taka kobieta jak pani Hereira mogła związać się z takim facetem jak Toni.

Hat twierdził, że zna odpowiedź na to pytanie. Ale chciał wiedzieć, kim naprawdę była pani Hereira, i to pragnienie podzielialiśmy wszyscy. Nawet moja matka.

Boyee wpadł na następujący pomysł.

— Wiesz, jakie ogłoszenia ludzie dają do gazet, kiedy mąż rzuca żonę albo żona opuszcza męża? — zapytał Ha ta.

— Słuchaj no, Boyee, wydaje mi się, że za szybko przybywa ci rozumu. Skąd taki smarkacz jak ty może wiedzieć o takich sprawach? — rzekł Hat.

Boyee uznał tę uwagę za komplement.

Hat dodał: — Zresztą skąd wiesz, że pani Hereira rzuciła męża? Skąd wiesz, że ona nie jest żoną Taniego?

A na to Boyee: — Mówię ci, Hat, ja już ją widziałem w Mucurapo, kiedy roznosiłem mleko. Naprawdę, mówię ci. Hat rzekł: — Biali ludzie nie robią takich rzeczy i nie dają takich ogłoszeń do gazet.

Eddoes odparł: — Nie wiesz, co gadasz, Hat. Czy znasz dużo białych?

Wreszcie Hat przyrzekł, że będzie czytał uważniej gazety.

Tymczasem zrobiło się zupełnie źle. Pewnego dnia pani Hereira wybiegła z domu krzycząc:

— On oszalał! On oszalał! Tym razem on mnie zabije!

Do mojej matki powiedziała:

— Chwyć nóż i zaczął mnie gonić. Mówił spokojnym głosem: „Zabiję cię, zabiję cię”.

— Czy pani mu coś zrobiła? — zapytała moja matka.

Pani Hereira zaprzeczyła ruchem głowy.

— Po raz pierwszy groził mi, że mnie za bije — rzekła. — I nie żartował.

Dotychczas pani Hereira nigdy nie płakała, ale teraz załamała się i zaczęła szlochać jak dziecko.

— Toni zapomniał, co dla niego zrobiłam — mówiła. — Zapomniał, jak się nim opiekowałam, kiedy był chory. Niech mi pani powie, gdzie jest sprawiedliwość?! Wszystko zrobiłam dla niego. Wszystko. Wszystko po święciłam. Pieniądze, rodzinę. Wszystko dla niego. Niech mi pani powie, jak on mnie może tak traktować? Oh, Boże! Za jakie grzechy mnie karzesz?

I słowa jej tonęły we łzach. Postanowiliśmy zostawić ją samą, żeby się wypłakała.

Potem moja matka powiedziała:

— Toni wygląda mi na człowieka, który może zabić, nie wiedząc, co robi. Czy chce pani spędzić u nas noc? Mogłaby pani spać w łóżku chłopca, a on by się przespał na podłodze.

Pani Hereira w ogóle nie słyszała, co się do niej mówi.

Matka potrząsnęła nią i powtórzyła swą propozycję. Pani Hereira powiedziała:

— Już mi nic nie jest, naprawdę. Wrócę teraz do domu i porozmawiam z Tonim. Chyba zrobiłam coś, co go obraziło. Muszę wrócić do domu i wyjaśnić całą sprawę.

— Ja się poddam — rzekła moja matka. — Według mnie, pani przesadza iż tą swoją miłością.

Pani Hereira wróciła więc do domu. Matka i ja nasłuchiwaliliśmy oczekując, że w każdej chwili rozlegnie się krzyk.

Ale nic nie usłyszeliśmy.

Następnego poranka pani Hereira była spokojna i równie dobrze ułożona jak zawsze.

Ale z każdym dniem świeżość i uroda pani Hereiry bladły. Na jej twarzy zaczynały ukazywać się zmarszczki. Powieki miała czerwone i opuchnięte i brzydkie ciemne plamy pod oczami.

Hat aż podskoczył i zawołał: — Wiedziałem! Wiedziałem! Przez cały czas wiedziałem!

I pokazał nam kolumnę drobnych ogłoszeń. Było tam siedem ogłoszeń o rozwodach.

Przeczytaliśmy, co następuje:

„Ja, Henry Hubert Christiani, oświadczam, że moja żona, Angela Mary Christiani, nie pozostaje więcej pod moją opieką i że nie odpowiadam za żaden dług lub długi, jakie mogłaby zaciągnąć”.

Boyee rzekł: — To jest ta sama kobieta.

Eddoes dodał: — Tak, Christiani, ten lekarz. Dobrze go znam. Wywoziłem od niego śmieci.

Hat rzekł: — No, a teraz może by mi któryś z was wyjaśnił, dlaczego kobieta rzuca takiego męża dla takiego faceta jak Toni?

Eddoes rzekł: — Tak, ja znam Christianie-go bardzo dobrze. Ma ładny dom, samochód, kupę forsy. Już go dawno nie widziałem. Widywałem go wtedy, kiedy miałem rejon Mucurapo.

W ciągu niespełna pół godziny cała Miguel Street znała nowinę.

Moja matka powiedziała do pani Hereiry:

— Niech pani wezwie policję.

— Nie, nie, tylko nie policję — powiedziała pani Hereira.

— Można by przypuszczać, że pani się boi bardziej policji niż Taniego — rzekła moja matka.

Ale pani Hereira powtarzała tylko: — Co za skandal, co za skandal...

— Do diabła ze skandalem! — zawołała moja matka. — Jest pani w niebezpieczeństwie, a boi się pani skandalu! Czy ten człowiek nie wyrządził pani już dość krzywdy? Dlaczego nie wróci pani do swego męża?

Powiedziała to tak, jakby oczekiwała, że pani Hereira aż podskoczy ze zdziwienia. Ale pani Hereira była bardzo spokojna.

— Nic do niego nie czuję — rzekła. — I nie znoszę tego antyseptycznego zapachu lekarskiego, jaki od niego bije. Ja się duszę.

Dobrze rozumiałem ją. Chciałem, żeby matka dała jej spokój.

Tymczasem z Tonim było coraz gorzej.

Przesiadywał często z psem na schodku przed domem, z butelką rumu w ręce.

Wydawało się, że w ogóle stracił kontakt ze światem. Nie czuł już nic. Trudno było sobie wyobrazić, jak pani Hereira, albo jeśli wolicie pani Christiani, mogła być zakochana w takim człowieku. Ale jeszcze trudniej było sobie wyobrazić Taniego zakochanego w kimkolwiek.

Mnie wydawał się zwierzęciem, jak jego pies.

Pewnego poranka pani Hereira przyszła do nas i powiedziała bardzo spokojnie:

— Postanowiłam rzucić Taniego.

Była taka spokojna, że aż zaniepokoiło to moją matkę.

— A co się stało? — spytała. Pani Hereira rzekła:

— Nic. Ostatniej nocy poszczuł na mnie psa. Wyglądał tak, jakby nie wiedział, co robi. Nawet się nie śmiał. Zdaje mi się, że on wariuje, i jeśli nie odejdę od niego, to mnie w końcu zabije.

— A do kogo panni pójdzie? — zapytała moja matka.

— Do męża.

— A to ogłoszenie wydrukowane w gazetach?

Pani Hereira rzekła:

— Henry to dziecko. On myśli, że mnie może nastraszyć. Jeśli wrócę do niego dzisiaj, będzie szczęśliwy, że ma mnie z powrotem.

Kiedy wypowiadała te słowa, wyglądała jakoś inaczej, jej twarz przybrała twarde wyraz.

Moja matka rzekła:

— Niech pani nie będzie taka pewna siebie. Czy on zna Toniego?

Pani Hereira zaśmiała się jakoś sztucznie, nienaturalnie.

— Toni był przyjacielem Henry'ego. Ja go de znałam. Henry przyprowadził go pewnego dnia do

domu. Toni był ciężko chory. Taki on jest, ten Henry. Nigdy nie spotkałam człowieka tak miłosiernego jak Henry. Dla niego miłosierdzie i ratowanie bliźnich to sprawy najważniejsze w życiu.

Moja matka powiedziała:

— Powiem pani coś, pani Hereira. Szkoda, że pani nie przeszła tego, co ja. Gdyby panią wydano za mąż, kiedy miała pani piętnaście lat, to nie doszłoby do tego wszystkiego.

Ach, te wszystkie bzdury o pani sercu i pani miłości.

Pani Hereira zaczęła płakać.

Moja matka dodała jeszcze:

— Nie powiedziałałam tego, żeby pani płakała. Przepraszam.

Pani Hereira szlochała:

— To nie pani wina, to nie pani wina. Moja matka była zawiedziona.

W milczeniu przyglądaliśmy się płaczącej. Wreszcie pani Hereira rzekła:

— Zostawiłam Tandemu żywność na ty dzień.

Moja matka oświadczyła: — Toni jest dorosły. Nie powinna się pani o niego martwić.

Kiedy Toni odkrył, że opuściła go, narobił straszego szumu. Wył jak pies i darł się jak niemowlę. Potem upił się. Nie tak zwyczajnie. Toni był już bowiem w takim stanie, że tylko rum utrzymywał go przy życiu.

Pies przestał go interesować. Całymi dniami nie dawał mu nic do jedzenia.

Pijany, ledwo trzymając się na nogach i płacząc, Toni szedł od domu do domu szukając pani Hereira. A kiedy wracał, wylewał swoją złość na psie. Często słyszeliśmy, jak pies warczy i skowycze.

W końcu nawet pies miał tego dość. Jakoś udało mu się zerwać ze smyczy i rzucił się na Toniego.

Toni jakby oprzytomniał. Kiedy pies wybiegł z domu, Toni ruszył za nim; pochylił się i zaczął gwizdać. Pies zatrzymał się, nastawił uszu i odwrócił się. Dziwny to był widok: oszalały, pijany człowiek, uśmiechający się i przymilający do swego psa, żeby go nakłonić do powrotu.

Pies stał spokojnie spoglądając na Toniego. Kilka razy ruszył ogonem, potem zastygł w bezruchu. Toni wyprostował się i zaczął zbliżać się do zwierzęcia. Pies odwrócił się i pobiegł przed siebie.

Znaleźliśmy go leżącego w pokoju na materacu. Pokój był zupełnie pusty, nic, tylko materac, butelki po rumie i niedopałki papierosów. Był pijany i spał. A na jego twarzy malował się jakiś dziwny spokój. Jego chude i pomarszczone dłonie wyglądały delikatnie i smutno.

Na drzewie mango ukazała się znowu wywieszka: „Na sprzedaż”. Tym razem dom kupił jakiś człowiek z pięciorgiem małych dzieci.

Od czasu do czasu zjawiał się Toni i straszył nowych lokatorów. Żądał pieniędzy, rumu, no i z maniackim uporem domagał się zwrotu radia. Mówił:

— Zostawiłem wam radio Angeli. Żądam opłaty za radio. To kosztuje dwa dolary miesięcznie. Macie mi zaraz dać dwa dolary.

Nowy lokator był dobrym człowiekiem i strasznie bał się Toniego. Nie wpuszczał go do domu.

Toni zaś patrzył na nas i z uśmiechem mówił:

— Chłopaki, wy wiecie, że Angela miała radio, prawda? A co to gra teraz u tego faceta?

— Powiedzcie, po co tacy jak Toni żyją na tym świecie? — zapytał kiedyś Hat.

Po dwóch, trzech miesiącach Toni przestał pokazywać się na Miguel Street.

Spotkałem go wiele lat później. Jechałem do Arima i niedaleko kamieniołomów w Laventille zobaczyłem, jak prowadzi ciężarówkę. Siedział za kierownicą i palił papierosa.

To wszystko, co pamiętam. To i jego chude ramiona.

A pewnego niedzielnego poranka jadąc do Carenage mijałem willę Christianich. Przez długi czas unikałem tego domu.

Pani Chrdstiani albo, jeśli wolicie, pani Hereira była w szortach. Siedziała w ogrodzie w fotelu i czytała gazetę. Przez otwarte drzwi domu zobaczyłem służącego nakrywającego do obiadu.

W garażu stał nowy duży czarny wóz.



Złota rączka

Mój wuj Bhakcu był fenomenalnym mechanikiem. Odkąd pamiętam, zawsze miał jakiś pojazd mechaniczny. Chyba jednak nie zawsze zgadzał się z koncepcją konstruktora, bo ciągle rozbierał motory na drobne części. Tytus Hoyt twierdził, że Eskimosi mają podobny zwyczaj. Wyczytał to w jakiejś książce geograficznej.

Kiedy próbuję myśleć o Bhakcu, nigdy nie widzę jego twarzy. Widzę jedynie jego stopy wystające spod jakiegoś samochodu. Zawsze mnie to bardzo niepokoiło, bo wydawało mi się, że wóz może zsunąć się z lewarka i przygnieść go.

Pewnego dnia naprawdę tak się stało.

Bhakcu jęknął słabo, tak że dosłyszała go tylko żona.

— Boże! — zawołała i natychmiast zalała się łzami. — Coś się musiało stać! Coś mu się musiało stać!

Pani Bhakcu nigdy nie nazywała męża po imieniu, zawsze mówiła o nim „on”.

Wybiegła na podwórko i zbliżyła się do jęczącego Bhakcu.

— Mężu — szepnęła — co ci jest? Jęknął tym razem trochę głośniej.

— Co mi jest? Do jasnej cholery, nie widzisz, że cały samochód leży mi na dupie?

Pani Bhakcu, jak przystało na dobrą żonę, rozplakała się na nowo. Potem zaczęła bić pięścią w blaszane ogrodzenie.

— Hat! — wołała. — Hat! Niech pan przyjdzie szybko! Cały samochód spadł na niego.

Hat właśnie czyścił oborę. Kiedy usłyszał krzyk pani Bhakcu, zaśmiał się.

— Wie pani, co ja zawsze mówię? Szukasz guza, znajdziesz guza. Ma przecież nowy wóz. Co on tam majstruje?

— Twierdzi, że wał korbowy źle działa.

— Też znalazł miejsce, żeby szukać wału korbowego.

— Hat! — wrzasnął Bhakcu spod wozu. — Jak mnie wyciągniesz stąd, to ci kości porachuję!

— Mężu — rzekła pani Bhakcu — nie stawiaj się tak. Ten człowiek przychodzi tu w najlepszych zamiarach. Chce ci pomóc, a ty go chcesz bić?

Hat udawał tymczasem obrażonego i zawiedzionego’.

— To nic nowego — rzekł. — Spodziewałem się tego. Taką zawsze dostaję zapłatę, jak się mieszam do cudzych spraw. Przykro mi, ale muszę panią zostawić z mężem i wrócić do swojej obory.

— Nie. Hat. Nie wolno się panu obrażać. Niech pan pomyśli, co by to było, gdyby tak na pana spadł nowy samochód.

Hat rzekł: — No dobrze już, dobrze. Pójdę po chłopaków.

Na ulicy rozległ się teraz krzyk Hata:

— Boyee! Errol! Bez odpowiedzi.

— Boyee! Errol!

— Idziemy, Hat!

— Gdzie wy się podziewacie, do jasnej cholery? Myślicie, że już jesteście dorośli, że możecie łązić z rękami w kieszeniach, co? Paliliście papierosy?

— My? Papierosy?

— No to co? Ogłuchliście?

— Tylko Boyee palił.

— To kłamstwo, Hat. Errol palił. Ja tylko stałem i przyglądałem się.

— Policjanta na was trzeba. Ładne z was ziółka. Obaj zasłużyliście na karę.

Chłopcy próbowali się jakoś wyłgać. A Bhakcu wołał spod wozu:

— Hat, zostaw chłopaków w spokoju. Jak im coś zrobisz, to cię zamkną w więzieniu. Dlaczego się ich czepiasz? To dorośli chłopcy.

Na to Hat: — Nie wtrącaj się do nie swoich spraw, bo zostawię cię pod tym wozem, aż zgnijesz.

— Nie denerwuj się — powiedziała pani Bhakcu do męża.

W końcu okazało się, że sprawa nie jest aż tak poważna. Lewarek wprawdzie przesunął się, ale ośka spoczęła na drewnianych klockach, tak że Bhakcu nie mógł się ruszać, ale nic mu się nie stało.

Kiedy wylazł spod wozu, obejrzał dokładnie ubranie. Para spodni koloru khaki i koszulka bez rękawów były sztywne i czarne od smaru.

— Wiesz, teraz naprawdę są brudne — powiedział do żony.

Ona zaś spojrzała na męża z dumą i powiedziała:

— Tak, mężu, masz rację. Teraz są na prawdę brudne.

Bhakcu uśmiechnął się. Hat zaś powiedział:

— Słuchaj, Bhakcu. Mam dość podnoszenia wozów. Posłuchaj mojej rady i wezwij prawdziwego mechanika.

Bhakcu udawał, że nie słyszy.

— Z wałem korbowym wszystko w po rządku — rzekł do żony. — To musi być coś innego.

Pani Bhakcu powiedziała: — No tak, ale musisz przed tym coś zjeść.

Potem spojrzała na Ha ta i rzekła:

— On nic nie je, gdy pracuje przy wozie. Dopiero ja muszę mu o tym przypomnieć.

Na to Hat: — A co mnie to obchodzi. Może mam o tym napisać do gazety?

Chciałem przyglądać się, jak Bhakcu majstruje przy samochodzie tego wieczoru, więc rzekłem do niego:

— Wujaszku, masz naprawdę brudne i za smakowane ubranie. Nie rozumiem, jak ty możesz chodzić w czymś takim.

On zaś odwrócił się do mnie i rzekł z uśmiechem:

— A coś ty myślał, chłopcze? My, mechanicy, nie mamy czasu, żeby zajmować się takimi głupstwami.

— A co jest z wozem, wujaszku? — za pytałem.

Bhakcu nie odpowiadał.

— A może popychacz stuka?

Bhakcu zawsze mnie uczył, że w każdym wozie stuka popychacz. Wystarczyło pokazać mu jakiś samochód, od razu mówił:

— Powiadam ci, popychacz stuka. Słyszysz?

— A może popychacz stuka? — powtórzyłem.

Bhakcu natychmiast zbliżył się do mnie i zapytał z ciekawością:

— Co, naprawdę słyszysz, jak stuka? Zanim jednak zdążyłem odpowiedzieć, że coś tam stuka, przyszła pani Bhakcu i powiedziała: — Chodź, mężu, zjesz coś. O Boże, ale tyś się dzisiaj zasmolił.

Samochód, który zwał się na Bhakcu, nie był nowym wozem, chociaż wuj chwalił się, że to prawie nowy wóz.

— Ma tylko dwieście mil na liczniku — oświadczył.

Hat powiedział: — Wiedziałem, że Trynidad jest mały. Ale nie wiedziałem, że jest aż tak mały.

Pamiętam dzień, kiedy go kupił. Była sobota i tego poranka pani Bhakcu przyszła do mojej matki i rozmawiała o cenach ryżu i mąki i o czarnym rynku. Odchodząc rzekła:

— On poszedł do miasta. Powiedział, że musi kupić nowy samochód.

Czekaliśmy więc na nowy wóz.

Minęło południe, a Bhakcu nie wracał..

Hat rzekł:

— Założę się, że ten facet zajęty jest w tej chwili rozbieraniem motoru.

Około godziny czwartej usłyszeliśmy jakiś stukot i patrząc w dół ulicy, w kierunku doków, ujrzeliśmy samochód. Był to niewielki chevrolet, model z roku 1939. Wyglądał okazale i był jak nowy. Zaczęliśmy machać rękami i wiwatować, a Bhakcu z prawą ręką na kierownicy odpowiadał nam ruchem lewej.

Odprowadzaliśmy samochód do domu Bhakcu tańcząc i wiwatując.

Samochód był już blisko domu, kiedy Hat krzyknął:

— Uciekajcie, chłopcy! Ratuj się, kto może. Ten wehikuł szaleje.

Ledwo uszliśmy z życiem. Samochód minął z ogromną szybkością dom, a my przestaliśmy wiwatować. Hat rzekł:

— On nie panuje nad wozem. Jeśli nie stanie się jakiś cud, to się rozbije.

Pani Bhakcu roześmiała się tylko i powiedziała:

— Me zawracaj głowy.

My zaś pomknęliśmy za wozem, krzyżąc do pana Bhakcu.

Nie machał już do nas ręką, tylko starał się ostrzec ludzi, żeby usunęli się z drogi.

Jakimś cudem samochód zatrzymał się przed Ariapita Avenue. Bhakcu rzekł:

— Naciskałem na hamulec, gdy tylko skręciłem na Miguel Street, ale hamulec nie działa. Dziwna rzecz. Przecież dziś z rana sprawdziłem hamulce.

— Radzę ci, zrób dwie rzeczy. Sprawdź swoją głowę i 'zmykaj stąd, zanim nie zrobisz komuś krzywdy — rzekł Hat.

Na to Bhakcu:

— Chłopaki, będziecie musieli mi pomóc doprowadzić samochód do domu.

Kiedy pchając samochód mijaliśmy dom Morgana, naszego pirotechnika, pani Morgan zawołała:

— Pani Bhakcu! Widzę, że pani mąż ku pił dzisiaj nowy samochód.

Pani Bhakcu słowa te pominęła milczeniem. Ale pani Morgan nie dawała za wygraną:

— Droga pani Bhakcu, jak pani myśli, czy mąż pani weźmie mnie- na przejażdżkę swoim nowym samochodem?

To nie mogło pozostać bez repliki:

— Tak, on weźmie panią na przejażdżkę, ale przedtem pani mąż musi wziąć mnie na przejażdżkę bryczką, gdy ją kupi. Bhakcu rzekł do żony:

— Zamknij się lepiej. A na to ona:

— Dlaczego mam się zamknąć? Jesteś moim mężem i muszę cię bronić.

— Będiesz mnie bronić wtedy, gdy ci każę — rzekł Bhakcu surowo.

Dopchnęliśmy samochód przed dom pana Bhakcu i pozostawiliśmy państwo Bhakcu ich kłótni. Kłótnia była zresztą mało 'interesująca. Pani Bhakcu ciągle utrzymywała, że ma prawo bronić swego męża, a pan Bhakcu kwestionował to prawo. W końcu musiał żonę zbić.

Nie była to wcale taka łatwa rzecz. Pani Bhakcu przypominała dużą gruszkę. Była tak gruba, że gdy brała się pod boki, wyglądała jak beczka. No a jej głosik...

Hat mawiał:

— Gdy ona mówi, ma się wrażenie, jakby płyta gramofonowa obracała się bardzo szybko ko do tyłu.

Wydaje mi się, że przez długi czas Bhakcu próbował bić żonę pasem, ale nie przysięgłbym, czy to nie Hat podsunął mu myśl użycia do tego celu pałki krykietowej. Być może autorstwo tego pomysłu należało do kogoś innego, ale faktem jest, że Bhakcu' nabył od jakiegoś gracza w Queen's Park Oval

używaną pałkę, naoliwił ją i bił nią panią Bhakcu.

Hat mówił:

— To jest chyba jedyna rzecz, którą ona naprawdę czuje.

Najdziwniejsze było jednak to, że pani Bhakcu sama troszczyła się o to, by pałka była zawsze czysta i dobrze naoliwiona. Boyee usiłował wiele razy pożyczyć ją od niej, ale bezskutecznie.

Wieczorem, tego samego dnia, kiedy samochód przygniół Bhakcu, poszedłem do niego, żeby popatrzeć, jak pracuje.

— Mówiłeś, że popychacz stuka, prawda? — zapytał.

— Nic nie mówiłem, pytałem, tylko — odparłem.

— Aha.

Bhakcu pracował do późna w nocy rozbierając motor. Przepracował następny dzień, a była to niedziela, i całą noc z niedzieli na poniedziałek. W poniedziałek rano wezwał mechanika.

Pani Bhakcu powiedziała do mojej matki:

— Firma przysłała mechanika. Ale co to za mechanicy na Trynidadzie. Sami smarka cze, nie mają pojęcia o samochodach.

Poszedłem do domu pana Bhakcu i zobaczyłem mechanika z głową pod maską wozu. Bhakcu siedział na zderzaku, smarując wszystko, co mu podawał mechanik. Kiedy zanurzał palce w smarze, wyglądał na człowieka tak szczęśliwego, że powiedziałem:

— Wuju Bhakcu, pozwól mi też coś po smarować.

— Odejdź, chłopcze, jesteś za mały. Usiadłem i przyglądałem mu się.

— Popychacz stukał, ale już to naprawiłem — rzekł.

— Dobrze — powiedziałem. Mechanik kłął.

Zapytałem Bhakcu: — A co z rozdzielaczem?

— Muszę sprawdzić — odparł.

Wstałem, zlustrowałem samochód i usiadłem na zderzaku obok Bhakcu. Spojrzałem na niego i powiedziałem:

— Wiesz co? — No co?

— Kiedy przysłuchiwałem się pracy silnika w sobotę, wydawało mi się, że niezbyt dobrze pracuje.

Bhakcu rzekł: — Mądry z ciebie chłopak. Szybko się uczysz.

— Bo uczę się od ciebie — odparłem.

Prawdę mówiąc to było wszystko, co wiedziałem o samochodach. Popychacz, który stuka, rozdzielacz, rytm silnika, aha, zapomniałbym o jeszcze jednym.

— Wiesz co, wujaszku!

— No co, chłopcze?

— Myślę, że to karburator.

— Naprawdę tak myślisz, chłopcze?

— Z całą pewnością, wujaszku.

— No więc powiem ci, chłopcze. Od razu zapytałem o to mechanika. Ale on jest innego zdania.

Mechanik odwrócił swoją brudną i zdenerwowaną twarz od motoru i rzekł:

— Jak jakieś nieuki biorą się do majstrowania przy motorze, który biały człowiek zbudował swoimi własnymi rękami, to takie są rezultaty.

Bhakcu mrugnął do mnie okiem.

— *Ja* też myślę, że to karburator.

Ze wszystkich sztuczek z motorem najbardziej lubiłem sztuczkę z karburatorem. Czasem Bhakcu

zapuszczając motor, podczas gdy ja dotykałem karburatora. Nigdy nie powiedział mi, dlaczego to robimy, a ja go nigdy o to nie pytałem. Czasem odciągaliśmy benzynę ze zbiornika; ja wlewałem ją wtedy do karburatora, a Bhakcu zapuszczając motor. Często prosiłem go, żeby mi pozwolił zapuścić motor, ale on się na to nie zgadzał.

Pewnego razu motor zapalił się. Odskokczyłem w ostatniej chwili. Na szczęście ogień nie trwał długo.

Bhakcu wyszedł z wozu i przyglądał się silnikowi ze zdziwieniem. Widać było, że był zmartwiony, i oczekiwałem, że zaraz zabierze się do rozkładania go na drobne części.

Wówczas ostatni raz zrobiliśmy tę sztuczkę z karburatorem.

Wreszcie mechanik wypróbował motor i hamulce i rzekł:

— Niech pan posłucha, co powiem. Samo chód jest teraz w porządku. Włożyłem w nie go tyle roboty, że mógłbym zbudować no wy. Niech go pan zostawi nareszcie w spokoju.

Po odejściu mechanika Bhakcu i ja kilka razy obeszliliśmy wóz przyglądając mu się bacznie. Bhakcu drapał się w brodę i nic do mnie nie mówił.

Nagle wskoczył na siedzenie i kilka razy nacisnął klakson.

— Co myślisz o klaksonie, chłopcze? — zapytał.

— Naciśnij jeszcze raz, wujaszku — powiedziałem.

Bhakcu nie dał się prosić.

Hat wystawił głowę przez okno i wrzasnął:

— Bhakcu, przestań hałasować tym swoim cholernym samochodem. Powiedziałyby kto, że wesele jest na ulicy!

Ale my nie zwracaliśmy na niego uwagi.

— Wujaszku — rzekłem — wydaje mi się, że ten klakson nie trąbi, jak trzeba.

— Co, naprawdę tak myślisz? — zapytał. Skrzywiłem się i splunąłem. Zajęliśmy się więc klaksonem.

Kiedy skończyliśmy, kolumna sterownicza owinięta była kablem. Bhakcu spojrzał na mnie i rzekł:

— Widzisz, mógłbyś teraz dotknąć tym drutem każdej metalowej części wozu i wtedy klakson zacząłby działać.

Wydawało się, że to nieprawdopodobne, ale trąbił.

— Wuju — rzekłem — skąd ty o tym wszystkim wiesz?

— Trzeba się uczyć całe życie — odparł.

Ludzie z naszej ulicy nie lubili Bhakcu, bo się naprzykrzał. Ale ja lubiłem go z tych samych powodów, dla których lubiłem Popo, stolarza. Kiedy zastanawiam się nad tym teraz, dochodzę do wniosku, że Bhakcu był również artystą. On majstrował przy motorach, bo dawało mu to zadowolenie, i nigdy nie martwił się o pieniądze.

Martwiła się natomiast o nie jego żona. Podobnie jak moja matka, była ona zdania, że urodziła się, by zdobywać pieniądze, że przysła na świat z magiczną zdolnością wyczarowywania pieniędzy z niczego.

Pewnego dnia rozmawiała na ten temat z moją matką. Moja matka powiedziała:

— Na taksówkach zarabia się teraz dużo pieniędzy. Wozi się Amerykanów i ich dziewczynki po całej wyspie.

Pani Bhakcu skłoniła więc męża, żeby kupił ciężarówkę.

Ta ciężarówka była prawdziwą dumą całej Miguel Street. Był to nowy duży bedford i wszyscy wylegliśmy na dwór, żeby powitać Bhakcu, kiedy po raz pierwszy przyprowadził wóz do domu. Nawet

Hat był pod dużym wrażeniem.

— Tak, Anglicy potrafią robić ciężarówki — stwierdził. — To zupełnie co innego niż te fordys czy dodge'e.

Bhakcu zaczął majstrować przy niej tego samego popołudnia, a pani Bhakcu chodziła po sąsiadach i mówiła:

— A może byście przyszli popatrzeć, jak on pracuje przy bedfordzie?

Od czasu do czasu Bhakcu wyłaził spod wozu i wycierał maskę i błotniki. Potem znów włąził pod wóz. Ale nie wyglądał na człowieka zadowolonego.

Następnego dnia ludzie, którzy pożyczyli mu pieniądze na kupno bedforda, wybrali delegację. Delegacja ta udała się do domu Bhakcu i prosiła, żeby przestał majstrować.

Przez cały czas Bhakcu leżał pod wozem i nie chciał nawet z nimi rozmawiać. Wierzyście zaczęli się denerwować, a znajdujące się w ich gronie kobiety zaczęły płakać. Ale nawet i to nie wzruszyło Bhakcu, i w końcu delegacja odeszła z niczym.

Wtedy Bhakcu ulżył sobie, zwalając wszystko na żonę. Bił ją i mówił:

— To ty chciałaś, żebym kupił ciężarówkę. Tak, ty. Ty tylko myślisz o pieniądzach. Tak jak twoja matka.

Prawdziwa przyczyna jego złości była jednak inna. Po prostu nie był w stanie złożyć z powrotem silnika. Pozostały mu jakieś dwie czy trzy części i to nie dawało mu spokoju.

Firma przysłała mechanika.

Mechanik obejrzał ciężarówkę i bardzo spokojnie zapytał Bhakcu:

— Dlaczego kupił pan bedforda?

— Bo podobają mi się bedfordy — odparł Bhakcu.

Wtedy mechanik wrzasnął:

— Dlaczego, do jasnej cholery, nie kupił pan rolls-royce'a? U nich przynajmniej silnik jest zapieczętowany.

Potem zabrał się do pracy mówiąc ze smutkiem:

— Płakać się chce. Taki piękny nowy wóz. Starter już nigdy więcej nie działał. Bhakcu musiał zawsze używać korby. Hat rzekł:

— To prawdziwa hańba. Nowa ciężarówka, wszystko jest jak nowe, a ten bałwan zapuszcza motor korbą, jakby to był jakiś stary grat.

Ale pani Bhakcu mówiła:

— Korba, nie korba, ale motor pracuje. Pewnego poranka, a była to sobota, dzień targowy, pani Bhakcu przybiegła z płaczem do mojej matki.

— On jest w szpitalu — rzekła.

— Co, miał wypadek? — zapytała moja-matka.

Pani Bhakcu powiedziała:

— Chciał zapuścić motor korbą. Samochód stał przed targiem. Zakręcił i motor zaczął działać. Ale bieg był włączony, samochód ruszył i przygniół go do innej ciężarówki.

Bhakcu spędził tydzień w szpitalu.

Przez cały czas, kiedy jeździł ciężarówką, Bhakcu nienawidził swej żony i bił ją pałką krykietową. Ona odplacała mu się pięknym za nadobne, ale jej bronią był język. Wydaje mi się, że w walce tej ona była górą.

Niełatwo było wprowadzić ciężarówkę na podwórko i do obowiązków pani Bhakcu należało dyrygowanie ruchami swego męża. Obowiązki te spełniała z dużą satysfakcją. Pewnego dnia powiedziała:

— Dobra jest, dawaj do tyłu, a potem trochę w prawo. Tak, tak, wszystko w porządku. Oh, Boże. Nie tak, człowieku. Hamuj, bo zwalisz cały płot.

W Bhakcu jakby wstąpił szatan. Nacisnął na gaz z taką siłą, że uderzył w płot. Potem ruszył do przodu i nie zważając na krzyki żony dał znów do tyłu zwalając płot doszczętnie.

Ogarnął go straszliwy gniew i podczas gdy pani Bhakcu została na dworze płacząc, on poszedł do swego małego pokoju, rozebrał się, rzucił na łóżko i zaczął czytać „Ramajanę”.

Ciężarówka nie była dobrym interesem. Żeby można było coś zarobić, Bhakcu musiał mieć pomocników do ładowania. Znalazł takich dwóch w 'Osobach potężnych Murzynów z Grenady, którzy w tym okresie zaczęli osiedlać się w Port of Spain. Do „Bhakcu zwracali się per „boss”, a do pani Bhakcu per „madam”, i to było bardzo przyjemne. Ale kiedy patrzyłem na tych dwóch dryblasów rozwalonych w ciężarówce, w tych ich podartych, brudnych ubraniach i pomiętych kapeluszach, zadawałem sobie pytanie, czy oni wiedzą, ile kłopotu sprawiają i jak niepewna jest ich własna pozycja.

Pani Bhakcu rozprawiała teraz wyłącznie o tych dwóch facetach.

Czasem mówiła do mojej matki ze smutkiem:

— Pojutrze musimy zapłacić pomocnikom. — A dwa dni później mówiła takim głosem, jak gdyby zbliżał się koniec świata: — Dzisiaj musimy zapłacić pomocnikom.

Przez jakieś cztery miesiące nie mówiło się o niczym innym, tylko o tym, że trzeba zapłacić pomocnikom. Słowa te znała cała ulica i stały się własnością ogółu. Boyee mawiał do Errola w sobotę:

— Chodź, pójdziemy do kina na pierwszą trzydzieści.

A Errol wywracał podszewkę swoich kieszeni i mówił:

— Nie mogę, człowieku. Muszę zapłacić pomocnikom.

Hat mówił:

— Wygląda na to, że Bhakcu kupił tę cię żarówkę tylko po to, by opłacać pomocników.

W końcu Bhakcu pozbył się ciężarówki i pomocników. Nie wierni, co się z nimi stało. Pani Bhakcu sprzedała ciężarówkę właśnie wtedy, kiedy na ciężarówkach zaczęto robić dobre interesy. Kupili taksówkę. Ale teraz konkurencja była ostra, taksówki robiły kursy ośmiomilowe za dwanaście centów, które starczały tylko na pokrycie kosztów benzyny i oleju. Pani Bhakcu powiedziała do mojej matki:

— Taksówki to żaden interes.

Kupiła więc drugą taksówkę i zatrudniła szofera.

— Dwie lepsze niż jedna — mówiła pani Bhakcu.

Bhakcu zajęty był coraz bardziej lekturą „Ramajany”. Nawet to drażniło ludzi z Miguel Street.

Hat mówił:

— Słuchajcie ich teraz. Ona z tym swoim tubalnym głosem, a on z tym cholernym hinduskim zawodzeniem.

Wyobraźcie sobie następującą scenkę. Pani Bhakcu, mała, gruba, stoi przy studni na podwórku i wrzeszczy na swego męża. On, ubrany w spodnie, leży na brzuchu na łóżku i śpiewa płaczącym głosem wersety „Ramajany”. Nagle on zrywa się z łóżka i chwyta za pałkę krykietową leżącą w kącie pokoju. Wybiega na podwórko i zaczyna bić panią Bhakcu.

Cisza, która następuje potem, nie trwa dłużej niż kilka minut.

Potem znów rozlega się głos, głos Bhakcu czytającego „Ramajanę”.

Ale niech wam się nie zdaje, że pani Bhakcu przestała być dumna ze swego męża. Wystarczyło posłuchać kłótni między nią a panią Morgan, żeby uświadomić sobie, że Bhakcu jest i pozostanie jej panem i władcą.

Pani Morgan powiedziała:

— Słyszałam, jak pani mąż mówił wczoraj w nocy przez sen.

— On nie mówił, on śpiewał — oświadczyła pani Bhakcu.

— Co takiego, śpiewał? Ha! ha! ha! ha! ha! Wie pani co, pani Bhakcu?

— No co?

— Gdyby pani mąż zarabiał na życie śpiewem, szybko byście umarli z głodu.

— A ja powiem pani, że on umie więcej niż te wszystkie nieuki z tej ulicy. On umie czytać i pisać. Po angielsku i hindi. Pani oczywiście nie ma pojęcia, że „Ramajana” to święta księga. Gdyby pani mogła zrozumieć to, co on śpiewa, to nie wygadywałaby pani takich głupstw.

— A jak się czuje parni mąż dzisiaj? Czy zmajstrował ostatnio jakieś nowe samochody?

— Nie będę sobie strzępiła języka na kłótniach z panią. Powiem pani tylko, że on umie naprawić samochód. Szkoda, że nikt jeszcze nie nauczył pani męża, jak ma robić te swoje sztuczne ognie.

Pani Bhakcu chwaliła się, że Bhakcu potrafi przeczytać całą „Ramajanę” dwa lub trzy razy w miesiącu.

— Są partie, które zna na pamięć — mówiła.

Ale stanowiło to słabą pociechę, bo z pieniędzmi było krucho. Szofer, którego pani Bhakcu wynajęła na drugą taksówkę, udawał wariata.

Pani Bhakcu mówiła:

— On nas okrada, ten złodziej. Powiada, że taksówka daje tak małe dochody, że ja mu jestem winna pieniądze.

Wyrzuciła szofera i sprzedała taksówkę.

Teraz wzięła się do innych interesów. Zaczęła hodować drób. Ale to się też skończyło niepowodzeniem, bo połowę kur skradziono, resztę zjadły uliczne psy, nie mówiąc już o tym, że Bhakcu w ogóle nie znosił zapachu kur. Potem zaczęła sprzedawać banany i pomarańcze, ale robiła to bardziej dla własnej przyjemności niż dla nędznych zarobków, jakie ten interes przynosił. Moja matka mówiła:

— Dlaczego ten Bhakcu nie weźmie się do jakiej uczciwej roboty?

Na to pani Bhakcu:

— Jak pani to sobie wyobraża? Czy on mógłby pracować z tymi chamami z Port of Spain?

Moja matka powiedziała:

— Każdy musi coś robić. Nikt nie płaci za to, żeby patrzeć, jak ktoś włazi pod samochód albo słuchać wersetów z „Ramajany”.

Pani Bhakcu kiwała głową i była bardzo smutna.

Matka powiedziała:

— Ale po co ja to w ogóle mówię. Czy pani jest pewna, że on naprawdę umie na pamięć „Ramajanę”?

— Z całą pewnością.

— No to dobrze. On jest braminem, umie „Ramajanę” i ma samochód. A więc mógłby z łatwością zostać punditem, prawdziwym punditem — stwierdziła moja matka.

Pani Bhakcu aż podskoczyła z radości.

— Och! To wspaniały pomysł! — zawołała. — Hinduski pundit może teraz zarobić dużo pieniędzy.

I w ten sposób Bhakcu został punditem.

Wciąż jeszcze majstrował przy swoim samochodzie. Wprawdzie musiał przestać bić panią Bhakcu pałką krykietową, ale był szczęśliwy.

Ciągle prześladowała mnie myśl o pundicie Bhakcu ubranym w dhotd, który włazi, pod samochód, żeby sprawdzić wał korbowy, podczas gdy biedni Hindusi czekają, żeby się zajął sprawami

ich duszy.



Ostrożność

Dopiero w roku 1947 Bolo uwierzył, że wojna się skończyła. Przedtem mawiał:

— To tylko propaganda. Kupa kłamstw, żeby tumanić czarnych ludzi.

W roku 1947 Amerykanie zaczęli zwijać swój obóz w George V Park i to zasmuciło wiele ludzi.

Pewnej niedzieli poszedłem do Bolo. Gdy zaczął mnie strzyc, powiedział:

— Słyszałem, że wojna się skończyła.

— Ja też o tym słyszałem — przyznałem — ale wciąż jeszcze nie mam pewności.

— Wiem, co masz na myśli — rzekł Bolo. — Ci ludzie znają się dobrze na propagandzie. Ale ja patrzę na to w ten sposób. Gdyby jeszcze toczyły się walki, to oni nie zwijaliby obozu.

— Ale oni właśnie likwidują obóz — zauważyłem.

— No właśnie — powiedział Bolo. — Jeśli dodasz dwa i dwa, to co otrzymasz? No powiedz, jaki otrzymasz wynik?

— Cztery — odparłem.

Bolo zamyślił się i przez kilka minut strzygł mnie w milczeniu. Wreszcie rzekł:

— Jestem zadowolony, że wojna się już skończyła.

Kiedy zapłaciłem mu za strzyżenie, powiedziałem:

— Co powinniśmy, pańskim zdaniem, te raz zrobić? Czy nie uważa pan, że powinniśmy to jakoś uczcić?

A on na to:

— Daj mi trochę czasu. Potrzeba mi cza su. To ważna sprawa. Muszę się nad tym za stanowić.

I na tym się skończyło.

Pamiętam tę noc, kiedy wieść o pokoju dotarła do Port of Spain. Ludzie po prostu szaleli z radości, na ulicy zapanowała atmosfera karnawału. Nie wiadomo skąd pojawiło się nowe calypso i wszyscy tańczyli na ulicy w jego rytm.

Po całym dniu i całej nocy Maria Anna
Nad rzeką przestała być panną.

Bolo długo patrzył na tańczących i rzekł:

— Co za głupota! Co za głupota! Jak czarni ludzie mogą być tak głupi?

— Ależ panie Bolo — powiedziałem — nie słyszał pan, że wojna się skończyła?

Bolo splunął:

— Skąd możesz wiedzieć? Przecież nie brałeś udziału w wojnie!

— Ale mówiono w radiu i czytałem w gazetach — odparłem.

Bolo roześmiał się:

— Pomyślałby kto, że jesteś jeszcze zupełny smarkacz. Taki duży i wierzy we wszystko, co piszą w gazetach.

Tę śpiewkę słyszałem już przedtem. Bolo miał sześćdziesiąt lat i jedyną prawdą, jaką odkrył w swym życiu, było to, że nie należy wierzyć wszystkiemu, co się czyta w gazetach. To stanowiło jego całą filozofię życiową i wcale nie było mu z nią dobrze. Był to najbardziej ponury człowiek na całej ulicy.

Chyba taki już się urodził. Jestem pewien, że nigdy nie widziałem, by się śmiał, a przecież przez jedenaście lat widywałem go co najmniej raz w tygodniu. Bolo był wysoki, ale nie był chudy, a jego

twarz była jakby ucieleśnieniem smutku — linie warg i brwi opadały w dół, oczy miał wielkie i pozbawione wyrazu.

Nie mogłem pojąć, z czego Bolo żyje, kiedy przestał się zajmować fryzjerstwem. Myślę, że gdyby przeprowadzono spis ludności, figurowałby w nim jako woźnica. Posiadał bowiem najmniejszy wózek, jaki kiedykolwiek widziałem.

Była to mała skrzynka na dwóch kółkach, którą pchał swoim dużym cielskiem z taką rezygnacją i obojętnością, że zadawałeś sobie pytanie, po co on to w ogóle robi. Ładunek nigdy nie przekraczał dwóch, trzech worków mąki lub cukru.

W niedzielę Bolo brał brzytwę i nożyczki do ręki i jeśli coś napawało go dumą, to właśnie fryzjerstwo. Bolo często pytał mnie:

— Czy znasz Samuela?

Samuel był najbardziej wziętym fryzjerem w całej okolicy. Wiodło mu się tak dobrze/że mógł sobie pozwolić na tygodniowy urlop każdego roku, i chciał, żeby wszyscy o tym wiedzieli.

— Znam Samuela — odparłem — ale nie lubię, jak dotyka moich włosów. On nie umie strzyc. Psuje mi tylko fryzurę.

— A czy ty wiesz, kto nauczył Samuela fryzjerstwa? No kto, wiesz? — pytał Bolo.

Zaprzeczałem ruchem głowy.

— Ja. Ja uczyłem Samuela. Kiedy zaczynał w swoim zawodzie, nie umiał się nawet ogolić. Przychodził tutaj i błagał: „Panie Bolo” niech mnie pan nauczysz strzyc ludzi”. Nauczyłem go i patrz, co się dzieje. Samuel jest bogaty, a ja wciąż mieszkam w tym jednym pokoju w tym zrujnowanym domu. Samuel ma specjalny pokój, gdzie strzyże, a ja muszę strzyc na dworze, pod drzewem mango.

— Ale tu jest przyjemnie — mówiłem — dużo przyjemniej niż siedzieć w nagrzanym pokoju. Panie Bolo, niech mi pan powie, dlaczego pan strzyże włosy tylko dorywczo.

— Ho, ho, chłopcze, zadałeś mi bardzo poważne pytanie. Widzisz, nie mam do siebie zaufania.

— To nieprawda. Pan bardzo dobrze strzyże, lepiej niż Samuel.

— Nie o to chodzi, chłopcze. Kiedy masz przed sobą na krześle faceta, którego nie lubisz, i trzymasz brzytwę w ręce, mogą się zdarzyć różne dziwne rzeczy. Teraz* już strzygę włosy tylko tym ludziom, których lubię. Nie mogę strzyc każdego.

Wprawdzie w roku 1945 Bolo nie wierzył, że wojna się skończyła, ale w roku 1939 był strasznym panikarzem. Kupował wtedy wszystkie trzy wychodzące w Port of Spain gazety: „Trinidad Guardian”, „Port of Spain Gazette” i „Eyening News”. Potem, kiedy wojna wybuchła, a „Evening News” zaczęła wydawać dodatki nadzwyczajne, Bolo kupował je także.

Były to czasy, kiedy Bolo mawiał:

— Dużo jest takich ludzi, co to myślą, że mogą pomiatać innymi. Oni myślą, że nic nie wiemy, bo jesteśmy biedni. Ale ja nie jestem taki. Codziennie siadam i czytam dokładnie wszystkie gazety.

Bolo interesował się szczególnie „Guardianem”. Bywało, że kupował dwadzieścia egzemplarzy „Guardiana” dziennie.

„Guardian” ogłaszał codziennie konkurs pod nazwą „Szukamy piłki”. Gazeta drukowała jakies zdjęcie z meczu piłki nożnej, usuwając z niego piłkę. Jeśli się trafnie odgadło pozycję piłki i oznaczyło odpowiednie miejsce literą X, można było wygrać kupę pieniędzy.

Szukanie piłki stało się pasją Bola.

Z początku zadowalał się wysyłaniem jednego rozwiązania tygodniowo. Wszyscy przeżywalismy z nim wielkie cotygodniowe emocje.

Hat mawiał: — Założę się z tobą, Bolo, że zapomnisz o nas, jak wygrasz tę całą forszę. Wyprowadzisz się z Miguel Street i kupisz sobie duży dom na St Clair.

A Bolo na to: — Nie. Nie chcę żyć na Trynidadzie. Chyba wyjadę do Stanów Zjednoczonych.

Potem zaczął stawiać dwie litery X, potem trzy, cztery, sześć. Nigdy nie wygrał centa. Chodził ciągle podenerwowany.

— Powiadam wam, to zwykła granda — mawiał. — Ci faceci z gazety wiedzą z góry, kto wygra. Chodzi im tylko o to, by wyciągnąć pieniądze od biednych czarnych ludzi.

Hat mówił: — Bolo, nie powinieneś się zniechęcać. Musisz grać jeszcze ostrzej!

Bolo kupował papier kratkowany i nakładał go na fotografię. Tam gdzie linie się przecinały, stawiał X. Ta metoda zmuszała go do kupowania od 100 do 150 egzemplarzy „Guardiana” tygodniowo.

Czasem wzywał mnie, Errola i Boyee i mówił:

— Powiedzcie mi, chłopcy, gdzie jest, waszym zdaniem, brakująca piłka. Słuchajcie, chłopcy, chcę, żebyście zamknęli oczy i zrobili znak tym ołówkiem.

Czasem znów pytał nas:

— Chłopcy, co wam się śniło w tym tygodniu?

Kiedy odpowiadałeś, że nic ci się nie śniło, Bolo był bardzo zawiedziony. Ja na ogół zmyślałem różne sny, które Bolo potem próbował wykorzystać, szukając rozwiązania tej zagadki.

Ludzie zaczęli nazywać Bola „Brakującą piłką”.

Hat mawiał: — Spójrzcie na tego faceta z brakującą piłką.

Pewnego dnia Bolo poszedł do redakcji „Guardiana” i pobił jakiegoś redaktora, zanim nadjechała policja. W sądzie Bolo oświadczył:

— Tam nie ma żadnej brakującej piłki. Tam w ogóle ‘nigdy nie było piłki.

Skazano go na zapłacenie grzywny w wysokości dwudziestu pięciu dolarów.

A w „Gazette” ukazał się artykuł pod następującym tytułem:

SPRAWA BRAKUJĄCEJ PIŁKI

RZUT KARNY ZA FAUL

Bolo wydał w sumie jakieś trzysta dolarów na poszukiwanie brakującej piłki i nawet nie dano mu nagrody pocieszenia.

Niedługo po wyroku sądowym Bolo przestał uprawiać fryzjerstwo zawodowo i przestał czytać „Guardiana”.

Podczas wojny w Port of Spain odczuwało się straszliwy brak mieszkań i w roku 1942 znalazł się jakiś filantrop, który chciał pomóc bezdomnym. Jego plan polegał na założeniu spółdzielni mieszkaniowej. Ci, którzy chcieli zostać jej członkami, musieli wpłacić dwieście dolarów i mieli po roku otrzymać za pół darmo nowe mieszkania. Planowi temu patronowały różne ważne osobistości i wydano niejednego bankiet, by uczcić tak świetny pomysł.

Szumu było strasznie dużo. Zbudowano pięć czy sześć domów, które przekazano kilku uczestnikom bankietów. W gazetach ukazały się zdjęcia ludzi wkładających klucz do zamków i przekraczających progi nowych mieszkań.

Bolo oglądał zdjęcia i tak przejął się ogłoszeniami z „Gazette”, że wpłacił dwieście dolarów.

W roku 1943 ulotnił się dyrektor spółdzielni mieszkaniowej, a wraz z nim prysło marzenie o nowych mieszkaniach.

Bolo przestał czytać „Gazette”.

Pewnej niedzieli tego samego roku Bolo złożył nam następujące oświadczenie. Siedzieliśmy właśnie pod drzewem mango czekając, żeby nas ostrzygł.

— Mam wam coś do powiedzenia — rzekł. — Zaklinam się na Boga, jeśli nie dotrzymam słowa, to niech oslepnę. Słyszycie? Przystaję czytać gazety. Nawet gdybym się nauczył po chińsku, to nie będę czytał chińskich gazet. Nie można wierzyć niczemu, co się czyta w gazetach.

W momencie składania tego oświadczenia Bolo strzygł Hata, ale Hat zerwał się z krzesła i uciekł. — Wiecie, co myślę, chłopaki? — rzekł później Hat. — Będziemy musieli zrezygnować ze strzyżenia się u Bola. Ja się naprawdę boję tego faceta.

Nie musieliśmy długo zastanawiać się nad sugestią Hata, bo kilka dni później zjawił się u nas Bolo i rzekł:

— Przychodzę do was, bo widzimy się po raz ostatni.

Miał tak smutną minę, że myślałem, iż się rozpłacze. Hat zapytał:

— A co masz zamiar robić?

— Wyjeżdżam z tej wyspy na dobre. Tu są sami oszuści.

Eddoes zapytał:

— Bolo, czy zabierasz ze sobą wózek?

— Nie — odparł Bolo. — Ale dlaczego pytasz? Podoba ci się?

— Tak — powiedział Eddoes. — To zupełnie porządny wózek.

Bolo rzekł: — Eddoes, możesz sobie wziąć mój wózek.

— Dokąd wyjeżdżasz? — zapytał Hat.

— Dowiesz się — odparł Bolo. To powiedziawszy opuścił nas.

— Ja myślę, że Bolo zwariował — zauważył Eddoes.

Hat rzekł:

— Nie, on jedzie do Wenezueli. I dlatego nikomu nic nie mówi. Policja w Wenezueli nie lubi przyjezdnych z Trynidadu.

— Bolo to porządny człowiek — oświadczył Eddoes. — Bardzo żałuję, że wyjeżdża. Wiecie co, znam takich, którzy byliby bardzo szczęśliwi, gdyby dostali wózek Bola.

Tego samego wieczoru poszliśmy do pokoju Bola i zabraliśmy stamtąd wszystko, co się mogło jeszcze do czegoś przydać. Nie było tego dużo. Było nam wszystkim bardzo, smutno.

Hat rzekł: — Ten biedny Bolo miał tutaj naprawdę ciężkie życie. Nie dziwię się wcale, że wyjechał.

Eddoes przyjrzał się pokoikowi z praktycznego punktu widzenia.

— Chłopaki — rzekł — przecież Bolo za brał ze sobą wszystko.

Następnego popołudnia Eddoes oświadczył nam, że dostał dwa dolary za wózek.

Hat rzekł: — Ty, Eddoes, nie tracisz czasu.

I wtedy zobaczyliśmy, że Bolo chodzi po Miguel Street.

Hat rzekł: — Eddoes, źle z tobą.

— On mi go podarował. Ja go nie ukradłem — powiedział Eddoes.

Bola był jeszcze smutniejszy i jeszcze bardziej zmęczony niż zwykle.

Hat zapytał: — Bolo, co się stało? Jesteś prawdziwym rekordzistą. Nie wmówisz mi, że zdążyłeś być w Wenezueli i wrócić!

A na to Bolo: — Co> za ludzie żyją na tym Trynidadzie! Co za ludzie! Nie rozumiem, dlaczego Hitler nie przyjeżdża tutaj, żeby zbombardować tych skurwysynów, co mieszkają na tej wyspie. Powiadam wam, on bombarduje nie tych, co trzeba.

— Usiądź i opowiedz nam o wszystkim — prosił Hat.

Bolo rzekł:

— Później. Tymczasem muszę coś załatwić. Eddoes, gdzie jest mój wózek? Hat zaśmiał się.

— Ty się śmiejesz, ale ja nie mam ochoty na żarty — rzekł Bolo. — Gdzie jest mój wózek, Eddoes? Coś ty zrobił z moim wózkiem?

— Z twoim wózkiem, Bolo? — rzekł Eddoes. — Przecież dałeś mi go.

— Chcę, żebyś mi go zwrócił — powiedział Bolo.

— Sprzedałem go, Bolo. Patrz, dostałem za niego dwa dolary.

— Nie tracisz czasu — stwierdził Bolo. Eddoes chciał wstać.

— Eddoes, proszę cię o jedno. Nie przychodź do mnie strzyc się. Ja sobie nie ufam. A teraz idź odkupić wózek — powiedział Bolo.

Eddoes oddalił się mrużąc:

— Co za dziwny świat. Są ludzie, którym wydaje się, że nie ma nic lepszego jak ich mały wózek. A porównać to z moim wozem.

Bolo rzekł:

— Kiedy złapię tego złodzieja, który wziął pieniądze i przyrzekł przewieźć mnie do Wenezueli, to ja mu pokażę. Czy wiecie, co on zrobił? Przez całą noc jechaliśmy motorówką, po czym wysadził mnie gdzieś na bagnach mówiąc, że to Wenezuela. Widzę jakichś ludzi i zaczynam do nich po hiszpańsku, a oni kiwają głowami i śmieją się. Już wiecie, co się stało. Ten bandyta wysadził mnie na Trynidadzie o jakieś trzy mile od La Brea.

Hat rzekł: — Bolo, nie masz pojęcia, jaki szczęściarz z ciebie. Mogłeś trafić na faceta, który by cię zabił i wrzucił do morza. Oni nie chcą kłopotów z policją wenezuelską. Wiesz przecież, że nie wolno przyjeżdżać nielegalnie do Wenezueli.

Odtąd widywaliśmy Bola bardzo rzadko. Eddoesowi udało się odkupić wózek i prosił mnie, żebym go oddał Bólowi.

— Widzisz, dlaczego czarnym ludziom nie wiedzie się na tym świecie? — rzekł Eddoes. — Byłeś przy tym, jak on mi podarował ten wózek. A teraz odbiera. Oddaj mu go i powiedz, że może iść do diabła.

— Eddoes bardzo cię przeprosza i odsyła ci wózek — powiedziałem Bólowi.

A on na to: — Widzisz teraz, jacy są czarni ludzie. Oni by tylko brali, a nie chcą nic dawać. Dlatego im się nie wiedzie.

— Panie Bolo — rzekłem — ja też coś zabrałem od pana i chcę to zwrócić. Chodzi o szmatę. Dałem ją matce, ale ona mówi, żebym panu zwrócił.

Bolo rzekł: — W porządku, chłopcze, Ale powiedz mi, kto cię strzygł ostatnio? Wyglądasz jak czupiradło.

— Strzygł mnie Samuel — odparłem. — Ale on nie ma pojęcia o strzyżeniu. Widzi pan, co' on zrobił z mojej głowy.

— Przyjdź w niedzielę. Ostrzygę cię. Zauważył, że się waham.

— Boisz się? — zapytał. — Nie bądź głupi. Ja cię lubię.

Poszedłem do niego w niedzielę. Bolo zapytał:

— Jak ci idą lekcje? Nie chciałem się chwalić.

— Chciałbym, żebyś coś dla mnie zrobił — powiedział. — Ale nie jestem pewny, czy mogę cię o to prosić.

— Niech pan powie, o co chodzi — rzekłem. — Dla pana wszystko zrobię.

— No dobrze. Powiem ci, jak przyjdiesz następnym razem.

Po miesiącu znowu przyszedłem do niego i Bolo zapytał:

— Umiesz czytać? Zapewniłem go, że tak.

— Robię coś, o czym nikt nie wie. Czy po trafisz dochować tajemnicy? — zapytał.

— Tak, potrafię strzec tajemnicy — odparłem.

— Takiego starego człowieka jak mnie już niewiele trzyma przy życiu — rzekł. — A taki stary człowiek jak ja, żyjący samotnie, powinien mieć jakiś cel w życiu. I dla tego robię to, o czym ci zaraz powiem.

— Co to takiego, panie Bolo? Przerwał strzyżenie i wyciągnął z kieszeni spodni jakiś zadrukowany kawałek papieru.

— Wiesz, co to takiego? — zapytał.

— To jest los na loterię.

— Tak, zgadza się. Od razu widać, żeś nie-głupi. To jest los na loterię.

— Ale na co ja się mogę przydać, panie Bolo? — zapytałem.

— Przede wszystkim nie wolno ci o tym nikomu mówić.

Dałem słowo, że będę milczał jak grób.

— Chcę, żebyś sprawdził, czy mój numer wygrał — rzekł.

Ciągnienie odbyło się sześć tygodni później. Sprawdziłem listę i powiedziałem: — Panie Bolo, pański numer nie wygrał. Me wyglądał na zawiedzionego:

— Tylko tego mogłem się spodziewać — oświadczył.

Przez prawie trzy lata ukrywaliśmy nasz sekret. Bolo kupował losy i nigdy nic nie wygrywał. Nikt o tym nie wiedział i nawet kiedy Hat lub ktoś inny mówił: „Bolo, jest coś, co powinieś wypróbować. Dlaczego nie grasz na loterii?” — Bolo odpowiadał: „Człowieku, ja już wyrosłem z tych rzeczy”.

W roku 1948 na Boże Narodzenie odbyło się ciągnienie i numer Bola wygrał. Nie było tego wiele, jakieś trzysta dolarów.

Pobiegłem do niego i powiedziałem:

— Panie Bolo, pański numer wygrał. Bolo zareagował zupełnie inaczej, niż się spodziewałem.

— Słuchaj, chłopcze — rzekł — nosisz już długie portki, ale nie denerwuj mnie, bo ci kości porachuję.

— Ale pan naprawdę wygrał! — zawołałem.

— A skąd wiesz, że mój numer wygrał? — zapytał.

— Bo przeczytałem w gazecie.

Te słowa wprowadziły go we wściekłość. Chwycił mnie za kołnierz i wrzasnął:

— Ile razy mam ci mówić, ty skurwysynu, że nie można wierzyć wszystkiemu, co się czyta w gazetach?

Poszedłem i sprawdziłem w dyrekcji loterii.

Próbowałem przekonać Bola, że to prawda, ale on mi nie wierzył.

— Tu, na Trynidadzie, ludzie tylko potrafią kłamać. Ciebie mogą nabrać, ale nie mnie.

Powiedziałem do chłopców na ulicy: — Bolo zwariował. Wygrał trzysta dolarów i nie chce w to uwierzyć.

Pewnego dnia Boyee powiedział do Bola:

— No i co, wygrał pan na loterii. Bolo zaczął gonić Boyee wrzeszcząc:

— Durnia chcesz zrobić ze mnie, co? Mógłbym być twoim dziadkiem.

Kiedy Bolo spotkał mnie, rzekł:

— To tak się strzeże tajemnicy? Co to za ludzie na tym Trynidadzie.

Pchając swój wózek podszedł pod dcm Eddoesa i zawołał:

— Eddoes, chcesz wózek? Bierz go sobie. I zaczął rozbijać wózek siekierą. A do mnie krzyczał:

— Wydaje wam się, że można mnie nabrać.

Wyciągnął z kieszeni los i podarł go. Potem wepchnął mi jego resztki do kieszeni koszuli.

Odtąd żył samotnie w swoim małym pokoju. Rzadko wychodził na ulicę i nigdy z nikim nie rozmawiał. Raz w miesiącu szedł odebrać swoją starczą rentę.



Edward i Amerykanie

Edward, brat Hata, był człowiekiem o złożonym charakterze, a mnie zawsze smutkiem napawała myśl, że oddalił się on od nas. Kiedy go poznałem, często pomagał Hatowi przy krowach i — jak Hat — był raczej zadowolony z życia. Mówił, że przestał uganiać się za kobietami i interesował się wyłącznie takimi sprawami jak krykiet, piłka nożna, boks, wyścigi konne i walki kogutów. Dzięki temu nigdy się nie nudził, a brak wielkich ambicji strzegł go przed gorzkimi rozczarowaniami.

Podobnie jak Hat Edward bardzo cenił piękno. Ale Edward nie zbierał — jak Hat — ptaków o wspaniałych piórach. Edward malował.

Jego ulubionym tematem była czarna dłoń ściskająca brązową dłoń. A gdy Edward malował brązową dłoń, to była to naprawdę brązowa dłoń. Nie mogło być mowy o żadnych tam światłach i cieniach. Poza tym morze było zawsze niebieskie, a góry zawsze zielone.

Edward sam oprawiał swoje obrazy, a ich ramy miały zawsze kolor czerwony. Wielkie domy towarowe, takie jak Salvatori, Fogarty i Johnson, przyjmowały jego twórczość w komis.

Ale dla ludzi z Miguel Street pomysły Edwarda były powodem nieustannych kłopotów.

Na przykład razu pewnego zauważywszy panią Morgan w nowej sukni powiedział.

— Jaką piękną suknię ma pani na sobie, droga pani Morgan. Ale mnie się wydaje, że brak jej jakiejś ozdoby.

Innym razem zauważywszy Eddoesa w nowej koszuli rzekł:

— Człowieku, widzę, że masz nową koszulę. Napisz na niej lepiej swoje imię, bo inaczej ktoś ci ją ‘kiedy świśnie. Wiesz co, ja ci wymaluję imię na koszuli.

W ten sposób udało mu się zniszczyć niejedną część garderoby.

Miał również zwyczaj dawania w prezencie własnoręcznie malowanych krawatów. Mówił przy tym:

— Mam coś dla ciebie. Bierz ten krawat i noś szczęśliwie. Daję cii go, bo cię lubię.

A jeśli ktoś nie nosił jego krawata, Edward wpadał w złość i krzyczał:

— Widzicie, co to za niewdzięcznicy ci czarni. Posłuchajcie tylko! Widzę, że ten facet jest bez krawata. Wsiadam do autobusu, jadę do miasta, wchodzę do Johnsona, szu kam działu garderoby męskiej, spotykam jakąś dziewczynę i kupuję krawat. Wychodzę ze sklepu, wsiadam do autobusu i wracam do domu. Idę do siebie, chwytam za pędzel i otwieram tubę z farbą. Moczę pędzel w farbie i dotykam pędzlem krawata. Tracę na to trzy godziny i po tym wszystkim facet ma czelność nie nosić mojego krawata.

Ale Edward zajmował się nie tylko malarstwem.

Pewnego dnia — a było to zaledwie kilka miesięcy po moim przybyciu na Miguel Street — Edward rzekł:

— Kiedy wracałem wczoraj wieczorem autobusem z Cocorite, słyszałem, jak koło autobusu zmiądzżyło kraba. Znacie to miejsce niedaleko drzew kokosowych i bagna? Pełno tam krabów. Ludzie mówią, że te kra by włożą na drzewa kokosowe.

Hat rzekł:

Tak, one wyłazą przy pełni księżyca. Może pojechalibyśmy dziś w nocy i złapali kilka?

— Miałem właśnie zamiar to wam zaproponować. Zabierzemy chłopaków, bo tam jest tyle krabów, że dla wszystkich starczy — powiedział Edward.

Tak więc zaproszono na tę wyprawę również chłopaków. Edward rzekł:

— Słuchaj Hat, myślę, że warto zabrać ze sobą łopatę. Będzie łatwiej zbierać. Tam jest tego tyle, że można zbierać łopatą.

— Dobrze — zgodził się Hat. — Weźmiemy z obory łopate.

— No to mamy to z głowy — powiedział Edward. — Ale słuchajcie, czy wy macie mocne buty? Lepiej weźcie mocne buty, bo te kraby nie znają się na żartach i jeśli nie będziecie uważać, odgryzą wam palec u nogi, zanim zdążycie się zorientować, co się dzieje.

Hat rzekł: — Dobrze. Włożę buty, które noszę, kiedy czyszczę oborę.

— Trzeba też zabrać rękawiczki — rzekł Edward. — Znam faceta, co łapiąc kraby pewnego dnia nagle zobaczył, jak jego prawa ręka odpada. Patrzy znów i widzi, że taszczy ją pięć krabów. Narobił wtedy strasznego wrzasku. Musimy być ostrożni. Chłopaki, jeśli nie macie rękawic, to po prostu owińcie sobie dłonie jakimiś szmatami. To powinno wystarczyć.

Późnym wieczorem wsiedliśmy wszyscy do autobusu, który miał nas zawieźć do Cocorite. Hat był w swoich ciężkich butach, Edward też, a my jechaliśmy uzbrojeni w szerokie noże i duże brązowe worki.

Łopata, którą zabrał ze sobą Hat, śmierzdziała oborą i ludzie w autobusie zaczęli kręcić nosami.

Hat mówił: — Niech wachają. Mleka to chcą, ale wachać to nie chcą.

Ludzie przyglądali się ciężkim butom, szerokim nożom, łopacie i workom, odwracali głowy, przestawali rozmawiać. Konduktor nie zażądał zapłaty za przejazd. Wreszcie w autobusie zapanowało grobowe milczenie, które przerwał dopiero Edward.

— Musimy spróbować bez noży — rzekł. — Nie trzeba ich zabijać. Lepiej łapać żywcem i pakować do worków.

Sporo ludzi wysiadło na następnym przystanku. Kiedy autobus dojechał do Mucurapo Road, byliśmy jedynymi pasażerami. Konduktor stał na przedzie i rozmawiał z kierowcą.

Właśnie zbliżaliśmy się już do końcowej stacji Cocorite, kiedy Edward rzekł:

— O Boże, zapomniałem o czymś. Przecież nie możemy wracać autobusem z tymi wszystkimi krabami. Będę musiał wysiąść i zamówić samochód.

To powiedziawszy wysiadł, nie czekając, aż dojedziemy do końca.

Szliśmy kawałek drogi w świetle księżycy, potem skręciliśmy w kierunku bagna. Lekki wietrzyk wiał od morza, a powietrze przepojone było zapachem stojącej wody. Pod drzewami kokosowymi panowała ciemność. Posuwaliśmy się naprzód. Nagle chmura zasłoniła księżyc i ustał wiatr.

— Wszystko w porządku, chłopcy? Uważajcie na nogi. Nie chciałbym, żeby który z was wrócił do domu z trzema palcami! — zawołał Hat.

— Ale ja nie widzę żadnych krabów — rzekł Boyee.

Po dziesięciu minutach dołączył do nas Edward.

— Ile zebraliście worków? — zapytał.

Hat rzekł:

— Najwidoczniej inni też wpadli na ten pomysł, ale wcześniej, i zebrali wszystkie kraby.

— Głupstwa pleciesz — stwierdził Edward. — Nie widzisz, że księżyc się schował? Musimy poczekać, aż pokaże się znów, wtedy zobaczymy kraby. Siadajcie, chłopcy, poczekamy.

Przez pół godziny księżyc był za chmurami.

Boyee rzekł: — Robi się zimno i chcę wracać do domu. Tu nie ma żadnych krabów.

— Nie zwracajcie na niego uwagi — rzekł Errol. — Ja go znam. On się po prostu boi ciemności, no i ma stracha, że go krab ugryzie.

W tej samej chwili usłyszeliśmy szum motoru.

— Chyba samochód przyjechał — rzekł Hat.

— To nie samochód — powiedział Edward. — Zamówiłem dużą ciężarówkę od Sama.

Siedzieliśmy w milczeniu czekając, aż się pojawi księżyc. Nagle wokół nas rozbłysło chyba z dziesięć latarek. Ktoś krzyknął:

— Chcemy uniknąć awantury, ale jeśli któryś z was będzie odstawiać cwaniaka, to wszyscy

oberwiecie zdrowo.

Uświadomiliśmy sobie, że jesteśmy otoczeni przez oddział policji.

Boyee zaczął płakać. Edward rzekł:

— Są ludzie, którzy biją żony. Są ludzie, którzy włamują się do cudzych domów. Dla czego nie zajmujecie się nimi? Najwyższy czas, żebyście wy, policjanci, dla odmiany zaczęli robić coś sensownego.

Jakiś policjant zawołał:

— Zamknij się, bo inaczej ja ci zamknę jadaczkę.

Inny policjant zapytał: — Co wy tam macie w tych workach?

Edward odpowiedział: — Kraby. Ale uważajcie. To są duże kraby i mogą wam odgryźć ręce.

Nikt nie zajrzał do worków, a jeden z policjantów, taki z wieloma galonami, powiedział):

— Każdy odstawia cwaniaka. Każdy się mądrzy. Każdy udaje Amerykanina.

— Mają worki, mają szerokie noże, łopatę a rękawice — stwierdził jeden z policjantów.

— Łapaliśmy kraby — rzekł Hat.

— Łopatą? — spytał policjant. — Ho, ho, chyba próbujesz odstawiać Boga i stworzyć nowy rodzaj kraba, którego będzie można złapać na łopatę.

Trzeba się było bardzo namęczyć, żeby przekonać policjantów, że mówimy prawdę. Dowódca rzekł:

— Niech ja tylko złapię tego skurwysyna, co zatelefonował i powiedział, że macie zamiar kogoś zabić.

Policjanci odjechali.

Było późno i ostatni autobus też już odjechał.

Hat rzekł: — Trzeba będzie poczekać na ciężarówkę, którą zamówił Edward.

— Mam przeczucie, że ciężarówka nie przyjedzie — powiedział Edward.

Na to Hat bardzo powoli, pół serio, pół żartem:

— Edward, jesteś moim bratem, ale po wiem ci coś: jesteś prawdziwy skurwysyn.

Potem przyszła wojna. Hitler zajął Francję, a Amerykanie zajęli Trynidad. Wielkim szlagierem stało się calypso z następującym dwuwierszem:

Z mą cnotliwą połowicą żyłem w błogim dobrobycie,
Aż przyszli żołnierze i złamali mi życie.

Po raz pierwszy na Trynidadzie była praca dla wszystkich. Amerykanie płacili dobrze. Śpiewano calypso do następujących słów:

Za dolara USA
Wszyscy robią, co się da.
Na wyspie forsa płynie,
Z dolarem nikt nie zginie.

Edward przestał pomagać Hatowi przy krowach i zaczął pracować u Amerykanów w Chaguaramas.

Hat mówił: — Edward, uważam, że robisz głupstwo. Amerykanie nie pozostaną tu na zawsze. Nie ma sensu pracować po to, żeby zarobić dobrze, a potem nie mieć przez kilka lat co włożyć do gęby.

Na to Edward:

— Wygląda na to, że wojna potrwa jeszcze bardzo długo. No i powiem ci coś. Amerykanie to nie Anglicy. Oni wymagają dobrej roboty, ale też dobrze płacą.

Edward sprzedał bratu swoje krowy i od tego czasu zaczął od nas stronić.

Zamerykanizował się zupełnie. Zaczął ubierać się po amerykańsku, żuł gumę i próbował mówić z amerykańskim akcentem. Widywaliśmy go rzadko, tylko w niedziele, i wtedy zachowywał się tak, że czuliśmy się gorsi od niego. Jego stroje były coraz bardziej wyszukane. Na szyi pojawił się złoty łańcuch. Na przegubach rąk zaczął nosić — jak tenisiści — opaski, które właśnie stały się bardzo modne wśród eleganckiej młodzieży Port of Spain.

Edward nie rzucił malowania, ale nie proponował nam już, że namaluje coś dla nas. Z tego faktu, jak sądzę, większość ludzi była raczej zadowolona. Wziął udział w jakimś konkursie na plakat, a gdy jego projekt nie uzyskał nawet nagrody pocieszenia, jego żal do Trynidadu nie miał granic. Pewnej niedzieli oświadczył nam:

— Byłem głupi, że posłałem coś, co na malowałem własnymi rękami, do oceny facetom z Trynidadu. Przecież oni nie znają się na niczym. Ach, gdyby to byli Ameryka nie. Wszystko byłoby inaczej. Amerykanie to dopiero ludzie. Oni się znają.

Kiedy słuchałeś Edwarda, mogłeś przypuszczać, że Ameryka to jakiś gigantyczny kraj zamieszkały przez gigantów, żyjących w wielkich domach i jeżdżących w największych na świecie samochodach.

Edward mawiał:

— Spójrzcie na Miguel Street. Ozy wy myślicie, że w Ameryce są takie wąskie ulice? W Ameryce taka ulica byłaby ścieżką.

Pewnego wieczoru poszedłem z Edwardem do doków, gdzie mieścił się amerykański obóz. Przez druty kolczaste widać było wielki ekran kina na świeżym powietrzu.

— Widzisz, jakie kino oni zbudowali w tej naszej dziurze? — rzeki Edward. — Możesz sobie wyobrazić, jakie rzeczy oni mają u siebie, w Stanach.

Poszliśmy dalej, aż dotarliśmy do budki z wartownikiem. Edward siląc się na swój amerykański akcent rzekł:

— Jak leci, Joe?

Ku mojemu zaskoczeniu wartownik w hełmie na głowie, facet o groźnym obliczu, odpowiedział coś Edwardowi, a po chwili obaj pogrążeni byli w rozmowie, w której jedno brzydkie słowo gonіło drugie.

Edward odwiedzając nas na Miguel Street udawał ważniaka i mówił do mnie:

— Powiedz im... Powiedz im, jakie mam dobre stosunki z Amerykanami.

A gdy był w towarzystwie Hata, mówił:

— Kiedyś wieczorem rozmawiałem z jednym Amerykanem, moim dobrym kumplem. Powiedział, że gdy Amerykanie przystąpią do wojny, wojna zaraz się skończy.

Na to odezwał się Errol:

— Chodzi o to, że my musimy wygrać tę wojnę. Jak tylko zrobią lorda Anthony'ego Edena premierem, wojna zaraz się skończy.

— Zamknij się, szczeniaku — rzekł Edward.

Największa jednak zmiana, jaka zaszła w Edwardzie, polegała na tym, że zaczął zupełnie inaczej wyrażać się o kobietach. Do tej pory mówił, że skończył z nimi na zawsze. Podobno ktoś dawno temu złamał mu serce i Edward ślubował czystość. Była to tragiczna, ale niezbyt jasna historia.

Ale teraz pewnej niedzieli Edward rzekł:

— Powinniście zobaczyć te cizie, które się kręcą u nich w bazie. Gdzie tam naszym kociakom równać się z nimi. Nie, bracie. To są kobiety klasa.

Wydaje mi się, że wtedy odezwał się Eddoes:

— Ja na twoim miejscu nie przejmował bym się tym za bardzo. Te kobiety i tak nie będą chciały mieć nic wspólnego z tobą. One lecą na tych ważniaków Amerykanów. Ty możesz spać spokojnie.

Edward zwymyślał Eddoesa i opuścił nas w pośpiechu.

Zaczął teraz podnosić ciężary, więc i pod tym względem też był prekursorem. Nie wiem, co się wtedy stało na Trynidadzie, ale wszyscy młodzi ludzie dostali nagle bzika na punkcie kulturystyki i prawie co miesiąc odbywał się konkurs sprawności fizycznej. Hat pocieszał się, mówiąc:

— Nie trzeba się przejmować. To wszystko jedna wielka lipa. Powiadają, że rozwija mięśnie, a ja twierdzę, że jak się kończą pokazy, to z tych mięśni robią się flaki.

Eddoes mówił:

— Co za ubaw. W mleczarni na Philip Street widzi się teraz czarnych ludzi siedzących przy ladzie o pijących z butelek białe mleko. Wszyscy są w koszulkach bez rękawów, żeby pokazać swoje muskularne ramiona.

Nie minęły trzy miesiące, a Edward pokazał nam się w koszulce bez rękawów. Zrobił się z niego naprawdę niebywały okaz.

Teraz zaczął opowiadać nam o kobietach w bazie, które nie dają mu spokoju.

— Me wiem, co one we mnie widzą — mówił.

Ktoś wpadł na pomysł zorganizowania konkursu miejscowych talentów estradowych. Ale Edward powiedział tylko:

— Kupa śmiechu. Kogo oni znajdą na Trynidadzie?

Pierwszy dzień występów transmitowany był przez radio i wszyscy siedzieliśmy przy głośniku w domu Eddoesa. Edward nie przestawał się śmiać.

— Edward, a może byś sam spróbował jako piosenkarz? — rzekł Hat.

A Edward na to:

— A dla kogo mam śpiewać? Dla tych tu na Trynidadzie?

— Zrób im tę łaskę — odpowiedział Hat.

Ku powszechnemu zdziwieniu Edward zaczął śpiewać i wreszcie nadszedł czas, kiedy Hat musiał przyznać:

— Nie mogę już mieszkać z nim pod jednym dachem. Wydaje mi się, że będzie mu się wyprowadzić.

Edward wyprowadził się, ale niedaleko. Pozostał na naszej stronie Miguel Street.

— Jestem bardzo zadowolony, że się tak stało — powiedział. — Miałem już dość tego krowiego smrodu.

Edward stanął do konkursu miejscowych talentów i my, mimo wszystko, żywiliśmy cichą nadzieją, że dostanie jakąś nagrodę. Konkurs finansowany był przez fabrykanta herbatników i jeśli się nie mylę, laureat otrzymywał trochę gotówki.

— Pozostali dostają paczkę herbatników za trzydzieści jeden centów — poinformował nas Hat.

Edward otrzymał paczkę herbatników. Ale nie przyniósł jej do domu. Wyrzucił ją gdzieś.

— Wyrzuciłem to świństwo — rzekł. — Pytacie dlaczego? Bo jest tak, jak zawsze mówiłem. Tu ludzie nie wiedzą, co dobre. Na Trynidadzie rodzą się sami idioci. Tam, w bazie, Amerykanie błagają mnie, żebym śpiewał. Oni się znają na rzeczy. Pewnego razu pracowałem w bazie i śpiewałem sobie ot tak, a tu zbliża się pułkownik i powiada, że mam ładny głos. Błagał mnie, żebym pojechał do Stanów.

— No to dlaczego nie wyjeżdżasz? — zapytał Hat.

— Poczekaj, bracie — odparł Edward. — Zobaczysz, że wyjadę.

— A co z tymi kobietami, które uganiają się za tobą? — zapytał Eddoes. — Doganiają cię czy przeganiają?

Edward rzekł:

— Słuchaj no! Mógłbym cię tak spruć, że byś się nie pozbierał. No więc lepiej zamknij się.

Kiedy Edward przyprowadzał jakichś amerykańskich znajomych do swego mieszkania, to udawał, że nas w ogóle nie zna. Można się było uśmieć patrząc, jak chodzi z nimi z rękami zwisającymi jak u goryla. Hat rzekł:

— Całą zarobioną forszę wydaje na rum, który stawia tym swoim Amerykanom.

Wydaje mi się, że w pewnym sensie byliśmy zazdrośni o niego. Hat mawiał: ..

— Nietrudno znaleźć pracę u Ameryka nów. Ale ja nie chcę pracować u nikogo. Chcę być swoim własnym bossem.

Edward coraz rzadziej przebywał w naszym towarzystwie.

Pewnego dnia przyszedł do nas bardzo smutny i rzekł:

— Hat, wygląda ma to, że będę musiał się ożenić.

Tym razem mówił akcentem trynidadzkim.

Hat bardzo się tym zmartwił i zapytał:

— Co się stało? Dlaczego musisz się żenić?

— Ona jest w ciąży — odparł.

— Jak ty możesz wygadywać takie głupstwa? — rzekł Hat. — Gdyby każdy żenił się dlatego, że zrobił komuś dziecko, toby nie można było wytrzymać na tym świecie. Dlaczego -masz być inny niż wszyscy na Trynidadzie? Taki z ciebie Amerykanin?

Edward podciągnął swoje amerykańskie spodnie i zrobił taką minę jak amerykański aktor filmowy. Po czym rzekł:

— Wam się wydaje, że wy wszystko wiecie. Ta dziewczyna jest 'inna. Oczywiście, że kochałem się raz czy dwa razy w życiu, ale tym razem jest inaczej.

— Czy to porządna dziewczyna? — zapytał Hat.

— Tak — odparł Edward. Hat rzekł:

— Edward, jesteś już dorosły. Widzę, że zdecydowałeś się poślubić tę dziewczynę. No więc po co przychodzisz do mnie? Że bym ja cię zmuszał do tego małżeństwa? Masz już swoje lata. Nie musisz przychodzić do mnie po zezwolenie.

Kiedy już Edward odszedł, Hat rzekł:

— Kiedy Edward przychodzi do mnie z ja kimś kłamstwem, to zachowuje się jak dziecko. On nie umie kłamać przede mną. Wprawdzie nie widziałem tej dziewczyny na oczy, ale powiadam wam, jeśli on się z nią ożeni, to będzie gorzko żałował.

Żoną Edwarda była wysoka i chuda kobieta o bardzo białej skórze. Miała bladą cerę i wyglądała tak, jakby zawsze źle się czuła. Poruszała się, jakby każdy krok przychodził jej z wielkim trudem. Edward chodził dumny jak paw i nigdy nas jej nie przedstawił.

Kobiety z Miguel Street oceniły ją bardzo szybko.

Pani Morgan oświadczyła: — Ta kobieta to samo nieszczęście. Żał mi Edwarda. Ciężkie będzie miał życie.

Pani Bhakcu powiedziała:

— To jedna z tych nowoczesnych dziewczyn, które chcą, żeby mąż harował cały dzień, a potem przychodził do domu, gotował, prał i sprzątał. Takie umieją tylko malować się i kręcić tyłkiem.

Ale Hat mówił:

— Czy ona ma rodzić? Przecież nic nie widać.

Edward przestał widywać się z nami zupełnie.

— Ona mu daje dobrą szkołę — twierdził Hat.

Pewnego dnia Hat zawołał idącego drugą stroną ulicy Edwarda:

— Chłopie, chodź no tu na chwilę. Edward spojrzał bardzo pewny siebie i za pytał po trynidadzku:

— Czego?

Hat uśmiechnął się i rzekł:

— Co z dzieckiem? Kiedy spodziewacie się urodzin?

— A po jaką cholere chcesz wiedzieć? — zapytał Edward.

A na to Hat:

— Dobry byłby ze mnie wujaszek, gdybym nie interesował się dzieckiem swego brata.

— Ona nic nie urodzi — oświadczył Edward.

Eddoes rzekł:

— A więc to wszystko była bujda, żeby złapać męża.

Hat powiedział:

— Edward, kłamiesz,. Tyś to wszystko wymyślił od samego początku. Ona nie była w ciąży, i tyś o tym dobrze wiedział. Ona wcale nie mówiła ci, że będzie miała dziecko, i o tym też wiedziałeś. Jeśli naprawdę chciałeś ożenić się z tą dziewczyną, to po co potrzebna ci była ta cała komedia?

Edward posmutniał i rzekł:

— Chcecie znać prawdę, to wam powiem. Nie sądzę, żeby ona mogła kiedykolwiek urodzić dziecko.

A kiedy nowina ta rozniosła się po naszej ulicy, wszystkie kobiety mówiły to, co mówiła moja matka. A oto jej słowa: „Od kiedy to czarni i biali ludzie robią razem dzieci?”

Nie mieliśmy wprawdzie na to żadnych dowodów i dom Edwarda był w dalszym ciągu pełen Amerykanów, ale mimo to czuliśmy, że między Edwardem a jego żoną sprawy nie układają się najlepiej.

Pewnego piątku, gdy się zaczynało ściemniać, Edward przybiegł do mnie i zawołał:

— Odłóż tę głupią książkę i leć po policjanta.

— Po policjanta? — zapytałem. — Jak ja mogę ot tak pójść i sprowadzić policjanta?

Edward rzekł:

— Umiesz jeździć na rowerze?

— Tak — odparłem.

— A masz latarkę u roweru?

— Nie.

— No to wsiądź na rower i jedź bez latarki — rzekł Edward. — W końcu jakiś policjant cię zatrzyma.

— No a jak mnie zatrzyma policjant, to co mu mam powiedzieć? — zapytałem.

— Ona znowu próbowała się zabić — powiedział Edward.

Zanim zdążyłem dojechać do Ariapita Avenue, natknąłem się nie na jednego, ale na dwóch policjantów. Jeden z nich był w stopniu sierżanta. Zatrzymał mnie i powiedział:

— Dokąd się wybierasz o tej porze?

— Do pana — odparłem.

Drugi policjant zaśmiał się. A sierżant powiedział:

— Udajesz cwaniaka, co? Mam nadzieję, że sędziemu ta wymówka się spodoba. Czegoś podobnego jeszcze nie było. Nawet mnie się podoba.

— Niech pan pójdzie ze mną szybko — rzekłem. — Żona Edwarda znów próbowała sobie odebrać życie.

— Oh, żona Edwarda ciągle odbiera sobie

życie — rzekł sierżant i roześmiał się. — A gdzie tym razem próbowała się zabić?

— Gdzieś w dole Miguel Street — powiedziałem.

Policjant rzekł: — To naprawdę bardzo mądry chłopak.

A na to sierżant:

— Rzeczywiście. Mamy opuścić swój posterunek, żeby pójść do kogoś, kto się chce zabić? No, dość tych bzdur, kolego. Pokaż kartę rowerową.

— Naprawdę, nie kłamię — zawołałem. — Pojadę z wami i pokażę wam dom.

Edward czekał na nas.

— Cholernie dużo czasu potrzebowałeś, żeby sprowadzić dwóch policjantów — rzekł.

Policjanci weszli do domu z Edwardem, a na ulicy zgromadził się niewielki tłum gapiów.

Pani Bhakcu powiedziała:

— Stało się to, czego się spodziewałam. Od pierwszej chwili wiedziałam, że to się tak skończy.

A pani Morgan dodała:

— Dziwne jest życie. Wiele bym dała, żeby tak jak ona nie móc rodzić dzieci. A tu ma cie kobietę, która chce się zabić dlatego, że nie może zostać matką.

— A skąd pani wie, że ona chce się zabić właśnie dlatego? — zapytał Eddoes.

Pani Morgan wzruszyła swoimi tłustymi ramionami i powiedziała:

— A jaki może być inny powód?

Od tej chwili współczułem Edwardowi, bo ulica stała się dla niego bezlitosna. Mimo przyjęć, jakie wydawał dla swoich amerykańskich przyjaciół, był tym wszystkim bardzo przejęty. Eddoes mówił do niego z nie ukrywaną ironią:

— Człowieku, dlaczego nie wyjeżdżasz z żoną do Ameryki? Powiadam ci, lekarze amerykańscy są cholernie wykształceni. Wszystko potrafią.

A pani Bhakcu radziła mu, żeby zaprowadził żonę do Karaibskiego Centrum Medycznego na Ariapita Avenue, gdzie jej zrobią analizę krwi.

Przyjęcia, w domu Edwarda były coraz głośniejsze i coraz bardziej ekstrawaganckie.

Hat mówił:

— Nie można ciągle się bawić. Każda zabawa powinna mieć swój koniec. Edward tylko coraz bardziej cierpi.

Pewne było jedno. Te przyjęcia nie wpływały na zmianę usposobienia jego żony. Ciągle wyglądała mizernie, ciągle była kłótniwa, a teraz zdarzało się nawet, że słyszeliśmy podniesiony głos Edwarda, który usiłował ją o czymś przekonać. Do takich kłótni małżeńskich nie byliśmy przyzwyczajeni na naszej ulicy. Edward był rozdrażniony, ale widać było, że zależy mu na tym, żeby ją udobruchać.

Eddoes rzekł:

— Edward sam tego chciał. Głupie to, ale wydaje mi się, że on ją naprawdę kocha.

Czasem Edward rozmawiał z Hatem, Eddoesem i innymi dorosłymi, jeśli ci chcieli z nim pogadać. Ale gdy chłopcy próbowali nawiązać z nim rozmowę, tracił cierpliwość. Krzyczał, że nas zbije, więc w końcu dawaliśmy mu spokój.

Ale za każdym razem, gdy Edward przechodził ulicą, Boyee, odważny w swej głupocie, zwracał się do niego mówiąc z amerykańskim akcentem:

— Jak się masz, koleś?

Edward zatrzymywał się, spoglądał ze złością na Boyee, a potem rzucał się na niego złorzecząc:

— Widzicie, jak się zachowują trynidadzkie dzieci? Czy ten chłopak zasługuje na co innego niż dobre lanie?

Pewnego razu Edward złapał Boyee i zaczął go bić. Boyee błagał Edwarda, żeby go puścił, ale ten wpadał w coraz większą złość.

Wreszcie nadbiegł Hat i zawołał:

— Edward, puść tego chłopaka, bo inaczej dojdzie do awantury na ulicy. Zostaw go w spokoju. Mnie nie nastraszysz tymi swoimi muskularni.

W końcu ludzie musieli ich rozdzielić.

A kiedy Boyee poczuł się bezpieczny, krzyknął do Edwarda:

— Zrób sobie własne dziecko, to będziesz miał kogo bić!

Ale tu znów wtrącił się Hat:

— Boyee, zmykaj, bo' ci kości pogruhoczę. Errol, przygotuj no mi porządną różgę na tego łobuza!

Wieść tę przyniósł nam sam Edward.

— Ona odchodzi ode mnie — rzekł zupełnie spokojnie.

— Bardzo mi przykro — powiedział Eddoes.

— Edward, mój bracie, na to nie ma rady — rzekł Hat.

Wydawało nam się, że Edward się tym wszystkim tak bardzo nie przejmuje. Eddoes nabrał więc odwagi i rzekł:

— Nie lubiłem jej od pierwszej chwili. Ponadto uważam, że nie powinno się brać za żonę kobiety, która nie może rodzić...

Na to Edward: — Zaniknij się, Eddoes. I ty też Hat. Mam gdzieś wasze współczucie. Już ja wiem, jak mnie żałujecie. Niby to żal, ale śmiejecie się ze mnie.

— Kto się śmieje? — wtrącił Hat. — Słuchaj, Edward. Jeśli chcesz wyładować na kimś swoją złość, to znajdź sobie kogo inne go. Ostatecznie to nie po raz pierwszy żona odchodzi od męża. To tak jak w calypso:

Z mą cnotliwą połowicą żyłem w błogim dobrobycie,
Aż zjawili się żołnierze i złamali mi życie.

To nie twoja wina. Wszystkiemu winni Amerykanie.

— A czy wiesz, z kim ona uciekła? — zapytał Eddoes.

— A czy ja powiedziałem, że ona z kimś uciekła? — odparł Edward.

Eddoes przyznał:

— Nie, tego nie powiedziałeś, ale ja czuję, że tak jest.

— Tak, uciekła — rzekł ze smutkiem Edward. — Z żołnierzem amerykańskim. A tyle rumu wypił w moim domu.

Minęło kilka dni, a Edward opowiadał wszystkim dookoła, co się stało:

— Jestem bardzo zadowolony. Nie chcę mieć żony, co' nie może urodzić dziecka.

Teraz nikt już nie wyśmiewał amerykańskich manii Edwarda. Wydaje mi się, że byliśmy gotowi przyjąć go z powrotem do naszej paczki. Ale jego to nie interesowało. Rzadko spotykaliśmy go na ulicy. Kiedy nie pracował, zawsze wyjeżdżał na jakąś wycieczkę.

Hat mówił:

— To jest miłość. On ją naprawdę kocha i on jej szuka.

W piosence calypso bohater traci żonę, która odchodzi do jakiegoś Amerykanina, a gdy błaga ją, żeby do niego wróciła, ona mówi:

Nie zwracaj mi głowy, mam inne zamiary,
Wolę żołnierza jankesa i jego dolary.

Taki był właśnie los Edwarda.

Wracał z tych wycieczek w fatalnym humorze. Był nieszczęśliwy. Mówił:

— Wyjeżdżam z Trynidadu.

— Dokąd? Do Ameryki? — pytał Eddoes. Niewiele brakowało, a Edward udusiłby Eddoesa.

Hat mówił: — Jak możesz pozwolić na to, żeby ci jedna kobieta złamała życie. Zachowujesz się tak, jakbyś był pierwszym mężczyzną na świecie, któremu się coś takiego przydarzyło.

Ale Edward nie chciał słuchać nikogo.

Pod koniec miesiąca sprzedał dom i wyjechał z Trynidadu. Wydaje mi się, że wylądował w Aruba czy Curacao i pracuje w jakimś dużym holenderskim towarzystwie naftowym.

Kilka miesięcy później Hat powiedział:

— Wiecie, co słyszałem? Podobno żona Edwarda ma dziecko z tym Amerykaninem.



Hat

Hat robił tajemnicę z najmniejszej sprawy. Weźmy na przykład jego stosunek do Boyee i Errola. Nieznajomym mówił, że są jego nieślubnymi dziećmi. A czasem opowiadał, że nie jest pewny, czy są jego dziećmi, i przy tej okazji wymyślał jakieś fantastyczne historie o kobiecie, z którą on i Edward żyli równocześnie. Innym razem dowodził, że są jego synami z wcześniejszego małżeństwa, i można się było wżruszyć do łez słuchając, jak to Hat i dzieci stali u śmiertelnego łoża matki i jak matka kazała im przyrzec, że postarają się wyrosnąć na porządnym ludzi.

Po pewnym czasie udało mi się ustalić, że Boyee i Errol są siostrzeńcami Hata. Ich matka, która mieszkała w buszu niedaleko Sangre Grande, umarła wkrótce po śmierci męża i chłopcy przyjechali do Port of Spain, żeby zamieszkać z Hatem.

Chłopcy nie okazywali Hatowi zbyt wiele respektu. Nigdy nie wołali na niego wuju, tylko zawsze Hat. Nie przejmowali się również tym, że opowiadał, że są jego nieślubnymi dziećmi. Na odwrót, gotowi byli potwierdzić prawdziwość tej historii.

Hata poznałem wtedy, gdy zaproponował mi, że zabierze mnie na mecz krykietowy.

Bardzo szybko zorientowałem się, że zgromadził on jeszcze jedenastu chłopaków z czterech czy pięciu okolicznych ulic i ich też zabiera na mecz.

Stanęliśmy rzędem przy kasie i Hat policzył nas głośno.

— Jeden cały i dwanaście połówek — rzekł.

Ludzie odwracali głowy i z zainteresowaniem przyglądali się nam. Bileter zapytał z niedowierzaniem:

— Dwanaście połówek?

Hat patrząc na czubki swoich butów powtórzył:

— Tak, dwanaście połówek.

Dużo było poruszenia, gdy cała nasza trzynastka z Hatem na czele defilowała wokół boiska w poszukiwaniu miejsca, gdzie można byłoby usiąść.

Ludzie wołali: — Proszę pana, czy wszystkie są pańskie?

Hat tylko uśmiechał się tajemniczo, więc ludzie wierzyli, że tak naprawdę jest. Kiedy usiedliśmy już, Hat musiał jeszcze raz obliczyć nas głośno. Mówił przy tym:

— Nie chcę oberwać od waszych matek, jak wrócę do domu i powiem, że jednego brakuje.

Było to ostatnie spotkanie między Jamajką a Trynidadem. Gerry Gomez i Len Harbin grali wspaniale w barwach Trynidadu, a gdy Gomez zdobył sto pięćdziesiąt punktów, Hat szalał; tańczył na boisku i krzyczał: — Biali ludzie są jak bogowie!

Jakaś kobieta sprzedająca napoje chłodzące przechodziła właśnie obok nas.

— Ile kosztuje szklanka? — zapytał Hat.

— Sześć centów — powiedziała kobieta.

— Sprzedaj mi po cenie hurtowej. Kupię trzynaście szklanek.

— Wszystkie te dzieci są pana? — zapytała.

— A co w tym złego? — odparł Hat. Kobieta sprzedała mu napoje po pięć centów szklanka.

Ale Len Harbin zdobył tylko osiemdziesiąt dziewięć punktów i z Trynidadem było źle. Hat się wściekał.

— Jak można było dopuścić do czegoś takiego?! — wołał. — To po prostu rozbój w biały dzień. I pomyśleć, że zrobił to sędzia z Trynidadu. Boże, teraz nawet sędziowie biorą łapówki.

Tego popołudnia nauczyłem się od Hata wielu rzeczy. Nauczył mnie podziwiać graczy i przeżywać emocje meczu.

Prosiłem go, żeby mi wyjaśnił, jak się odczytuje tablicę z wynikami.

— Z lewej strony figurują nazwiska batsmanów, którzy zakończyli grę — powiedział.

Pamiętam dokładnie jego słowa, bo spodobało mi się to określenie: „zakończyli grę”, zamiast „zostali wyłączeni z gry”.

Podczas przerwy na herbatę Hat był równie podniecony jak przedtem. Ciągłe próbował naciągać ludzi na zakłady. Biegał z dolarem w dłoni i wołał: „Daję dolara za szylinga, że Hendley nie zdobędzie nawet dziesięciu punktów” albo „Daję dolara, że Stollmeyer wybijie pierwszą piłkę poza boisko”. Sędziowie właśnie schodzili z boiska, kiedy jeden z chłopców zaczął płakać.

— Dlaczego płaczesz? — zapytał Hat. Chłopak coś burknął, ale płakał dalej.

— Ale powiedz mi, dlaczego płaczesz? — powtórzył Hat.

— Daj mu smoczka! — zawołał jakiś facet. Hat odwrócił się do wołającego i rzekł:

— Założę się o dwa dolary, że Jamajce strącą pięć palików dziś po południu.

— Jeśli ci tak zależy, żeby przegrać, to chętnie się założę — rzekł facet.

Pieniądze złożono u trzeciego. A chłopak wciąż płakał. Hat rzekł:

— Widzisz, jak muszę się wstydzić za ciebie. Powiedz mi szybko, o co chodzi.

Nie było słów, tylko łzy. Jakiś chłopak zbliżył się do Hata i szepnął mu coś do ucha.

— O Boże! — zawołał Hat. — Jak to się mogło stać? I to właśnie teraz, jak wznawiają grę.

Kazał nam wszystkim wstać. Odmaszerowaliśmy z boiska i stanęliśmy rzędem przy płocie.

Hat rzekł:

— A teraz macie się wszyscy wysiusiać, i to szybko. Słyszycie, co mówię?

Mecz był wspaniały. Drużyna Jamajki, z wielkim Hendleyem, straciła sześć palików na trzydzieści jeden przebiegów. Już się ściemniało, gdy na boisko wyszedł, żeby rzucić piłkę, członek drużyny Trynidadu Tyrell Johnson, który szybkością przechodził same-go> siebie i stał się prawdziwym bohaterem dnia.

Jakaś gruba niewiasta siedząca na lewo od nas wrzeszczała na widok Johnsona, a kiedy nie wrzeszczała, to mówiła najspokojniej w świecie:

— Znam Tyrella od małego. Bawiliśmy się razem. — Potem odwracała się i zaczynała znowu wrzeszczeć.

Hat odebrał swoją wygraną.

Teraz odkryłem, że prawdziwą pasją Hata były najróżnorodniejsze, najdziksze zakłady. Przegrywał sporo pieniędzy na wyścigach, ale czasami też wygrywał, i wtedy mógł sobie pozwolić na to, żeby stawiać wszystkim na Miguel Street.

Nigdy nie widziałem człowieka, który potrafiłby się tak cieszyć życiem jak Hat. Prawdę mówiąc, jego życie było bardzo jednostajne, codziennie robił to samo, ale to, co robił, sprawiało mu zawsze radość. A od czasu do czasu udawało mu się z najprostszej rzeczy zrobić coś niezwykłego.

Hat przypominał trochę swego psa. Był to najspokojniejszy owczarek alzacki, jakiego kiedykolwiek widziałem. Wydaje mi się, że na Miguel Street psy były podobne do swoich właścicieli. George miał brzydkiego, wściekłego kundla. Pies Toniego był strasznie dziki. Ale pies Hata był jedynym psem z poczuciem humoru, jakiego udało mi się spotkać w życiu.

Przede wszystkim jak na owczarka pies ten zachowywał się dziwnie. Aportowanie było jego najulubieńszym zajęciem. Pewnego razu w Savannah rzuciłem mu gdzieś w krzaki guawę. Biedny pies nie mógł się dostać do guawy i skomlał zmartwiony. Potem nagle odwrócił się i pomknął gdzieś głośno szczekając. Podczas gdy ja usiłowałem zobaczyć, co się dzieje, pies pobiegł z powrotem w kierunku krzaków. Z początku nie zauważyłem nic osobliwego, ale po chwili spostrzegłem, jak mój pies wlecze w krzaki inną guawę. Zawołałem na niego, a on przybiegł łaszcząc się i szczekając.

— Idź, piesku — powiedziałem. — Idź i przynieś guawę.

Pobiegł z powrotem do krzaków, rozejrzał się dookoła, obwąchał ziemię, po czym skoczył w krzaki po guawę, którą sam tam umieścił.

Ach, gdyby te piękne ptaki, które zbierał Hat, były tak spokojne jak jego pies. Niestety, jego ary i inne papugi przypominały kłótlive ciotki i rzucały się na każdego.

Z czasem niebezpiecznie było wchodzić do jego domu. Rozmawiasz sobie spokojnie, a tu czujesz, że coś cię kłuje w łydkę. Znów jedna z papug Hata. Hat próbował nam wmówić, że na niego nie napadają, ale wiem, że to nieprawda.

Dziwna rzecz, ale zarówno Hat, jak i Edward stawali się groźni, gdy próbowali obcować z pięknem. U Edwarda było to malowanie, a u Hata jego papugi o ostrych dziobach.

Hat miał ciągle jakieś przeprawy z policją. Na szczęście nie chodziło o nic poważnego. Jakieś drobne sprawy związane z walkami kogutów, grą w karty, pijaństwem itp.

Ale mimo' to Hat nie był źle usposobiony do policji. W każde święto Bożego Narodzenia sierżant Charles przychodził w towarzystwie listonosza i inspektora sanitarnego do domu Hata na drinka.

Sierżant Charles mawiał:

— Hat, bracie, przecież muszę z czegoś żyć. Wiem o tym dobrze, że już nie dostanę awansu. Ale przecież trzeba z czegoś żyć.

A Hat mawiał:

— W porządku, sierżancie. Nikt z nas nie ma do ciebie pretensji. A jak dzieciaki? Jak Elijah?

Elijah był bardzo inteligentnym chłopcem.

— Elijah? Oh, wydaje mi się, że w tym roku będzie miał wystawę. To wszystko, coś my mogli zrobić. Mogliśmy tylko próbować. Nic więcej, prawda Hat?

Rozstawali się zawsze jak przyjaciele. Ale pewnego dnia Hat wpadł w poważne tarapaty za dolewanie wody do mleka. Hat powiedział:

— Przychodzą tu tacy z policji i pytają, jak się woda dostała do mleka. A skąd ja mam wiedzieć? Nie mam pojęcia. Owszem, ja wkładam konwie z mlekiem do wody, żeby mleko było zimne i nie warzyło się. Przy puszczam, że w konwi musiała być dziurka. Mała dziurka i to wszystko.

Edward rzekł:

— Lepiej przyznać się i powiedzieć sędziemu prawdę.

A na to Hat:

— Edward, ty mówisz tak, jakby Trynidad to była Anglia. Czyś ty słyszał, żeby tutaj mówienie prawdy komukolwiek wychodziło na dobre? Na Trynidadzie im bar dziej jesteś niewinny, tym większe masz szanse wylądowania w więzieniu i tym większe musisz płacić łapówki. Trzeba dawać do łapy sędziemu. Trzeba dawać drób, kury, pieniądze. Trzeba dawać łapówki inspektorom. Lepiej już iść do więzienia, niż wszystkim płacić.

Edward rzekł:

— Tak, to prawda. Ale nie możesz się przecież przyznać do winy. Musisz wymyślić jakąś historię.

Hata ukarano grzywną w wysokości dwustu dolarów, a sędzia wygłosił mu przy tej okazji długie kazanie. Hat był naprawdę wściekły, gdy wrócił z tej rozprawy. Zrzucił z siebie marynarkę i krawat i rzekł:

— Co za cholerny świat! Bierzesz kąpiel, wkładasz czystą koszulę, marynarkę, zawiązujesz krawat, czyścisz na glanc buty. I po co? Po to, by stanąć przed jakimś głupim sędzią, który ci jeszcze nawymyśla.

Rozgoryczenie Hata nie ustępowało.

— Hitler miał rację — mówił. — Trzeba spalić wszystkie kodeksy. Wszystkie, co do jednego. Zrobić wielki stos i podpalić to całe świństwo. I patrzeć, jak się pali. Powiadam wam, Hitler miał rację. Nie rozumiem, dlaczego my się z nim bijemy.

Eddoes rzekł: — Wiesz, Hat, wygadujesz straszne bzdury.

A Hat na to:

— Nie mówmy już więcej o tym. Mam tego dość. Hitler miał rację. Trzeba spalić wszystkie kodeksy. Nie mówmy już więcej o tym.

Przez trzy miesiące Hat i sierżant Charles nie rozmawiali ze sobą. Sierżant Charles czuł się obrażony, ale bez przerwy dawał do zrozumienia, że się chce przeprosić. Pewnego dnia zawołał mnie i rzekł:

— Idziesz do Hata dziś wieczorem?

— Tak — odparłem.

— Widziałeś go wczoraj?

— Tak.

— Co słyhać u niego?

— Co słyhać?

— No, mam na myśli, jak mu się wiedzie? Czy dobrze wygląda? Czy jest szczęśliwy?

— On jest strasznie zły — powiedziałem.

— Oh — westchnął sierżant Charles.

— No to ja już pójdę sobie — oświadczyłem.

— Słuchaj no.

— Co?

— No nic. Nic już. Ale poczekaj jeszcze chwilę. Pozdrów Hata ode mnie.

Gdy byłem u Hata, powiedziałem:

— Sierżant Charles zawołał mnie dziś do siebie i zaczął płakać i błagać mnie, żebym ci powiedział, że on nie jest zły na ciebie i że to nie on powiedział policji o wodzie w mleku.

Hat rzekł: — *Jaka woda, w jakim mleku?*

Nie wiedziałem, co odpowiedzieć.

— Widzicie, co się teraz zrobiło z tego Trynidadu — rzekł Hat. — Ktoś powiedział, że w moim mleku jest woda. Nikt nie widział, jak dolewam wody do mleka, ale każdy mówi tak, jakby widział. Wszyscy mówią o wodzie w mleku.

Doszedłem do wniosku, że Hata nawet bawi ta historia.

Hat wydawał mi się zawsze człowiekiem bardzo zrównoważonym i trudno było go sobie wyobrazić inaczej. Kiedy wziął mnie na ten mecz krykietowy, to miał chyba ze trzydzieści pięć lat, a gdy poszedł do więzienia — czterdzieści trzy. A przecież dla mnie wyglądał zawsze tak samo.

Jak już powiedziałem, Hat z wyglądu przypominał Rexa Harrisona. Miał ciemnobrązową skórę, średni wzrost i średnią tuszę. Chodził tak, jakby miał krzywe nogi i płaskie stopy.

Zawsze wydawało mi się, że do końca życia będzie robił to samo: chodził na mecze krykietowe, mecze piłki nożnej, wyścigi konne, czytał gazety rano i po południu, gawędził na ulicy i pił w Wigilię Bożego Narodzenia i na Nowy Rok.

Można było przypuszczać, że nie ma innych potrzeb. Był samowystarczalny i nie wierzę, by odczuwał potrzebę kobiety. Wiedziałem, oczywiście, że od czasu do czasu chodził do pewnych miejsc, ale sądziłem, że robi to raczej dla emocji niż dla samych kobiet.

No i stało się. Coś, co oznaczało koniec naszej paczki na Miguel Street, coś, co zmieniło samego Hata nie do poznania.

Sądzę, że w pewnym stopniu była to wina Edwarda. Chyba nikt z nas nie wyobrażał sobie, jak bardzo Hat kochał Edwarda i jak bardzo przejął się małżeństwem brata. Nie ukrywał swego zadowolenia, kiedy żona Edwarda uciekła z tym amerykańskim żołnierzem, i był bardzo zawiedziony, gdy Edward wyjechał do Aruba.

Pewnego razu powiedział: — Tak, wszyscy podrastają albo opuszczają nas.

Innym razem oświadczył: — Byłem głupi, że nie poszedłem pracować dla Amerykanów jak

Edward i wiele innych ludzi.

— Coś za często Hat chadza do miasta wieczorami — stwierdził Eddoes.

Boyee dodał: — On już jest dorosły. Może robić, co mu się podoba.

— Ja znam takich jak on — powiedział Eddoes. — Prawdę mówiąc, zdarza się to wszystkim.

Wszyscy się starzeją, i to ich przestrasza. Chcieliby zawsze być młodzi.

Zły byłem na Eddoesa, bo nie chciałem myśleć o Hacie w ten sposób. Co gorsza, wstydziłem się samego siebie, bo czułem, że Eddoes ma rację.

— Eddoes — powiedziałem — mógłbyś swoje brudne myśli przeznaczyć komu inne mu. A najlepiej byłoby, gdybyś je wyrzucił na wysypisko razem ze swoimi śmieciami.

A potem pewnego dnia Hat sprowadził do domu kobietę.

Czułem się teraz nieswojo w jego towarzystwie. Teraz był człowiekiem mającym obowiązki i odpowiedzialność i nie mógł dłużej poświęcać nam całego swego czasu i całej uwagi. Co gorsza, wszyscy udawali, że tej kobiety w ogóle nie ma. Nawet Hat. Nigdy nie mówił o niej i zachowywał się tak, jakby chciał, żebyśmy uwierzyli, że wszystko jest po staremu.

Ona zaś była kobietą o bladobrązowej skórze, lat około trzydziestu, raczej korpulentna. Jej ulubionym kolorem był niebieski. Na imię miała Dolly. Widywaliśmy, jak wyglądała przez okno domu Hata. Nigdy z nami nie rozmawiała. Prawdę mówiąc, nigdy prawie nie słyszałem jej głosu. Pamiętam tylko, jak wzywała Hata, żeby wracał do domu.

Boyee i Edward byli zadowoleni ze zmian, jakie spowodowała jej obecność.

Boyee rzekł: — Po raz pierwszy mamy kobietę w domu, i to jest nie lada różnica. Nie wiem, jak wam to wytłumaczyć, ale jest jakoś przyjemniej.

Moja matka też miała w tej sprawie swoje zdanie:

— Widzisz, jacy głupi są mężczyźni? — powiedziała. — Przecież Hat widział, co się stało z Edwardem. I co? Jeszcze nie ma dość kobiet?

Pani Morgan i pani Bhakcu widywały Dolly zbyt rzadko, żeby ją nienawidzić, ale miały o niej wyrobione zdanie i uważały, że jest do niczego.

— Ta Dolly wygląda, moim zdaniem, jak stara bajzelmama — mówiła pani Morgan.

Nietrudno nam było zapomnieć o obecności Dolly, bo Hat żył tak jak dawniej. Wciąż jeszcze chodziliśmy na wszystkie mecze i zbieraliśmy się na ulicy, żeby porozmawiać.

A jeśli Dolly wołała: — Hat, wracaj do domu! — Hat nie odpowiadał.

Dopiero po półgodzinie Dolly wołała raz jeszcze:

— Hat wracasz do domu czy nie?

A wtedy Hat odpowiadał: — Już idę.

Zastanawiałem się, jak wygląda życie Dolly. Prawie cały czas spędzała w domu, a Hat był prawie zawsze na dworze. Wydawało mi się, że większość dnia ona przesiaduje przy oknie.

Była to najdziwniejsza para na całej ulicy. Nigdy nie pokazywali się razem. Nigdy nie słyszeliśmy ich śmiechu. Nawet nigdy się nie kłócili.

Eddoes mówił: — Oni żyją jak dwaj obcy sobie ludzie.

A na to Errol: — Powiadam wam, wcale tak nie jest. Wy widzicie Hata tylko, jak siedzi tutaj, ale jest całkiem inny, jak przychodzi do domu. Kiedy rozmawia z Dolly, to jest nie ten sam człowiek. Czy wy wiecie, że on jej kupuje biżuterię?

A Eddoes na to: — Ja mam przecucie, że ona jest jak ta Matylda z calypso:

Matyldo moja miła,
Coś z mą forsą zrobiła,
Wszystko mi zabrałaś
I do Wenezueli zwiłaś.

Kupować biżuterię! Co za pomysł. Co się stało temu Hatowi? On się zachowuje jak starzec. Kobiety nie chcą biżuterii od takiego chłopca jak Hat. One chcą czego innego.

Obserwator postronny mógł zauważyć tylko dwie zmiany w gospodarstwie Hata: wszystkie ptaki siedziały teraz w klatkach, a pies, bardzo nieszczęśliwy, był na łańcuchu.

Ale nikt nie rozmawiał z Hatem o Dolly. Chyba wszyscy byliśmy tą całą sprawą za bardzo zaskoczeni.

To, co nastąpiło potem, było jeszcze większym, zaskoczeniem. Zresztą o szczegółach dowiedzieliśmy się po pewnym czasie. Z początku zauważyłem, że nie ma Hata, a potem zaczęły docierać do mnie różne pogłoski.

Jak się okazało podczas rozprawy sądowej, wydarzenia miały następujący przebieg. Dolly uciekła od Hata, zabierając, oczywiście, wszystkie prezenty, jakie jej dał. Hat rozpoczął poszukiwania i znalazł ją z innym. Doszło do wielkiej awantury i ten facet uciekł. Teraz Hat wziął się za Dolly. Potem — jak stwierdzał protokół policji — płacząc oddał się w ręce policji. „Zabiłem kobietę” — miał powiedzieć.

Ale Dolly żyła.

Wiadomości te uderzyły w nas jak grom. Przez dzień czy dwa nie mogliśmy w to uwierzyć.

A potem wielka cisza zapanowała na Miguel Street. Nikt nie zbierał się pod latarnią przed domem Hata, żeby pogawędzić o tym lub owym. Nikt nie grał w krykieta i nie zakłócał niczyjej drzemki poobiedniej. Nasza paczka rozleciała się.

Nikt z nas nie myślał o Dolly. Myśleliśmy tylko o Hacie. W naszych sercach był bez winy i cierpieliśmy razem z nim.

Na rozprawie sądowej zobaczyliśmy zupełnie innego człowieka. Hat zestarzał się, a gdy uśmiechał się, śmiały się tylko jego usta. On jednak starał się nas rozweselić, ale nasz śmiech był śmiechem przez łzy.

— Czy była, to ciemna noc? — zapytał prokurator Hata.

— Bardzo ciemna — odparł Hat. Hata bronił mały gruby adwokat w wyświechtanym brązowym garniturku, nazwiskiem Chittaranjan.

Chittaranjan zaczął od zacytowania przemówienia Porcji o miłosierdziu i byłby mówił tak bardzo długo, gdyby nie sędzia, który przerwał mu:

— Wszystko to jest bardzo interesujące i częściowo nawet słuszne, ale zabiera pan nam niepotrzebnie czas.

Chittaranjan rozwodził się szeroko o wielkiej pasji miłości. Mówił, że Antoniusz zrezygnował z imperium dla miłości, tak samo jak Hat zrezygnował z własnej godności. Zbrodnia Hata była więc w rzeczywistości zbrodnią w afekcie, „crime passionnel”, jak mówią Francuzi. We Francji, twierdził Chittaranjan, a wiedział, co mówił, bo był w Paryżu, Hat byłby bohaterem. Kobiety obsypywałyby go kwiatami.

— Z takim adwokatem można skończyć na szubienicy — rzekł Eddoes.

Hata skazano na cztery lata więzienia.

Odwiedziliśmy go w więzieniu na Frederick Street. Nie był to wesoły widok. Mury pomalowane były na kolor jasnożółty, głową dotykało się sufitu. Ku mojemu wielkiemu zdziwieniu stwierdziłem, że większość odwiedzających okazywała doskonały humor. Tylko nieliczne kobiety płakały. Można było pomyśleć, że to jakieś towarzyskie spotkanie, tyle tam było gwaru i rozmów.

Eddoes, który z tej okazji włożył swoje najlepsze ubranie, trzymał kapelusz w ręce i rozglądał się dookoła. A do Hata powiedział:

— Wcale nie wygląda tak źle.

— Przenoszą mnie na Carrerę w przyszłym tygodniu — rzekł Hat.

Carrera była małą wysepką położoną o kilka mil od Port of Spain i tam mieściło się więzienie.

— Nie martwcie się o mnie — rzekł Hat. — Znacnie mnie. Za dwa, trzy tygodnie postaram się, żeby mi dali jakąś lekką robotę.

Kiedy chodziłem do Carenage lub Point Cumana, żeby się wykąpać, zawsze patrzyłem przez zieloną wodę na wyspę Carrera, wyłaniającą się wysoko z morza swoimi czystymi różowymi budynkami. Próbowałem wyobrazić sobie, co się dzieje za tymi murami, ale moja wyobraźnia odmawiała posłuszeństwa. Mówiłem sobie: „Hat jest tam, a ja tutaj. On wie, że jestem tutaj i że myślę o nim”.

Mijały miesiące, a ja coraz bardziej byłem zajęty sobą i całymi tygodniami nie wracałem myślami do Hata. Odczuwanie wstydu na nic by się tu nie zdało. Trzeba się było pogodzić z tym, że przestałem już tęsknić za nim. Od czasu do czasu, kiedy odczuwałem pustkę, wspominałem Hata i zastanawiałem się, jak długo jeszcze zostanie w więzieniu. Ale bardziej interesowałem się własnymi sprawami.

Miałem piętnaście lat, kiedy Hat został skazany, osiemnaście, kiedy wyszedł na wolność. W ciągu tych trzech lat wydarzyło się wiele. Ukończyłem szkołę i zacząłem pracować w urzędzie celnym. Nie byłem już dzieckiem. Stałem się mężczyzną i zarabiałem pieniądze.

Powrót Hata minął bez większego wrażenia. I to nie tylko dlatego, że chłopcy wydorosleli. Również i Hat się zmienił. Już nie był taki żywotny i błyskotliwy. Trudno było nawiązać z nim rozmowę.

Odwiedził wszystkich znajomych i mówił z przejęciem o swoich doświadczeniach. Moja matka poczęstowała go herbatą. Hat rzekł:

— Było tak, jak się spodziewałem. Za przyjaźniłem się z kilkoma strażnikami i wiecie, co się stało później? Wystarczyło jedno, dwa słowa i zrobili mnie bibliotekarzem. Mają tam dużą bibliotekę. Różne wielkie księgi. Tytusowi Hoytowi tam by się spodobało. Tyle książek, których nikt nie czyta.

Poczęstowałem Hata papierosem. Zapalił automatycznie. Potem zawołał:

— Patrzcie no, co się stało? Zrobiłeś się ważny, co? Kiedy wsadzili mnie, jeszcze nie paliłeś. Ale to było tak dawno temu.

— Tak — powiedziałem — to było dawno temu.

Dawno. Tylko trzy lata, ale w tym czasie wydorosłałem, i zacząłem się krytycznie przyglądać ludziom ze swego otoczenia. Nie chciałem już być taki jak Eddoes. Był taki chudy i taki mizerny; nigdy nie uświadamiałem sobie, że jest taki mały. Tytus Hoyt był głupi i nudny, wcale nie zabawny. Wszystko było inne.

Kiedy Hat poszedł do więzienia, coś we mnie zamarło.



Pożegnanie z Miguel Street

Pewnego dnia moja matka powiedziała:

— Im dłużej pozostajesz tutaj, tym bar dziej stajesz się nieznośny. Już najwyższy czas, żebyś stąd wyjechał.

— Dokąd? Może do Wenezueli? — zapytałem.

— Nie. Nie do Wenezueli. Gdzie indziej, bo jak tylko twoja noga stanie w Wenezueli, oni cię zamkną w więzieniu. Znam cię, a ponadto wiem, jak jest w Wenezueli. Nie, musisz wyjechać gdzie indziej.

— Dobrze — powiedziałem. — Zastanów się i zdecyduj, dokąd mam jechać.

Moja matka powiedziała:

— Wiem, co zrobię. Pójdę do Pundita Ganesha i porozmawiam z nim. On, był przyjacielem twojego ojca. Musisz stąd wyjechać. Stajesz się nieznośny.

Moja matka chyba miała rację. Nie zdając sobie nawet z tego sprawy zacząłem zachowywać się nie tak, jak trzeba. Piłem jak szewc, no i nie odmawiałem sobie innych przyjemności. Picie zaczęło się wraz z pracą w urzędzie celnym. Konfiskowaliśmy alkohol pod najmniejszym pretekstem. Z początku sam zapach napojów alkoholowych przyprawiał mnie o mdłości, ale mówiłem sobie: „Człowieku, musisz to przewyciężyć. Pij tak, jakbyś pił lekarstwo. Zatkaj nos i zamknij oczy”. Z czasem nauczyłem się pić, i to nie byle jak, no i zaczęła mnie rozsadzać pijacka duma.

Ponadto poznałem różne miejsca w mieście dzięki Errolowi i Boyee. Pewnej nocy, niedługo po rozpoczęciu pracy, zabrali mnie do jakiegoś lokalu przy Marine Square. Weszliśmy na pierwsze piętro i znaleźliśmy się w małym przepełnionym pokoju, oświetlonym zielonymi żarówkami. To zielone światło wydawało się gęste jak maź. Po pokoju kręciły się kobiety, jakby na coś czekały. Na ścianie wisiał duży napis: „Zabrania się używania nieprzyzwoitych słów”.

Wypiliśmy przy barze drinka, coś bardzo słodkiego i gęstego.

Errol zapytał mnie: — Która ci się podoba?

Zrozumiałem, o co chodzi, i ogarnęło mnie obrzydzenie. Wybiegłem stamtąd i wróciłem do domu. Mdliło mnie i byłem trochę przestraszony. Powiedziałem sobie: „Człowieku musisz to przewyciężyć”.

Następnego wieczoru poszedłem do tego lokalu. Potem byłem już tam częstym gościem.

Urządzaliśmy też dzikie całonocne prywatki w Maracas Bay z rumem i kobietami.

— Robisz się zupełnie nieznośny — mówiła moja matka.

Nie zwracałem uwagi na jej słowa, aż do tego wieczoru, kiedy wypilem tyle, że nie mogłem się ruszać przez następne dwa dni. Kiedy oprzytomniałem, przyrzekłem sobie, że nie będę więcej ani pił, ani palił.

— Mamo, to nie moja wina — powiedziałem. — Tak już jest na Trynidadzie. Czy tu jest coś innego do roboty prócz picia?

Jakieś dwa miesiące później moja matka powiedziała:

— W przyszłym tygodniu pójdziesz ze mną do Pundita Ganesha.

Pundit Ganesh już od dłuższego czasu nie uprawiał praktyk mistycznych. W zamian za to wziął się do polityki i wiodło mu się wcale nieźle. Został jakimś ministrem w rządzie i, jak mówiono, ubiegał się o Order Imperium Brytyjskiego.

Poszliśmy do tego dużego domu na St Clair, w którym mieszkał. Zastaliśmy go nie w *dhoti i koortah* jak za mistycznych czasów, ale w eleganckim szlafroku.

Moją matkę przyjął bardzo serdecznie.

— Zrobię wszystko, co będę mógł — obiecał.

Matka zaczęła płakać. Do mnie zaś powiedział:

— Może chciałbyś wyjechać za granicę na studia?

— Nie mam zamiaru studiować. Chcę tylko stąd wyjechać — rzekłem.

Ganesh uśmiechnął się:

— Rząd nie daje jeszcze takich stypendiów — rzekł. — Tylko ministrowie mogą wyjeżdżać, gdzie chcą. Ty musisz studiować.

— Nigdy się nad tym nie zastanawiałem. Niech mi pan da trochę czasu do namysłu — powiedziałem.

— Dobrze. Zastanów się — rzekł Ganesh. Moja matka płacząc wyrażała swoją wdzięczność Ganeshowi. Wreszcie powiedziałem:

— Już wiem, co chcę studiować. Będę inżynierem. — Myślałem o wuju Bhakcu.

Ganesh zaśmiał się i rzekł: — A co ty wiesz o inżynierii?

— W tej chwili nic. Ale mógłbym się za brać do tego — odparłem.

Moja matka powiedziała:

— A dlaczego nie chcesz studiować prawa?

Przypomniał mi się Chittaranjan i jego brązowy garnitur.

— Nie, wszystko tylko nie prawo — za wołałem.

Ganesh rzekł: — Mam jeszcze tylko jedno wolne stypendium. Na studia farmaceutyczne.

— Ale ja nie chcę być pigularzem! — zawołałem. — Nie mam zamiaru przebierać się w biały kitel, żeby sprzedawać kobietom szminki.

Ganesh uśmiechnął się.

Moja matka powiedziała:

— Niech pan nie zwraca uwagi na to, co on mówi, Pundit. On będzie studiować, co pan mu każe.

— A potem zwróciła się do mnie: — Mógłbyś studiować wszystko, gdybyś się tylko przyłożył.

Ganesh rzekł: — Pomyśl, pojedziesz do Londynu. Zobacysz śnieg., Tamizę, parlament.

Powiedziałem: — Dobrze. Będę uczył się na aptekarza.

— Nie wiem, jak panu dziękować — mówiła moja matka.

Szlochając wyciągnęła dwieście dolarów i wręczyła je Ganeshowi.

— Wiem, że to niewiele, Pundit. Ale to wszystko, co mam. Długo musiałam oszczędzać.

Ganesh wziął pieniądze i z najsmutniejszym wyrazem twarzy rzekł:

— Proszę się tym nie przejmować. Nie trzeba dawać więcej niż to, na co można sobie pozwolić.

Moja matka dalej zalewała się łzami i w końcu nawet Ganesh się załamał.

Wtedy moja matka otarła łzy i powiedziała:

— Gdyby pan tylko wiedział, Pundit, jak bardzo się martwię. Potrzebuję tyle pieniędzy na tyle różnych rzeczy, że sama nie wiem, jak sobie poradzę z tym wszystkim.

Teraz Ganesh przestał płakać, a moja matka znów zaczęła szlochać. Szlochała, dopóki Ganesh nie oddał jej stu dolarów.

— Weź to, kobieto, i kup synowi porządne ubranie — powiedział wzruszony Ganesh.

— Jaki z pana szlachetny człowiek — rzekłem.

Wzruszyło go to bardzo.

— Gdy wrócisz z Anglii z różnymi dyplomami, jako ważny człowiek i wielki farmaceuta, wtedy zgłoszę się do ciebie, żebyś mi zwrócił to, co mi jesteś winien.

Powiedziałem Hatowi, że wyjeżdżam.

— Po co? — zapytał. — Szukasz pracy?

— Rząd daje mi stypendium, żebym się uczył na aptekarza — rzekłem.

— To twój pomysł? — zapytał Hat.

— Nie. To moja matka wymyśliła. Eddoes rzekł:

— To bardzo dobra rzecz. Jeden taki aptekarz, którego znam — wywożę od niego śmieci od lat — ma forsę jak lodu. Powiadam wam, on nie wie, co robić z pieniędzmi.

Wieść ta dotarła do Eliasa, który się bardzo zdenerwował. Pewnego wieczoru przyszedł pod nasz dom i wołał:

— Same łapówki. Wszędzie tylko łapówki. Kogo przekupiliście?

Moja matka nie dała się zakrzyczeć.

— Tylko tacy ludzie skarżą się na łapówki — wołała — co sami są za biedni, żeby je dawać.

W ciągu miesiąca wszystko było gotowe do wyjazdu. Rząd Trynidadu napisał w mojej sprawie do Konsulatu Brytyjskiego w Nowym Jorku. W ten sposób sprawa dotarła do British Council. Amerykanie dali mi wizę, ale musiałem przedtem złożyć przysięgę, że nie obalę ich rządu siłą.

Ostatniego wieczoru przed moim wyjazdem moja matka urządziła małe przyjęcie. Trochę przypominało to stypę. Ludzie przychodzili ze smutnymi minami, mówili, że będą tęsknić za mną, a potem zapominali o moim istnieniu i zabierali się do jedzenia i picia.

Laura pocałowała mnie w policzek i dała mi medalionik ze Świętym Krzysztofem. Prosiła, żebym go nosił na szyi. Przynależem jej to i włożyłem medalionik do kieszeni. Nie wiem, co się z nim stało. Pani Bhakcu dała mi monetę sześciopensową, którą — jak twierdziła — kazała specjalnie poświęcić. Moneta ta wyglądała jak inne sześciopensówki i chyba wydałem ją. Tytus Hoyt wybaczył mi wszystkie moje przewinienia i ofiarował drugi tom popularnej edycji Tennysona. Eddoes dał mi portfel, który miał być, jak mnie zapewniał, prawie nowy. Boyee i Errol nie dali mi nic. Hat wręczył mi karton papierosów i powiedział:

— Twierdzisz, że nie palisz, ale weź je na wszelki wypadek, gdybyś zmienił zdanie. — Skutek był taki, że zacząłem znowu palić.

Wuj Bhakcu spędził całą noc majstrując przy samochodzie, który miał mnie zawieźć na lotnisko następnego ranka. Od czasu do czasu biegłem do niego i błagałem, by się nie przepracowywał. On jednak twierdził, że karburator znów nawala.

Następnego dnia rano Bhakcu wstał skoro świt i zabrał się znów do roboty. Mieliśmy wyruszyć o ósmej, ale o dziesiątej Bhakcu wciąż jeszcze coś tam majstrował. Moja matka była bliska rozpacz, a pani Bhakcu traciła cierpliwość.

Bhakcu leżał pod wozem nucąc werset z „Ramajany”. Nagle wylazł i uśmiechając się rzekł:

— Napędziłem wam strachu, co?

Teraz wszystko było gotowe do odjazdu. Jak się okazało, Bhakcu nie zdołał zniszczyć motoru, który jeszcze działał. Moje walizki były już w samochodzie. Szykowałem się, żeby wyjść z domu po raz ostatni. Nagle matka powiedziała:

— Poczekaj.

Wzięła czarękę z mlekiem i postawiła ją w bramie.

Jeszcze teraz nie mogę pojąć, jak to się stało. Brama była szeroka i nawet samochód mógł się w niej zmieścić, a czaroka o średnicy nie większej niż cztery cale stała na samym środku. Wydawało mi się, że przemykam się przy samym skraju bramy, daleko od czaroki. A mimo to przewróciłem ją.

Moja matka posmutniała.

— Ozy to jest zły omen? — zapytałem. Nie odpowiedziała.

Bhakcu tymczasem trąbił.

Wsiedliśmy do samochodu i Bhakcu ruszył; jechaliśmy w dół Miguel Street i w górę przez Wrightson Road do South Quay. Siedziałem nieruchomo, nie wyglądałem przez okno.

Matka płakała.

— Wiem, że nie ujrzę cię już nigdy na Miguel Street — rzekła.

— Dlaczego? — zapytałem. — Czy dlatego, że przewróciłem czarękę?

Moja matka nie odpowiadała, wciąż płakała nad rozlanym mlekiem.

Dopiero gdy Port of Spain był za nami, wyrzałem przez okno. Dzień był jasny i gorący. Mężczyźni i kobiety pracowali na polach ryżowych. Dzieci przy pompie przydrożnej oblewały się wodą.

Do Piarco przyjechaliśmy na czas, a ja tymczasem zacząłem żałować, że przyznano mi stypendium. Poczekalnia na lotnisku napełniała mnie strachem. Jacyś tędzy Amerykanie pili nie znane mi drinki przy barze. Jakieś Amerykanki w ekstrawaganckich słonecznych okularach mówiły bardzo głośno, tak jakby nie umiały inaczej. Wszyscy wyglądali jak ludzie, którym się za dobrze powodzi, jak ludzie, którzy są za bardzo zadowoleni z siebie.

Nagle ogłoszono po angielsku i hiszpańsku, że lot 206 ma sześciogodzinne opóźnienie.

— Wracajmy do Port of Spain — powie działem do matki.

Wiedziałem, że byłem skazany na towarzystwo tych ludzi w poczekalni, ale chciałem opóźnić tę chwilę.

Po powrocie na Miguel Street pierwszą osobą, którą spotkałem, był Hat. Wracał właśnie swoim leniwym krokiem z kawiarni z gazetą pod pachą. Machnąłem do niego ręką, a on zawołał:

— Myślałem, że już jesteś w powietrzu. — To wszystko, co miał mi do powiedzenia.

Byłem rozczarowany. Nie tylko chłodnym przywitaniem Hata, ale również tym, że chociaż wyjeżdżałem na zawsze, wszystko na Miguel Street wyglądało jak dawniej i nic nie wskazywało, że mnie już tu nie będzie.

Spojrzałem na przewróconą w bramie czarkę i powiedziałem do matki:

— A więc to miało oznaczać, że już tu nigdy nie powrócę?

Moja matka uśmiechnęła się. Teraz była szczęśliwa.

Ja zaś zjadłem swój ostatni lunch w domu z matką, wujem Bhakcu i jego żoną. Potem wróciliśmy tą samą drogą na lotnisko, gdzie czekał na nas samolot. Trafiłem na znajomego urzędnika celnego, który nie sprawdził mi bagażu.

Wreszcie ogłoszono jak gdyby nigdy nic odlot samolotu.

Pocałowałem matkę.

Do Bhakcu powiedziałem:

— Wujaszku, nie chciałem tego mówić przedtem, ale wydaje mi się, że popychacz stuka.

Jego oczy zabłyśły.

Pozostawiłem ich i ruszyłem w kierunku samolotu. Nie oglądałem się za siebie, tylko patrzyłem na swój własny cień, który poruszał się przede mną na pasie startowym jak tańczący karzełek.



Przypisy

[1] Człowieczek pisał słowo: school — szkoła (przyp. tłum.).

[2] Chodzi o Williama WordsWortha — angielskiego poetę romantycznego (przyp. tłum.).